



This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

- + *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
- + *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
- + *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
- + *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at <http://books.google.com/>



Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana była na bibliotecznych półkach, zanim została troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdały już wygasnąć i książka stała się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasły. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszłości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródło cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając długą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczeni się współpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materiałów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią własność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszłych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materiały, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
Google Book Search to usługa przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
Prosimy o niewysyłanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tłumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materiałów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
Znak wodny "Google" w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ułatwiania znajdowania dodatkowych materiałów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka została uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzieło to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiegokolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby stały się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ułatwia czytelnikom znajdowanie książek z całego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Cały tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem <http://books.google.com/>

Class, 6303.9



Harvard College Library.

FROM THE

MARY OSGOOD LEGACY.

"To purchase such books as shall be most
needed for the College Library, so as
best to promote the objects
of the College."

Received *24 March, 1896.*

OBRAZY

RUSI CZERWONEJ

PRZEZ

WŁADYSŁAWA ZAWADZKIEGO.

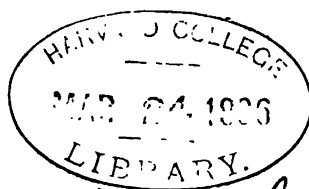
(Z RYSUNKAMI JULIUSZA KOSSAKA.)



POZNAN, 1869.

NAKŁADEM JANA KONSTANTEGO ŻUPAŃSKIEGO.

Slaw. 6303.9




Mary Osgood fund.

ROZDZIAŁ I.

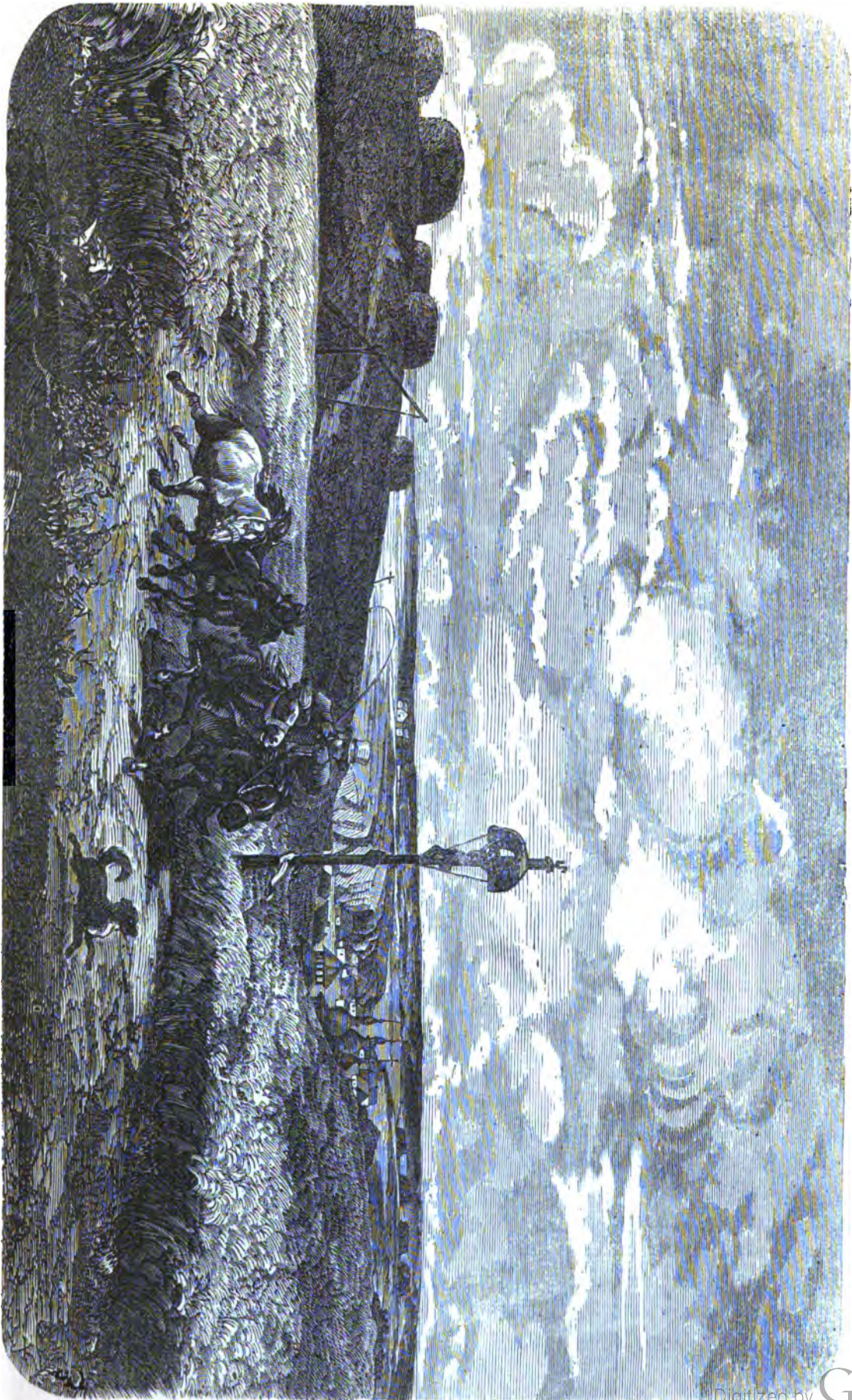
Wstęp. Podole. Widok okolicy. Płaszczyny i stepy. Ruiny zamków obronnych.

Własność ziemi. Urodzajność i uprawa. Klimat.

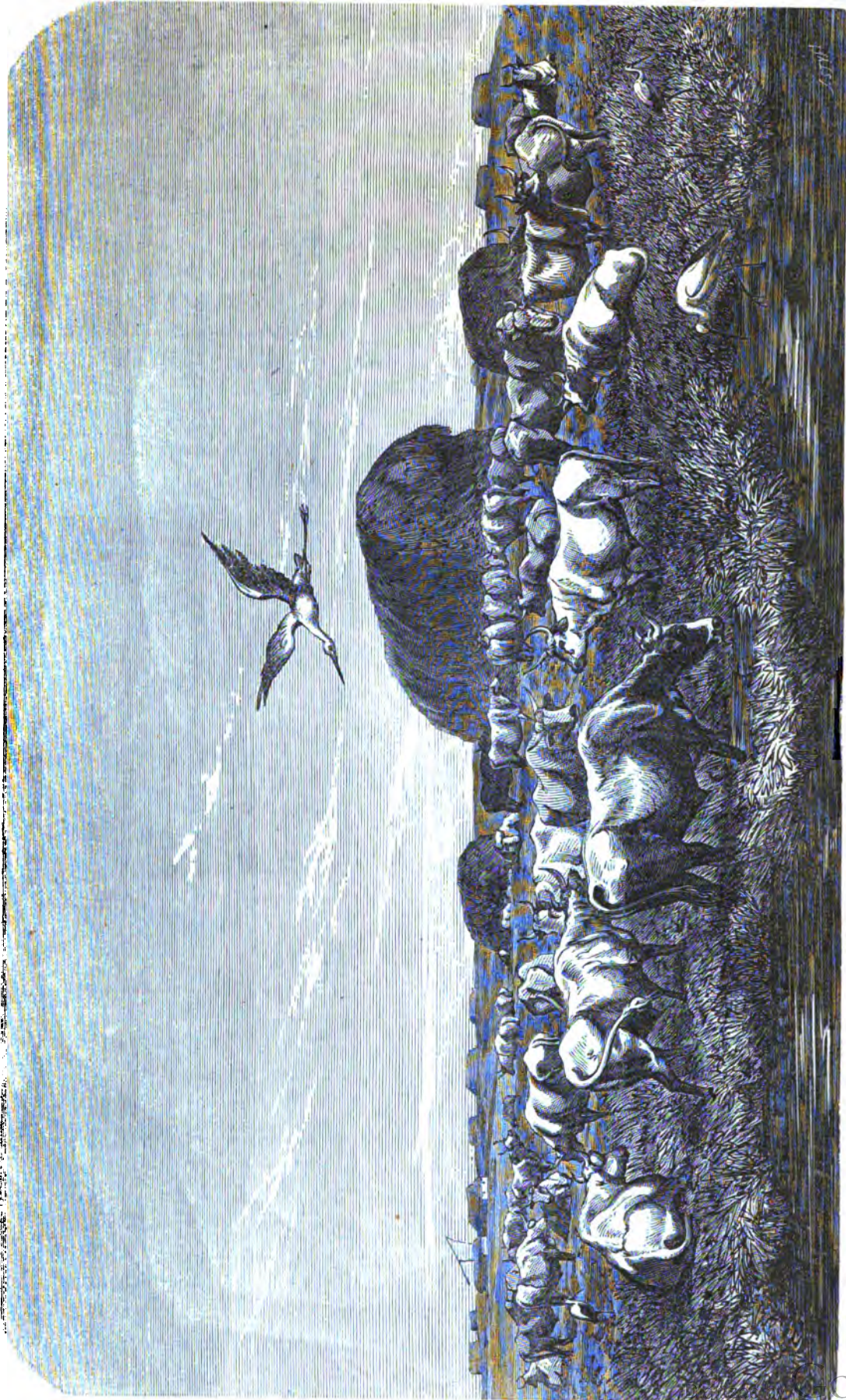
 Niepotrzebnie rozwodziłbym się nad pożytecznością opisów szczegółowych, bądź całych ziem i powiatów, bądź pewnych tylko okolic. Dokładne opisy miejsc pojedynczych, prowadzą do dokładnej znajomości krajów całych. Opisy podobne, ile być może z własnych piszącego postrzeżeń, kreślące stan jakiego kraju pod względem topograficznym, etnograficznym i statystycznym, razem zebrane, utworzyłyby nieoceniony materiał dla przyszłego historyka i badacza społecznych przeobrażeń w narodach. Przemijają pokolenia, zmieniają się obyczaje, giną w niepamięci najciekawsze nieraz szczegóły i rysy obyczajowe charakterystyczne. To, co dziś wydaje się nam częstokroć nic nie znaczącą drobnostką, w chwili, gdy na nią patrzemy niegodną wcale uwagi, kiedyś, po długim lat przeciągu, będzie może właśnie jednym z najciekawszych rysów, do złożenia obyczajowego obrazu dawno minionych czasów.

Tą myślą wiedziony, w chęci przyczynienia się bogdajby jedną małą cegiełką do użytecznej budowy, przedsięwziętem opisać tę mianowicie niewielką częśćkę Podola, która w obecnym rozgraniczeniu politycznym należy do Galicyi. Opis niniejszy dalekim jest od pretensyi aby był dokładnym i wyczerpywał przedmiot zupełnie. Niema w nim ani z góry zakreślonego systemu, ani ścisłości, której po naukowych wymagamy badaniach. Piszę na co patrzę, com widział własnymi oczami. W opisie tym chodziło mi nieraz więcej o zanotowanie drobnostek, które prędzej niż inne ważniejsze rzeczy uchodzą zwykle uwagi i pamięci, a które przecież mogą częstokroć bardzo objaśnić ciemniejsze właśnie miejsca obrazu i uzupełnić jego całość. W każdym razie pismo niniejsze ma przynajmniej wartość świadectwa z pierwszej ręki.

O półtoręj mili za miastem Złoczowem, za górą Płuhowską, zmienia się raptownie cała fizyognomia okolicy. Dostawszy się na szczyt góry, widzisz przed sobą daleko rozpostarte równiny. Jesteś na wysoczyźnie szerokiej na kilka mil, która ciągnąc się od Karpat ku północno-wschodowi, wygina się brzegiem Podola. Tu powietrze wieje chłodniejsze, wiosna spóźnia się, śniegi leżą dłużej po polach, niżli o kilka mil dalej na wschód, na płaszczynach podolskich. Jestto najwyżej położony pas ziemi, rozdzielający okolice całkiem różne od siebie na pierwszy rzut oka. Na zachód ziemia łamie się i rozpada w rozmaitego kształtu wzgórze. Łańcuchem ciągną się Gologóry, piętrzą obrosłe sosnowemi bory malownicze góry Podhoreckie, ciemniej Sasowskie lasy; dalej ku Lwowu po za górami moczary i trzęsawiska w okolicy Bortkowa, Buska, Jaryczowa, a za niemi znów piaski Gliniańskie.



Krajobraz podolski.



Pantelicha.

Inna zupełnie powierzchowność okolicy na wschód. Tam szerokie, okiem nieprzejrzone równiny, nieznaczne pagórki, rysują się ledwo dostrzeżone ponad powierzchnią ziemi. Jeśli dolina lub jar mały zieleńszy przerwie jednostajność okolicy, to nie dojrzyć tego z pośrodku płaszczyzn w dali. Po zachodniej stronie tej wysoczyzny Bug i inne wody, które on w siebie zabiéra, płyną na północ do Wisły ku Bałtykowi. Na wschód podolskie rzeki: Seret, Hniezna, Zbrucz, Strypa dążą na południe do Dniestru i wraz z nim płyną do morza Czarnego. Po stronie od wschodu płasko-wzgórze pochyla się zwolna i za Jezierną od Tarnopola zaczyna się istne Podole, ciągną się już płaskie, nieprzejrzone okiem równiny ku Miodoborskim góróm, a dalej po za Zbrucz ku południowi aż po ukraińskie stopy, z którymi się łączy Podole.

Na równinach ogromne wsie podolskie, obsadzone wierzbami, wyglądają jak zielone oazy wśród stepu pływających zbóż. Drogi nudne, jednostajne, chyba że kto się zwyczai i rozkocha w nieustannym szmerze zbóż falujących na wietrze. Wsie rozrzucone daleko jedna od drugiej. Czasem potrzeba dwie i trzy mile jechać, nim się dojedzie od wsi do wsi. Ale u miejscowego chłopca to zawsze tylko jedna mila. Lud nieznający innego rozmiaru, jak tylko te właśnie sioła, które sam zamieszkuje i którymi niby geometra poprzecinał płaszczyzny, nie umie też inaczej obliczać odległości i dzielić przestrzeni, ani orientować się inaczej. U niego ze wsi do wsi zawsze mila, czy ją potrzeba jechać godzinę, dwie, czy półtoręj. A że wsie daleko jedna od drugiej, więc i mile, stosując się do tej odległości, rosną w potężny rozmiar. Ztąd sławne z swęj długości mile podolskie przeszły już w przysłowie. Na Ukrainie, gdzie step rozleglejszy i wsie rzadsze, i mile bez porównania jeszcze większe, a gdy ci chłop ruski powie że *mila kozacka*, to już oddaj się Bogu i jedź przynajmniej dobre pół dnia.

Gleba podolska urodzajna, pszeniczna. Orać ją potrzeba czterema, lub nawet sześcią wołmi, ale zato niedarmo to poszło w przysłowie, że *na Podolu jak w stodole* i niedarmo mówi o nióm poeta:

Ziemie czarne, niepochybne,
Pasze żyzne, wody rybne,
Mało wprowadzie trochę lasa,
Ale zato chléb do pasa.

Już to prawda, że o las tutaj trudno. Wsie liczące po kilka tysięcy morgów ornego gruntu, nie mają częstokroć i pięćdziesiąt lasu; kilka grusz na podwórku, wierzby nad stawem, lub te którymi wieśniacy obsadzają rowy i swe obejścia, z popodkrzesywanymi wiecznie gałęziami i wiecznie odrastającą zieloną koroną, oto są lasy podolskie. Jadąc nieraz dzień cały, nie zdybie się cienia, tylko czasem w dali na krańcach widokregu zaszarzeje laszek i zgubi się, spływając z szarawym nieboskłonem.

A gdzieś widne w sinęj dali
Brzozy smutne i powiewne,
I dąbrowy starodrzewne.

Łany dworskie mają po kilkaset morgów objętości, a że i chłopci, acz mniejsze i rozrzucone, posiadają grunta, trzymają się zwykle tej zasady, że wszystkie oziminy zasiewają razem w jednej części, a w innej znów wszystkie jarzyny, a znów inną pozostawiają co trzeci rok odłogiem. Podolanin trzyma się bowiem tradycyjnie trypolowego gospodarstwa, z czego wynika, że całe okiem nieprzejrzone obszary, jednostajnym gatunkiem zbóż obsiane, wydają się jak ogromne kłosiste morze, na którego powierzchni nie ujrzyś żadnej odmiany, żadnej różnobarwności dla oka. I tak pół mili, albo i milę całą jedziesz wśród łanów złocistej pszenicy, szarawego żyta, lub hreczki, której tu wiele sieją. Kiedy wjedziesz na odłogi, szczególnie w dzień świąteczny, okolica wyda ci się więcęj urozmaiconą. Ujrzyś bowiem błakające się swobodnie po pastwisku tu konie wieśniacze, które po całotygodniowej pracy wypuszczono na odpoczynek i paszę, owdzie rozsypaną po błoniu trzodę gromadzką, krówki niewielkie, lecz owce duże, o włośnistém runie, najczęściej czarnęj barwy. Bliżęj drogi widzisz miejscami gromadkę chłopców, którym

powierzona trzoda. Mało bacząc na nie, bo na obszernych przestrzeniach mogą sobie bujać swobodnie, chłopcy grzeją się na słońcu, a w dniach dżdżystych ponakrywani płachtami i weretami¹⁾, siedząc lub leżąc, przygrywają na wierzbowych fujarkach, plotą kapelusze ze świeżej słomy żytniej, lub gwarzą i przyspiewują swobodnie, acz zawsze na tęskną nutę: bo właściwa pieśń ruska inną nie zna.

Gdy jedziesz drogą, a szeroki pas kurzu, widny zdaleka, węzłem zacznie się zwiąć i wznosić za twym wozem, wnet wszystkie głowy zwrócone w tę stronę, wypatrywać będą podróżnego i przyglądać mu się ciekawie. Ciekawość, to wrodzony przymiot człowieka, a cóż dopiero na jednostajnym stepie! Gdy się zbliżysz, zdejmą skwapliwie kapelusze, mniejsze dzieci pokłonią się aż do ziemi i wszyscy jednocześnie powitają cię zwyczajnym pozdrowieniem:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków, odpowiesz, a gdy oddalając się spojrzysz poza siebie, długo jeszcze i długo z za tumanu kurzawy zobaczysz w tę stronę zwrócone i poglądnące za tobą ciekawe chłopięce twarze.

Odłogi kilkoletnie co bujniejsze zarastają bodiakami, o blado-różowym kwieciu. Jak karłowaty nieprzejrany las rozciąga się w około ten pstrobarwny kobierzec, nad którym snują się roje pszczół, muszek i owadów, szukających miodu w różanych główkach badyli. Mnóstwo zajęcy kryje się w tym gąszczu, szczególnie w późniejszej jesieni, gdy zebrane pokosy hreczane nie dają już przytułku, a myśliwi wypłoszą je z pooraną roli.

Przy obfitości paszy, bądź na ścierniach, bądź na odłogach, mało stosunkowo gdzie zdybiesz się z obszarami takimi, co nigdy pługiem nietknięte, wyłącznie na pastwiska są przeznaczone. Grunt podolski więcęć suchy, małą stosunkowo ilością rzek skropiony, nie obfituje w łąki, niema szeroko rozlanych moczarów, na którychby wymakały zasiewy i ziemię do uprawy pługiem czyniły niezdatną. Trzypolowe gospodarstwo daje obfitość odłogów, a urodzajność ziemi, której uprawa nie wymaga mocołu, choć dobrze się opłaca, jest przyczyną że cały niemal jej obszar na orne obracają grunta. Nie bez tego jednak, żeby i tu nie przytrafiły się niziny, często na milę lub i więcęć rozległe; zwykle *popławami* zwane, więcęć moczarowate, czy to dla pobliza rzek lub większych stawów, czy dla nizkości i stoczystości położenia swego. Te niezawsze z korzyścią, zwłaszcza w latach mokrych, dają się uprawiać. Toż częściowo lub całe zostawiane odłogiem, wydają bujne pasze i wielką ilość siana. Na szczególniejszą zasługuje uwagę w tej okolicy step tego rodzaju, *Pantelichą* zwany. Na skraju obwodów tarnopolskiego i brzeżańskiego rozciąga się on na kilka mil wzdłuż i wszcz. Na moczarach, na wielkich, gęsto rozrzuconych kępinach, wylega się tu niezmierna ilość wodnego ptastwa. Bujne trawy latem przed kością w pas się podnoszą. Z całego Podola stada karmnych wołów tu idą na letnią paszę, iżby się ostatecznie dotoczyły, a ztąd wyruszają na jarmarki do Wojniłowa, Kałusza, Żurawna, lub wprost do Ołomuńca i Wiednia. Ogromną ilość siana wydaje step ten rokrocznie, a przejeżdżając tędy już po zbiorze, na pustym jego widokregu ujrzysz tylko sterty z sianem, rozrzucone po całym obszarze. Gdy wjedziesz na step, a nie jesteś doskonale obznajomiony z jego położeniem, lub świadomego nie wzięłeś z sobą przewodnika, toś przepadł, jeśli raz tylko zboczysz z drogi. Będziesz wówczas kręcił się po stepie i jeździł dzień cały, a nie potrafisz wyjechać z tego jakby zaczarowanego labiryntu dróg, ścieżek i traw. A nic łatwiejszego jak zboczyć z drogi; niema tam bowiem ujeżdżonych szlaków. Na bujnym stepie każda droga zarasta jednakowo i staje się zaledwo znaczną drużyną, a drużyn takich krzyżują się na stepie miliony. Bieżą do każdej sterty siana, do każdej obory mnogich stad wołów, do porzuconych wreszcie po stepie karczemek. Gdy zjedziesz przypadkiem ze szlaku na jedną z drużyn takich, ta wyprowadzi cię nad trzęsawisko i urwie się, że nie wiesz którądy się zwrócić i dobrze jeszcze, jeźliś nie ugrzązł z końmi i wozem. Inną znów

¹⁾ Płachty z grubego płótna, wyrobu domowego.

zajedziesz do sterty siana, i tak od jednej do drugiej będziesz się błąkał w jasny dzień boży. Napróżno ujrzysz zdaleka pasące się stado wołów, karczemkę, lub przemykający się w dali wóz; chcesz tam skierować: trzęsawisko zabiegło ci drogę, nikt głosu nie dosłyszy, nikt się o ciebie nie zatroszczy. Być może, iż step ten zwany był Pantelichą dla tego, że lichy wodzi podróżnych, którzy się nieobacznie nań zapuszczają. Jest tu i wioska tegoż samego nazwiska. Nie wiem zresztą czy je przyjęła od stepu, czy step od wsi wziął nazwę. Jest na tym stepie i druga, dosyć duża wieś, *Zazdrość*. Wieś ta słynie w okolicy z ogromnej ilości bocianów, które tu przylatują i gnieźdzą się rokrocznie. Niema jednej chaty, niema jednego dachu, na którymby nie było kilku gniazd bocianich. Że ptak błotny polubił wieś stepową, wśród mnogich bagien położoną, nie byłoby w tym nic dziwnego. Któż jednak wytłumaczy, dla czego z kilku osad na tym samym stepie, daje pierwszeństwo Zazdrości i wyłącznie ją pokochał? dla czego nie polubił zarówno słomianych dachów rozrzuconych tu karczemek i folwarków Pantelichy, lub szwabskiej kolonii, którą na stepie osadził Lanckoroński, były właściciel Strusowa?

Jednostajność okolicy zmienia się ponad brzegami rzek. Ich łożyska ciągną się najczęściej u stóp wzgórz i tworzą wśród płaszczyn niższe, podłużne kotliny, przydając wdzięku smutnej okolicy. Te wzgórza gną się czasem w najrozmaitsze przeguby i porastają w nizkie krzaki leszczyny; gdzieniegdzie stromo wyskoczą w górę

Brzegowiska — istne mury,

jak powiada poeta; gdzieniegdzie na ich wierzchołku chyli się ku ziemi krzyż drewniany, omszony starością, pobożnego wieśniaka postawiony ręką. Nie znam piękniejszej w swoim rodzaju okolicy, jak brzegi Seretu i Hniezny, jak Trębowłę, z jej starém zamczyskiem na stromej górze. Jakże wspaniale i dziko ponad brzegami Zbrucza piętrzą się porośnięte lasem Miodoborskie skały, w okolicy Kręciłowa, Postołówki, aż po Liszkowce, miejsce urodzenia i śmierci miodoborskiego wieszczka, wieszczka dum podolskich, Tymona Zaborowskiego!...

Zbiegało się z całej Rzeczypospolitej rycerstwo polskie, aby bronić od napadów dzicy Rusi pobratymczą i wspólną z ruską szlachtą iść w zwyczajny tatarski taniec. Panowie budowali obronne zamki, w których lud z okolicy znajdował przytułek w czasie napadów. Ruiny tych zamków znajdziesz dziś jeszcze na Rusi, i to właśnie w okolicy, której dajemy opis. Zwykle przy miasteczkach, gdzie więcej górzyście położenie utworzyło punkt obronniejszy, na cyplu najwyżej wyskakującego wzgórza, stawał warowny zameczek. Obszerne dziedzińce mieściły w sobie żołnierstwo nadworne, a w razie napadu wszystkich tych, co tutaj szukały schronienia, baszty stały najężone armatkami; z nich prażono dżicz barbarzyńską, skoro zbyt blisko podsunęła się pod zamek. Ruiny tych zamków, mniej więcej zniszczone, widzieć można w Trębowli, Budzanowie, Sidorowie, Załościach, Jazłowcu i t. d. Kształt ich bywał zwykle podłużny; po rogach wybiegały okrągłe lub graniaste baszty. Gdzie położenie nie zdawało się dosyć obronne, wzmacniano je, jak w Złoczowie, umyślnie sypaniami, podmurowaniami szańcami i redutami. Pod basztami znajdowały się sklepione kazamaty, w których tymczasowo przechowywano jeńców pohańskich. Śród dziedzińca musiała być zawsze, choćby w największej górze wykuta studnia, aby dostarczyła wody załodze w czasie oblężenia. Głębokość tych studzien bywała czasem ogromna, stosownie do wysokości góry na której stawiano zamek. Ież potrzeba było pracy, ażeby z takiego szczytu dobrać się wody! Dziś te studnie stoją do połowy zarzucone gruzem, każdy bowiem z odwiedzających ruiny rzuca tam kamień, chcąc się przysłuchać echu tętniącego po ścianach studni kamienia i tym sposobem przekonać się o jej głębokości, której nie dojrzy oko. Zamki takie były dobrém schronieniem od napadów dzicy tatarskiej, lecz nie tak łatwo opierały się więcej wyćwiczonemu wojskom tureckim i tureckiej armacie. W r. 1672 Kaplan-basza wraz z tatarskimi hordy, w strasznym swym pochodzie od Kamieńca pod Lwów i Buczac, zdobył szturmem zamek w Budzanowie i w pień wyciął załogę wraz z ludnością, co tam szukała bez-



Szorański zamku w Jazłowie.

pieczeństwa. W zamku buczackim Teresa z Cetnerów Potocka, żona Jana Potockiego, wojewody brackawskiego, trzymała się wówczas przeciwko całej potęgę Turków, którzy zdobyli Buczacz, póki traktat zwany buczackim nie położył końca wojnie. Sławna jest w dziejach obrona zamku Trębowelskiego, który omal nie uległ szturmom tureckim, uratowany przez Chrzanowską i odsiecz Jana Sobieskiego.

Odkąd zmienił się stan rzeczy i ustały napady tatarskie, odtąd i zamki stały się niepotrzebne i upadły w gruzy. Zamek w Złoczowie przebudowano na koszary wojskowe i w tym stanie istnieje dotąd, straciwszy całkowicie pierwotną swą cechę. Najlepiej zachował się zamek w Czortkowie, z położenia swego mało obronny, bo stojący u podnóża wysokiej góry. Przed kilką dziesiątkami lat miał jeszcze dobrze zachowane dachy i komnaty mieszkalne. Był projekt obrócenia go na składy rządowe, lecz nie przyszedł do skutku. Później kazamaty służyły długi czas za areszta dominialne, a straż dominialna miała pomieszknię w jednej połaci. Z biegiem czasu dachy coraz więcej upadały, mury coraz silniej rysowały się; pękały i rozsypywały się sklepienia komnat, z łoskotem przerażającym mieszkańców w pobliskich domkach Czortkowskiego przedmieścia i dziś zamek ten, równie jak inne, jest w zupełnej ruinie. W zamku Załozieckim, gdzie dotąd jest jedna część zajęta na mieszkanie, usunęła się i runęła przed trzema laty w nocy cała jedna ściana zewnętrzna. Pozostawione od lat wielu mury bez żadnej naprawy, na którą znaczne potrzebaby wyłożyć summy, niszczeją i rozsypują się w gruzy, a tak wkrótce Załozieckie zamczysko pójdzie śladem reszty swych towarzyszy, sędziwych świadków przeszłości. W innych bowiem niema już ani śladu sklepień, dachów, ścian wewnątrz; tylko zewnętrzne ściany, zwykle najgrubsze, zachowały się z otworami strzelnic, z sterzącą jedną lub drugą basztą, lub łukiem wjazdowej niegdyś bramy. Ściany te nawet są już podebrane w wielu miejscach do samej ziemi; niedosyć bowiem że mur sam się kruszy i rokrocznie niszczeje, lecz Żydki z pobliskich miasteczek, znajdując tu wyboryny a bezpłatny materiał do murowania lub naprawy swych domostw, łupią kamień z tych murów i oszczędzając sobie dalekiego przywozu, mają ztąd nieraz wielką dogodność. Władze miejscowe powinnyby zapobiedz temu świętokradzkiemu i barbarzyńskiemu nieuszanowaniu starożytności. Słuszność atoli nakazuje wyznać, że dzisiaj sędziwe te mury doznają większej opieki: ukrócono swawolę i przynajmniej ręka ludzka nie przyczynia się do ich zniszczenia.

Nie znam wspanialszych ruin, jak zamku Trębowelskiego. Na podłużnej, stromo nad miastem wznoszącej się górze, sterczą wysoko na samej krawędzi góry, zwaliska murów. Wyżej ponad mur wykruszony wznoszą się jeszcze dwa omszone łuki bram wjazdowych; od zachodu kończy się zamczysko dwiema graniastymi basztami po rogach; od wschodu zaokrągła się całe w jedną ogromną basztę. Wdrapawszy się stromą ścieżką do środka, znajdziesz tylko ogromny, pusty dziedziniec, z głęboką lecz zarzuconą kamieniami studnią w środku pustej przestrzeni. Niema już nigdzie ani kawałka dachu, ani śladu zamieszkania. Od strony południowej mury wykruszone już do samej ziemi. Wyżej sterczą baszty narożne, równie poszczerbione w górze jak i reszta murów. Zdaje się że zwaliska zapadają się z biegiem czasu, bo otwory strzelnic wyglądają dziś już do połowy ledwo z ziemi. Tylko okrągła baszta wschodnia, mało przystępna, bo zbudowana na samym skraju prostopadłej góry, zaokrąglającej się w tym miejscu wraz z murem baszty, zachowała się dotąd najmniej uszkodzona, a pomimo że bez dachu i jak inne osiadła w ziemię, wierzch jej murów, porośnięty mchem i darnią, nie wyszczerbił się nigdzie dotąd. Mur ten jest na kilka łokci szeroki. Znałem chłopca, który chełpiąc się z odwagi, miewał zwyczaj wyjeżdżać na capie na mur baszty i wyprawiać po wierzchu tej okrągłej, murawą porośnięj ściany rozmaite zwroty, całą musztrę. Pewnego razu cap, spłoszwszy się, uskoczył w bok z muru, a że góra w tym miejscu spada prostopadle ze ścianą baszty, zleciał w przepaść z wysokości kilkudziesięciu sążni na równe nogi, z chłopcem na grzbiecie. Cap zabił się na miejscu, lecz chłopcu nic się nie stało.

Kryte, podziemne wycieczki, których dotąd są ślady, prowadziły z Trębowelskiego zamku, jak rozpowiadają miejscowi, prawie na milę do Krowinieckich lasów.

Po załomach gór nadbrzeżnych, po jarach okrytych karłowatym krzewem leszczyny, bywają kamieniołomy, tak zwane *debry*. Kamieniołomy trębowelskie wydają sławne płyty czerwonego koloru, używane do brukowania chodników po miastach, na posadzkę do ganków, korytarzów po domach, klasztorach, kościołach i t. p. Wyborne chodniki we Lwowie, które w ostatnim dziesiątku lat zastąpiły dawny niewygodny kostkowy bruk, są układane z płyt trębowelskich. Z debry zaścianeckiej, brusiki podłużne do stawiania pieców rozsyłają daleko w różne strony za kordon rosyjski. Piece z tych brusów celują swą dobrocią i trwałością. W niektórych kamieniołomach kamień wapienny daje się wypalać na wapno; lecz mało go jest w tej okolicy. Po większej części przywożą wapno mażami z Kurzan, z obwodu brzeżańskiego.

W górach Miodoborskich mają się nawet znajdować pokłady marmuru i alabastru. Żył siarczane ciągną się miejscami i wytryskują siarczane źródła. W pobliżu miasteczka Mikuliniec głośne było w okolicy takie źródło. Były właściciel baron Konopka, korzystając z tego, zamierzył utworzyć tutaj zakład kąpielowy; osadził więc kolonią szwabską, pomurował wielkie gmachy mieszkalne i łazienki i założył park angielski. Że jednak źródło okazało się za słabe i niedostateczne, zakładł podupadł i kąpiele, tutejsze bardzo mało są uczęszczane.

Urodzajność podolskiej gleby jest sławna. W wieku XV. kupcy weneccy zasilali pszenicą podolską Grecyą i wyspy Archipelagu. Urodzajom sprzyjają tu zwłaszcza lata dżdżyste, więcej mokre niż suche, i rzadko kiedy dla jakich szczególnych przyczyn nie sprawdzi się tu powszechnie znane przysłowie gospodarskie:

Suchy marzec, mokry maj,
Będzie żyto gdyby gaj.

Na łąkach dworskich sieją tu najwięcej pszenicy, i to czerwonej, którą w znacznej części, zwłaszcza z okolic bliższych Dniestru, spławiają tą rzeką do Odessy, ząd idzie morzem do Anglii. Pszenicę białą posyłają w górę łądem i Wisłą na targi gdańskie; lecz białej, wymagającej staranniejszej uprawy, mniej sieją na Podolu. Pszenica rodzi się bez nawozu, a lubo przez brak umiejętnego obchodzenia się z glebą od lat wielu, wyczerpała się miejscami dawna jej urodzajność, mimo tego z nawożeniem pól potrzeba tu postępować bardzo ostrożnie; ziemia bowiem podolska ma jeszcze sama w sobie tyle siły urodzajnej, że gdzie się niepotrzebnie doda nawozu, plon wszelki buja w słomę i polega. Toż na wartości nawozu, jako rzeczy mniej potrzebnej, nie zna się tutaj wieśniak, jak w innych stronach rolnicy. Przy zupełnym niedostatku drzewa, słomę używają na opał, a mierzwą do umocowania grobel, lub zamiast parkanów, układając z nich wysokie okopy w około podwórza i gumien. Grunt dostatecznie się odżywia, gdy co trzeci rok wypocznie odłogiem.

Z rolą człek się tam nie kłopi,
Słomę pali, nawóz topi,
I co zmoże, w skład wyorze...

Mimo to jednak

...sterty, stogi
W toku z laty poczerniałe,
Jak miasteczka stoją małe,

a z obszernych łąków dworskich, liczących po tysiąc i więcej morgów, odległych czasem na milę lub i więcej ode wsi, nikt nie byłby w stanie podczas natłoku prac w żniwa zwieźć całego plonu na gumno przy folwarku. Ztąd powstał zwyczaj stawiania stert w polu, na odleglejszych zwłaszcza łąkach. Podróżny jadący tędy po zbiorach, widzi je rozrzucone niby w szachownicy po całym widokregu. Sterty te, po-

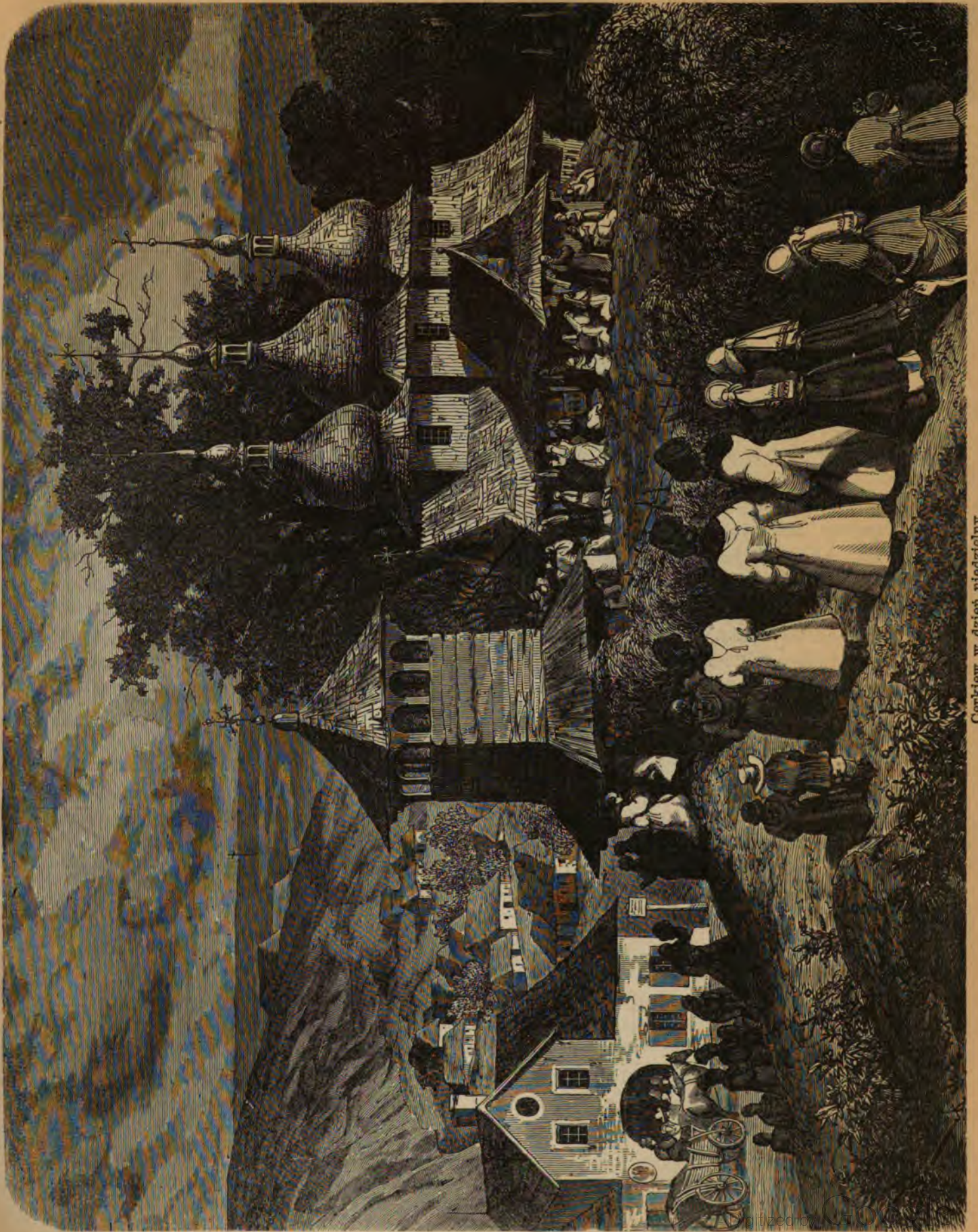
kryte słomą, stoją nieraz po kilka lat nietykane, jeśli właściciel, nieprzyciśniony potrzebą sprzedaży, wyczekuje lepszych cen. W zimie sanna drogą zwożą się także sterty do gumna i wmyłają najczęściej na młockarniach, lub podczas tęgich mrozów młocą je cepami wprost na polu, na tém samym miejscu gdzie stoją. Wymłócone zboże z plewą zwozi się do śpichrza, a słoma przegniwa w kupach i później rozrzuca się po polu.

Oprócz pszenicy, sieją tu z innych gatunków zboża najczęściej żyta, jęczmienia, owsa i hreczki. Płodozmian, gospodarstwo pastewne, uprawa koniczyny i innych traw nie weszły w użycie. Gospodarstwo trzypolowe, to zdawna przyjęty płodozmian tutejszy. Bujne łąny podolskie, przy niedosyć starannéj jak dotąd uprawie, (co przy tak rozległych obszarach łatwo daje się wytłumaczyć) zarastają perzem. Hreczka



Pastuszkowie przy drodze.

wygubia pęcz i oczyszcza role; toż i ziemniaki, których tu od czasu wysokiego podatku od wyrobu gorzałki i idącego z tém w parze wydoskonalenia przemysłu gorzelnianego, mianowicie od lat dwudziestu pięciu, znaczną ilość zaczęto sadić. Wielkie gorzelnie, pędząc gorzałkę najczęściej z ziemniaków, potrzebują ich bardzo wiele. We wsiach, w których są gorzelnie, zbierano po dwadzieścia tysięcy i więcej korcy ziemniaków. Przechowują je na zimę w kupach podłużnych, mających kształt spadzistego na wszystkie cztery strony dachu. Kupy te okrywają na zimę grubą słomą i ziemią od mrozów. W każdej mieści się zwykle po sto korcy. Ziemniaki stanowią najpożywniejszy i najtańszy pokarm wieśniaka; lud stara się więc sadić ich jaknajwięcej i żywi się nimi. Ale od lat dziesięciu ziemniaki psuć się zaczęły i zaprzestały wydawać plon jak dawniej. W niektórych latach zaledwo wracało się nasienie, a i ten skąpy



Cerkiew w dzień niedzielny.

plon, dotknięty zarodem choroby, gnił następnie już w schowku w ciągu zimy. Zaraza téż ziemniaków zadała wielką klęskę nie tylko właścicielom gorzelń, lecz stokroć dotkliwszą ludności całej, i przyczyniła się do drożyzny zboża. W wielu miejscach starano się zastąpić ziemniaki kukurudzą, równie przydatną na gorzałkę. Właściciele gorzelń, idąc za wzorem Bukowiny, zaczęli ogromne łany zasiewać kukurudzą, pomimo że jej uprawa i zbiór wymagają wielkiej pieczołowitości i znacznej liczby rąk. W ogóle jednak te próby, na wielkie dokonywane rozmiary, nie udały się w okolicy o której mowa. Klimat tu jeszcze nieco za zimny; kukurudza niezawsze dojrzewała i zebrana psuła się w koszenicach. Dopiero za Czortkowem, w południowej tego obwodu stronie, bliżej ku Bukowinie, udaje się lepiej uprawa kukurudzy.

Przyczyna powszechnej choroby ziemniaków i jej natura, dotąd nie jest właściwie wyjaśniona. Po kilku latach gorszych, zaraza zmniejsza się lub wcale ustaje, a następnie znów się pojawia.

Od czasu jak powstała fabryka cukru w Tłómaczu, zaczęto sadzić w większej ilości buraki, a gdzieś niedziele zasiwają téż rzepę w polu na karm dla bydła, tam zwłaszcza, gdzie w gospodarstwach wzorowych istnieje chów bydła na większy rozmiar. Wszakże nie od dzisiaj to już siwają rzepę na Rusi. Marcin z Urzędowa w Herbarzu swoim, mówiąc o rozmaitych gatunkach rzepy w Krakowskim, Sandomierskim, Lubelskim i na Mazowszu, tak się wyraża o rzepie ruskiej:

„Nigdy tak wielkiej nie widział we Włoszech, jak w Rusi. Niepodobna rzecz ku wierzeniu, że widział jedną jako donicę wielką; jednak nie jest ta wielka tak smaczna, jak mała krakowska.“

Dzisiejsza zwykła rzepa, przeznaczona na karm dla bydła, jakkolwiek dorodna, nie dochodzi przecież do takiej wielkości, bądź to iż urodzajność ziemi wyczerpuje się z wolna, bądź że inny rodzaj nasienia uprawiają obecnie, bądź wreszcie z innych jakich powodów. Wszakże klimat tutejszy już za mojej pamięci widocznie się zmienił. Klimat podolski w ogóle jest suchy, zdrowy. Zima, począwszy od listopada, trwa zwyczajnie pięć do sześciu miesięcy. Mrozy dochodzą czasem do dwudziestu stopni, a straszne bywają zawieruchy. Gdy po szerokich płaszczyznach rozszałe się wiatry i śnieżna wyje szaruga, przez dni kilka świata nie widać, tylko pędzone wiatrem tumany śniegu przewalają się, zaciemniają widok i zawierają wszystkie ślady dróg. Biada temu, kogo zawierucha podobna zachwyci w podróży, w polu, a zwłaszcza pod noc. W obłądzie, wśród wirujących w około tumany śniegu, można i dobę całą kręcić się w koło na miejscu, nie wiedząc gdzie się jest właściwie. Ileż to mniej ostrożnych lub zaskoczonych burzą w drodze, ugrąższy w śniegach z całym uprzęgiem, zmarzło, napróżno siląc się trafić na drogę w miejscach najlepiej sobie znanych! Burze takie trwają zwykle po kilka dni, najczęściej po trzy, lecz nieraz i tydzień cały. Podróżni, dobiwszy się wówczas do wsi lub jakiegokolwiek karczemki, muszą w niej przeczekać zawieruchę, chociażby niewiedzieć jak pilne mieli sprawy. Wsie zawiane ledwo widać, zaspy śniegowe piętrzą się powyżej chat i jakby wysokie szczyty otaczają wybrzeża wsi. Mieszkańcy zamknięci po chatach w ciągu trwania zawieruchy, gdy ustanie, muszą łopatami torować sobie drogę i odrzucać śniegi z pobliza mieszkań swoich.

Przed laty mniej więcej dwudziestu, wiosna zaczynała się tutaj wcześniej. Gdym był jeszcze dzieckiem, pamiętam że w marcu ojciec mój miał już zawsze obsiane owsy, a nawet jęczmiona. Drugi dziesiątek lat już mija, jak nie zaczęto na Podolu siejby wcześniej, jak w drugiej połowie kwietnia, a możnaby wyliczyć lata, w których nie można było zacząć jej przedź jak około 6. lub 8. maja. Pod tym względem klimat uległ widocznej zmianie. Wywiera to w ogóle szkodliwy wpływ na roślinność i urodzaje. Późny majowy zasiew jarych gatunków zboża, nigdy tak dobrego nie wyda plonu, jak wczesny, dokonany w marcu. Doświadczenie nauczyło, że wczesna siejba jest nieodzownym warunkiem pięknego urodzaju jarzyny. Przy opóźnionej wiosnie, bywa natomiast teraz dłuższa jesień i mrozy nastają zwykle w drugiej połowie listopada, gdy dawniej bywały już w październiku. Żniwa zaczynają się tu około 20 lipca. Upały wtedy dochodzą czasem do 28 i 30 stopni; lecz nie trwa to długo, a że otwarte płaszczyzny wystawione

są na przewiew wiatrów, więc i upały nie bywają zbyt uciążliwe. Siejbę rozpoczynają na Św. Bartłomiej, a nawet wcześniej, około 16. sierpnia, i plon tych zasiewów bywa najobfitszy. Bartłomiejskie zyto udaje się zwykle najlepiej, acz i w tém bywają wyjątki, a pszenica bartłomiejska bywa najlepsza. To téż dobry gospodarz zawsze w téj porze rozpoczyna siejbę. Siejba żyta powinna się kończyć z dniem 15. września, siejba pszenicy na Św. Michał. Co się później sieje, to już niepewne, a zawsze plon będzie mniej wydajny, ziarno szczuplejsze. Niektórzy przedłużają z potrzeby siejbę do ruskiego święta Pokrowy, które przypada dnia 13. października, i to jest ostateczny kres siejby. Kto później sieje, należy do najgorszych gospodarzy, i tego wytykają. Najczęściej téż nic nie zbiera, lub mało co; mrozy albowiem listopadowe chwytają prawie zawsze siew taki w samym kiełkowaniu i niszczą. Koniec października bywa piękny.

W téj porze, po pierwszych słotach jesiennych, przychodzi tak zwane *babie lato* i trwa około dziesięciu dni. Najpiękniejsza, zda się wiosenna, wraca pogoda, ciepło słoneczne przypomina maj i czerwiec, murawy rozzieleniają się, w lasach dojrzewają powtórnie poziomki i fiołki, po ścierniach i łąkach, jak okiem zajrzeć, ścielą się pajęczyny i mieniają w słońcu na pogodę. Piękna to lecz króciuchna i zwodnicza pora; lada dzień bowiem powracają tym razem już prawdziwe jesienne i długotrwałe słoty, a mrozy listopadowe niszczą roślinność.

ROZDZIAŁ II.

Wieś podolska. Dwór. Cerkiew i jej sąsiedztwo. Plebania. Dobrodziej i rejent. Dżak pedagogiem. Dzień świąteczny. Wnętrze cerkwi. Obrazy i figury. Ubiór świąteczny. Służba Boża. Karczma. Wójt i jego sądy. Żyd arendarz. Muzyka i tańce. Kołomyjka. Koniec zabawy.

Śród szerokich równin widniejąca zdaleka wieś podolska wygląda jak zielona wierzbowa oaza. Wjechawszy do wsi, poznasz odrazu że jesteś w okolicy, w której zupełnie brak lasów. Nie ujrzysz nigdzie płota, grodzonego z chróstu; każde podwórko wieśniaka, czyli jak je tu, z ruska nazywają *obejście*, otoczone jest wysokim wałem mierzwy, której tu wszędzie podostatkiem. Wał taki wysoki na dwa do trzech łokci, przyłożony z wierzchu ziemią, gdy się dobrze ułże, stanowi dosyć mocne niby przedmurze całego obejścia. Z poza niego zaledwo do połowy widać chatę i inne niskie, często chylące się ku ziemi gospodarskie zabudowania wieśniacze. Inni znów okopują obejścia swe rowem wysokim, a zwłaszcza większe ogrody, jeżeliby na otoczenie ich wałem słomianym zbyt wiele potrzeba było mierzwy. Nadaje to wsi podolskiej szczególną, właściwą jej cechę, i odróżnia ją na pierwszy rzut oka od siół, w innych okolicach. Te rowy i wały mierzwane obsadzają wzdłuż wierzbami. Wierzba rośnie wszędzie, przyjmuje się najłatwiej, i jest nieodstępną towarzyszką siół podolskich, drzewem, w braku innych, najczęściej tu sadzonym. Wieśniak podolski lubi ją mieć pod ręką, ona zaspokaja rozmaite codzienne jego w gospodarstwie potrzeby. Ciągłe podcinana i okrzesywana, wierzba odnawia się i coraz świeżem zielenieje liściem, a z pnia okrzesanego wypuszcza ciągle koronę nowych gałęzi. Pocziwe to drzewo jest w wiecznej zgodzie i porozumieniu z wieśniakiem ruskim. Jest to niby dobry, prawdziwy przyjaciel, brzydkiej powierzchowności, lecz szczery i serdeczny. Na fujarkach z jej kory przygrywają chłopaki, cudne, tęskne piosenki ruskie, jadąc z końmi na nocne pasze. W braku paliwa gałąź wierzbowa przyda się także czasem, a skwiercąc w piecu, oświeci chatę i ogrzeje garnek z wyziębłą strawą. Świeża gałąź ostrugana przyda się na biczysko, da się skręcić na wużełkę (węzełek), rodzaj powrozu do przymocowania luszni i drabin u wozu; słowem, wierzba zawsze użyteczna i żadna wieś bez niej się nie obejdzie. W ogrodzie pomiędzy

grzędami zasada włościanin grusze, jabłonki kwaśnice, lub śliwy, co wszystko w najgorszym gatunku, rozrasta się tylko bujnie w konary, bez należytego a raczej bez żadnego pielęgnowania. Chłop ruski niewielki téż smakosz; jabłka kwaśnice, gruszki maleńkie, cierpkie są dlań największym przysmakiem. Nie czeka nawet nigdy aby dostatecznie dojrzały, lecz zrywa z drzewa jaknajwcześniej zielone i twarde, że zaledwo je ukąsić można i spożywa z takim smakiem, jakby najszlachetniejszy owoc stref południowych. Ztąd zagęszczają się choroby i uporczywe febry, zwłaszcza z wiosną między dziećmi. Niedziw zresztą że w okolicy skąpój w lasy i sady, dla wieśniaka przyzwyczajonego do lichój strawy, lada owoc niedojrzały staje się przysmakiem. Gdy czasem zajedzie do wsi fura wioząca na sprzedaż jabłka i gruszki z dalekiego o kilka mil sadu, zbiegają się skwapliwie z całej wsi gospodynie i dzieci, mieniając miskami, miska za miskę, zboże za twarde kwaśnice, bo pieniędzy lub niema w chacie, lub gdy są, to je wieśniak niechętnie wydaje, chyba Żydowi za wódkę i na zapłacenie dawnych długów w karczmie.

Wsie na Podolu są zwykle duże; każda z nich liczy często po dwieście lub trzysta osad i miéwa po tysiąc kilkaset mieszkańców. We wsi krzyżują się szerokie drogi. Niebrak miejsca na Podolu, toż każda chata rozsiadła się szeroko jedna od drugiej ze swém obejściem. Każde obejście poza wałem lub rowem zamknięte jest wrotami z łąt z obu stron ociosanych, które zbijają się na kołki trzema takimiż łątami poprzecznie, lub na krzyż, co jednak dowodzi już nieco większej znajomości ciesielskiej gospodarza chaty. Wrota takie stanowią tedy bramę dosyć przystępną, że tak powiem, przejrzystą, czemu aby zapobiedz, przepłatają łąty chróstem, jeżeli go zkad dostać można. Dzieje się to jednak rzadko, bo chróst to już przedmiot zbytkowy i plecionka téż ta znika wkrótce z pomiędzy łąt, użyta w zimie nieraz na podpał, na obronę od psa i t. p. Bo psów jest tu wiele, a zastępują one swą czujnością brak staranniejszego ogrodzenia. Otwarta i przystępna chata każda ma za obrońcę jednego lub kilka psów, często zażartych i śmiałych na własném śmieciu. Jadąc drogą przez wieś, trudno się od nich opędzić, a wchodząc na podwórze, to już nie można się obejść bez kija, chcąc się ustrzedz szwanku. Szczególniej dają się we znaki zebrzącym dziadom i Żydom, czując do nich wstręt instynktowy.

Po obu bokach szeroko ciągnącój się drogi, szumiąca gałęzmi zielonych wierzb i gruszy, wieś pochyla się nieznacznie ku grobelce ubitój z mierzwy i z ziemi, za pomocą której utworzono niewielki a płytki stawek. Przy małej ilości rzek większych w okolicy, a potrzebie wody w każdej wsi, postarano się wszędzie o utworzenie stawku ze zlewiska miejscowych zdrojowisk i potoczków. Stawek, wokoło obsadzony wierzbami, których pnie obkrzesane sterczą w rozmaitym kierunku, i chylą się ponad błotniste brzegi. W nim trzy razy na dzień poi się trzoda gromadzka, tratując i mieszając grunt jego błotnisty; nad brzegiem chłodzą się zaryte w bagno nieodstępne każdej chaty, bo nader pożyteczne, mówiąc wyrazem tutejszego wieśniaka „przepraszam bezrogi“; bawią się nad brzegiem w błocie dzieci w obdartych koszulinach, a kobiety na podłożonych deskach piorą bieliznę, po kolana stojąc w wodzie, nawet przy największém zimnie, gdy woda lodem się już ścinać zaczyna. Czasami nad grobelką zaturkocze maleńki o jednym kamieniu młynek, wielka dla całej wsi wygoda, chociaż nieraz i korca na całą nie udrapie dobę, a większą część roku stoi bezczynnie, dla braku dostatecznej ilości wody, i rusza się tylko z wiosną, gdy śniegi topnieją, lub śród szczególnie dżdżystój pory. We wsiach niektórych, zwłaszcza większych i w niższém leżących położeniu, bywa po kilka takich stawów. Znam wsie liczące ich po cztery i pięć. Tylko w stawach większych poławiają się ryby i raki; w mniejszych, które zwykle wszérz i wzdłuż w bród przejść można, brnąc po kolana w błocie, zaledwo gdziegdzie mizerna zabłąka się płotka, lub karaś, liliput swojego rodu, a to z téj przyczyny, że tutaj moczą się z wiosną z całej wsi konopie, co nietylko jest zabójczém dla wszelkiego ryb gatunku, ale i dla ludzi nieprzyjemną i niezdrową wonią zatrzuwa powietrze w pobliżu.

Na krańcu zwykle wsi, oddzielony od chałup chłopskich szerszym ogrodem, dziedzińcem i liczniej-

szemi zabudowaniami, stoi dwór, mieszkanie właściciela lub dzierżawcy wsi. Niegdyś, niedawnymi jeszcze nawet laty, był to dworek skromny, z gankiem o dwóch słupkach naprzód wystającym, pokryty słomą, o kilku izbach, z kuchnią i piekarnią pod jednym dachem. Po bokach dziedzińca ciągnęły się stajnie, obory i łączyły nieopodal z zapełnionem stertami gumnem dworskiem. Na podwórzec wiodła brama wysoka z tarcic na biegunach, pod poddaszem grubo w kształcie grzebienia słomą posytem. Ogród warzywny ciągnął się tuż za domem, z grządkami uścielonemi wszelkiego rodzaju szerokolistnem warzywem,

lub pnącą się po tykach fasolą, bobem, grochem i kukurudzą; gdzieś ustrajały go malwy i słoneczniki; pod samem oknem dworku pachnęła grządka zasiana rzedą i innymi kwiatkami, pomiędzy którymi najwidoczniejsze znów były pstrokate wszelkiego koloru pełne maki. Stara ulica lipowa ciągnęła się nieco dalej brzegiem ogrodu. Niejeden z nas jeszcze pamięta dzie-



Dobrodziej.

wraz z gumnem i folwarkiem przeniosły się opodal, aby nie psuły sztucznie utworzonej perspektywy z okien pałacu. Park angielski, zielone trawniki zastąpiły miejsce warzywa; wycięto stare lipy, pod którymi jeszcze staruszek dziadek odmawiał regularnie poranne i wieczorne pacierze. Zbytek wypędził dawną oszczędność, adamaszki i brzozy zastąpiły skromny dreliszek i cyce. A jak ów pałac wystawiony umyślnie w miejscu, aby był widocznym zdaleka, tak wszystko w nim wewnątrz obliczone na pozór. Nieraz robak niedostatku, sprowadzonego własnym nierządem i nierozsądkiem, gnieździ się pod tym świecącym blichtrzem, a serdeczność i cnoty domowe zastępuje powierzchowna uprzejmość. A im ten nowożytny

ckiem dworek taki, i skromne w nim, cycem obite sprzęty, i gościnność w nim serdeczną, szczerą i bogobojność, i życie patryarchalne w tych szczupłych białego dworku ścianach. Lecz dzisiaj znikły już te nizkie o małych ganeczkach dworki, a zastąpiły je gontami kryte, o czerwonych dachach i kolumnadzie rozmaitego kształtu pałace i pałacyki. Zabudowania gospodarskie

pałac mniej do dawnego podobny dworku, im okazalszy i wyżej ponad chaty wiejskie się wznosi, tém téż i szerszy rośnie między niemi przedział, tém więcéj obcy stają się sobie ich mieszkańcy, ze szkodą dla oświaty i ludzkości. Toż chcąc przypatrzeć się ludowi, nie mamy poco dłużej bawić w wyosobnionym od reszty sioła dworcu. Innym razem rozpatrzmy się dokładniej w jego wnętrzu i zapoznamy z nim bliżej; teraz wracamy do wsi.

Na przestronném zwykle miejscu, mniej więcéj w samym środku wsi, stoi drewniana cerkiew. Ludność tutejsza jest po największój części greko-unicka; toż i kościoły są rzadsze, za to cerkiew w każdój wsi się znajduje, a wszystkie na jeden sposób budowane, przypominają nam architekturę bizantyńską, o ile ją prosty wiejski cieśla naśladować potrafił. Układane z grubych tarcic, niskie, mają kształt podłużnego krzyża, z krótko uciętemi poprzecznymi ramiony. Trzy baniaste kopuły, środkowa wyższa, dwie skrajne niższe, gontami kryte, stanowią jój dach. Od kopuł również gontami obite poddasze zniża się aż prawie do połowy ścian cerkiewnych i obiega je w koło, tak iż niemal cała cerkiew zdaje się z gontów zbita. Na kopułach greckie żelazne krzyże, zwykle rdzą i burzami nadwergężone, na rozmaite chyłą się strony. Gdzie ksiądz staranniejszy, a gmina, czyli mówiąc z ruska *gromada*, bogatsza, tam dach cerkiewny malowany na czerwono, a cerkiew otoczona sztachetami. Miejsce dokoła cerkwi, zowie się, jak w innych stronach, cmentarzem, gdyż dawniej grzebano tu umarłych. Świadczą o tém mchami pokryte, na wpeł w ziemię wrosłe płyty kamienne, z ruskimi kirylicą napisami, a czasem sterczący nawet dotąd jeszcze nadłuczony i pochylony krzyż mały, z szerokiemi ramiony, wyciosany z piaskowca. Dziś cmentarze przeniosły się poza obręb wsi i niewolno nikogo grzebać w pobliżu cerkwi; nazwa jednak i pamiątka zostały. Po rogach tego cmentarza, nieopodal cerkwi stoją ogromne, przed wielu sadzone laty, rozłożyste lipy, i czyto z wiosną wonném kwieciem odziane, czy do późnej jesieni bujnym, ciemno-zielonym szumiące liściem, przesłaniając patrzącemu zdala oku ściany cerkiewki, poetycznego wdzięku całemu dodają widokowi. Nieopodal furty, przy jednym boku cmentarnego podwórza, najczęściej wprost drzwi głównych cerkiewnych, wznosi się szczególnego kształtu, piętrowa, z grubych belek powiązanych krzyżowo zbita dzwonica. Pod krytym gontami dachem, świeci się kilka niewielkich, śpiżowych dzwonów. Dostać się do nich można po przystawionych wewnątrz jedna nad drugą drabinach. Tylko sam dół takiej dzwonicy bywa obudowany ścianami lepieniem, i wówczas służy zarazem za trupiarnię w szczególnych razach. Tu także mieszczą się nosze, mary i inne sprzęty pogrzebowe. Gdzie dzwonica wcale nie obudowana, tam mieszczą się one w przedsieniu cerkwi, lub stoją zewnątrz pod poddaszem cerkiewném.

W pobliżu cerkwi, na tymże samym przestronniejszym w pośrodku sioła obszarze, po drugiej stronie drogi, patrząc oko w oko z cerkwią, stoi podłużna, z podsieniem o drewnianych słupach, karczma, miejsce zwykłych schadzek i zabaw wiejskich. Jeżeli cerkiew bywa nieraz pochylona starością, jeżeli z pozrywanymi gontami i przechyloną kopułą nosi ślady zaniedbania na sobie, karczma, z frontu zwłaszcza, świeci pobielonemi, dobrze utrzymanemi ścianami i starannie poszytym dachem. Smutny to zaiste, lecz niechybnie w każdój wsi powtarzający się widok, owa nierozłączna bliskość cerkwi i karczmy, które tak sąsiadują z sobą, jak w ustach wieśniaka pacierz i słowo przekleństwa, jak w jego życiu pobożność i zepsucie. Na podsieniu karczmemném zbiera się gromada przede mszą w dniu świąteczne, nim ksiądz wejdzie do cerkwi i rozpocznie mszę św. Po wzięciu komunii każdy coprędzej bieży tutaj popłukać, jak powiada, usta półkwatkiem wódki. Tu po mszy zbierają się znowu i zapijają czczość żołądka. Każdy obrzęd cerkiewny, chrzciny, wywody, pogrzeby, śluby, kończyć się muszą traktamentem w karczmie, w której rozsiadł się Żyd arendarz, przebiegły, umiejący korzystać z każdój namiętności i ułomności chłopca.

Dotąd jeszcze, niestety! chłop ruski pracę i zabawę, wszystko to nawet co z Bogiem poczyna, kończy kieliszkiem, topi w pijaństwie. Karczma nieodstępna w pobliżu cerkwi, jest widomém godłem gangreny nurtującej w żywocie ludu.

Pomiędzy cerkwią i karczmą, przy głównej drodze, najczęściej na rozstaju, wznosi się zwykle krzyż kamienny, na takiejże czworogranniej podstawie, obsadzony czterma lipami. Figura postawiona na pamiątkę zniesienia pańszczyzny w Galicyi dnia 3 maja 1848, stoi na głównym placu w każdej wsi. Są one wszystkie do siebie podobne kształtem i napisem, z ciosowego kamienia. Oprócz tych pamiątkowych, spólnym kosztem całej gminy stawianych figur, spotyka się często bądź we wsi, bądź przy drogach w polu, figury z drzewa, jako wota staraniem pobożnych majątniejszych stawiane gospodarzy. Są to albo wysokie krzyże, mniej więcej przyozdobione, malowane na czerwono lub zielono, z rozpiętym w górze Chrystusem z malowanej blachy, narzędziami męki Pańskiej, blaszanym daszkiem i kogutkiem na szczycie; u podnóża zwykle z napisem kto i kiedy krzyż ten postawił; lub też bywają to osoby rozmaitych świętych, najniezgrabniej z drzewa wyrobione i pomalowane. Nad osobą takiego świętego bywa rodzaj kapliczki, z daszkiem i sztachetami.

Obok cerkwi stoi pomieszkanie księdza, otoczone zabudowaniami gospodarskimi. Budynek mieszkalny mało różni się od zwykłej chaty chłopskiej, tylko że większy i staranniej utrzymany. Po jednej stronie sieni izba mieszkalna i alkierz, po drugiej izba czeladna, w której odbywają się wszelkie roboty gospodarskie domowe. Obok pomieszkania ciągną się jedna za drugą stajenka na konie, obora na krowy, szopy i chléwki. Z poza nich przeglądają stogi na toku i stodoła porządnie słomą poszyta. Ksiądz obrzędu greckiego na Rusi jest zawsze gospodarzem. Oprócz dochodów z cerkwi za śluby, pogrzeby, spowiedzie i t. p., główne jego utrzymanie stanowi dochód z gospodarstwa. To też oddaje mu się gorliwie i osobiście chodzi około roli. Gmina ma obowiązek budować i utrzymywać w dobrym stanie bezpłatnie dom jego i wszystkie budynki. Ksiądz, który ciągle ma stósunki z swemi parafianami, którego uczynność jest im ciągle potrzebna, bez którego oczywiście nie może się obejść chrzest ani pogrzeb, który odmawia na ich intencje msze i akafisty, używa wielkiego znaczenia i powagi w gromadzie, chociaż nieraz nie lubią go osobiście i uskarżają się nań, — korzysta więc nieustannie z tego wpływu jaki wywiera i całe gospodarstwo opędza po większej części bezpłatnie. Żaden z parafian nie może oprzeć się jego wezwaniu, bo wie że przy każdym ważniejszym zdarzeniu rodzinném czy gromadzkim, ksiądz będzie mu potrzebny, czy to aby zasięgać rady, czy aby odprawić nabożeństwo i t. p. Dla tego też nazywają księdza powszechnie *dobrodziejem*. Dla dobrodzieja w pilny czas żniwa gromada chętnie na wezwanie skosi i zbierze wcześniej niż dla dworu, a czasem nawet wcześniej niż dla siebie. Półkopki zwiozą bodaj miesięczną nocą. Ogrody u dobrodziejki wypielone zawsze i podgarnięte sąsiedzka przysługą bab wiejskich. Chłop uczuwa że tak powiem nieświadomie wyższość księdza nad sobą i tém się powoduje. Nadużywają też tego nieraz księża, co daje powód do sporów i procesów z gromadą. Zwłaszcza przy chrztach i ślubach dowolnie nakładane opłaty, wymagane prócz opłat rozmaite dodatkowe roboty w polu i ogrodzie, bywają szkopułem, o który rozbija się przyjazny obopólny stósunek księdza z parafianami. Pomimo tego jednak, pomimo szorstkości z jaką nieraz jedna strona przy swych obstaje wymaganiach, a niechęci drugiej strony, niezawsze słusznej, bo pochodzącej często raczej z lenistwa lub braku usłużności, niż z przesadnych przeciwniej strony wymagań, wpływ księdza w ogóle i stanowisko jego w gromadzie jest bardzo przeważne. Gromada, chociaż w niejednej sprawie toczy spór z księdzem, w nim jednak głównie pokłada zaufanie, do niego ucieka się najprędzej po radę we wszelkich sprawach i sporach, bądź z dworem, bądź pomiędzy sobą. Słowo księdza, chociaż nielubionego zkażdą, znajduje zawsze pełną wiarę w podobnych razach. Ksiądz jest stanowczą wyrocznią we wsi i bez niego żadna ważniejsza nie obejdzie się sprawa. Przyczynia się do tego ciągle, codzienne jego obcowanie z każdym ze swoich parafian, znajomość dokładna usposobień i stosunków każdego z nich, zbliżony sposób życia i obyczaju. Dla tego chłop tutejszy uważa księdza ruskiego za bliższego sobie, jednego z nim rodu i pochodzenia, gdy przeciwnie szlachcic każdy, chociaż na tym samym zrodzony kawałku ziemi, na ruskiej wykarmiony kaszy, Rusin krwią i ciałem, że jednak używa

odmiennych sukien, wydaje się chłopu czémś niby inném i obcém. Jakże zbawienny wpływ mogliby właśnie wywierać księźa pod względem oświaty i uobyczajenia na ludność, śród której taką przewagę zapewnia im ich stanowisko! W ciągłej styczności z ludem, ksiądz słowem i przykładem jeden może tylko zdoła najskuteczniej wykorzystać z czasem nurtujące społeczeństwo tutejsze zdrożności i namiętności, zaszczepiać ufność i zgodę między rozmaitemi jego warstwy. Oby tylko duch miłości chrześcijańskiej ogrzewał piersi wszystkich!

Drugą po księdzu osobą w gromadzie, co do znaczenia i wpływu, jest diak cerkiewny, w niektórych okolicach honorowo *regentem* zwany. On zajmuje się bezpośrednio utrzymaniem porządku w cerkwi i najbliższej stoi osoby księdza, który go też do swych osobistych posług używa. Ksiądz przyjmuje i odprawia diaka dowolnie, jak mu się podoba, ztąd diak dba o łaskę księdza i służy mu gorliwie. Przez niego też droga do wszelkich względów i łask dobrodzieja, a ktokolwiek z gromady ma bądź prywatny, bądź cerkiewny interes do księdza, udaje się wprzód do diaka i u niego szuka protekcji, zawsze najskuteczniejszej. Dla tego o dobre słowo regenta i regentowej stara się każdy — na prazniku, jarmarku, pominkach, w karczmie czy na domowych ucztach, diak bywa częstowany, honorowany i zawsze na pierwszym sadzany miejscu. Znaczenie to zwiększa się wysokiem mniemaniem o nauce jego i rozumie. Diak, oprócz obowiązków swych w cerkwi, bywał niedawno jeszcze także nauczycielem szkółki wiejskiej — a raczej u niego była szkółka, czy też mieszkał w szkółce, jak kto chce. Dosyć że pomieszkanie diaka nosiło nazwę szkoły i było właściwie na nią przeznaczone. Lecz zwykle zajmował regent szkołę na pomieszkanie i mieścił się w niej z całym swém gospodarstwem wiejskiém, z kurami i prosiętami w izbie, z cielęciami i jałówką w sieni. Tutaj schodziły się do niego dzieci na naukę. Najczęściej diak mieszkał po jednej stronie chaty, a izba po drugiej stronie była właściwie przeznaczoną na szkołę; lecz jeżeli chata była mniejszą, a regent z familią nie mógł się pomieścić na jednej stronie, zajmował całą chatę i nauki odbywały się w izbie mieszkalnej. Nędzna to była nauka: ograniczała się na poznawaniu głosek, sylabizowaniu i czytaniu na ruskim elementarzu. Uczono na pamięć mechanicznie. Diak przepowiadał z góry literę po literze, a chłopcy powtarzali za nim. Gdy się wyuczili abecadła, następowała w podobny sposób nauka sylabizowania, a następnie czytania, póki chłopcy mimowolnie całego elementarza nie wbili sobie w głowę na pamięć porządkiem od deski do deski. Wówczas umieli czytać na tej jednej książce, lecz na innej chybaby w tym celu osobny znowu kurs odbyć musieli. W podobny sposób uczono się także czasem i na polskim elementarzu, lecz rzadko bardzo i jako przedmiot zbytkowy, a to najbardziej z tej przyczyny, że i sam diak rzadko kiedy umiał czytać po polsku. Do szkoły schodziły się chłopcy rano równo ze świtem, przynosząc z sobą po kawałku chleba w torbach, jako zapas na dzień cały, i zostawały aż do wieczora w tej szkole diaczój, zadusznój i ciemnej. Istne męczenniki, skurczone po całych dniach nad niemilami i zabrudzonymi kartami podartych elementarzy, trapione nudą zabijającą wszelkie umysłowe siły. Kilku niby odkomenderowanych na dyżur, szło na cały dzień na służbę do pani regentowej; z tych jeden kołysał dziecko, inny karmił prosięta, zamiatał chatę, inny strugał marchew i buraki, lub wyrzucał gnój z chléwa. Ci dyżurni byli najszcześliwsi. Mieli przynajmniej zatrudnienie i używali ruchu. Kurs nauki trwał przez zimę. Z wiosną dzieci szły z bydłem w pole, lub do innych gospodarskich robót, a szkoła służyła przez lato za schowek rozmaitych przedmiotów i zbiorów gospodarskich pani regentowej. Odkąd w ostatnim lat dziesiątku poczęto zakładać po wsiach porządne szkółki, z osobnymi egzaminowanymi nauczycielami, upadło pedagogiczne znaczenie diaka w gminie.

Aby jednym rzutem oka poznać fizyognomią ludu ruskiego, najlepiej będzie przypatrzeć mu się w dnie świąteczne, w miejscu jego zwykłych niedzielnych zgromadzeń. Miejscami temi są zrana cerkiew, gdzie na mszę św. „na służbę Bożą“ całą gromada zbiera się regularnie i po południu w karczmie na wieczornój zabawie, na niedzielnej muzyce.



Kołomyjka.

A. REGULSKI.

Chłop ruski jest pobożny. W święta nie opuści nabożeństwa, zwłaszcza gospodarze i porządniejsi w gromadzie, bije pokłony w cerkwi, pości i odprawia regularnie przepisane spowiedzi i pacierze. W każdą niedzielę lub święto, gdy diak z poddiaczemi odśpiewa *synoczne*, gdy dzwony cerkiewne uderzą na nabożeństwo, cała wieś jest w ruchu, wszystkimi drogami i ścieżkami ciągnie ze wszech stron lud do cerkwi. Cerkiew otwarta od rana. Wewnątrz ściany jej ubrane w obrazy świętych, co wszystkie najjaskrawszymi malowane barwami, jeden obok drugiego, zakrywają całe ściany aż do baniastego pułapu w górze. Obrazy te, jedne w ramach gorąco żółtych, czerwonych, czasem na srebrno niby pobielanych, inne znów wprost na rozciągniętym na ścianie płótnie niby al fresco robione, żadnej zwykle nie miéwają artystycznej wartości. Im więcej obrazów w cerkwi, im jaskrawszymi są malowane farbami, tém cerkiew jest ozdobilniejszą, tém więcej chlubi się nią gromada, co swoim kosztem te wszystkie sprawiła ozdoby. Malował je wiejski jakiś artysta, umyślnie do tego rodzaju malarstwa używany. Wiele obrazów ubieranych bywa w rozmaite ozdoby, firanki z chustek, z perkalików, z białymi szychowemi frędzlami, które jako wota zawieszają pobożniejsze parafianki. Na szyi Matki Boskiej wiszą sznury grubych kolorowych paciorek, czasem nawet koralu, przeciągnięte przez płótno obrazu. Na szyjce Dzieciątka Jezus drobniejsze wiszą pacioreczki. Innych obrazów ramy w około utkane wonném, częstokroć zeschłém już zielem. Cerkiew, jak zewnątrz okazuje kształt krzyża, tak i wewnątrz dzieli się na trzy oddziały. Wielki ołtarz we wschodniej kończyźnie cerkwi, oddzielony od samegoż jej środka ścianą, okrytą od stropu do dołu szeregami obrazów, przedstawiającymi tu zwykle apostołów pańskich. W téj ścianie są tak zwane *carskie wrota*, wprost wielkiego ołtarza, które ksiądz przy rozpoczęciu mszy św. otwiera, a skończywszy obrzęd, znowu własnymi rękami zamyka. Carskie wrota są zawsze jaknajwięcej przyozdobione, ile tylko stać gustu księdzu, a gminie funduszów, a składają się z tafli malowanych w rozmaite sceny z pisma św., z żywota i męki Chrystusa Pana. Każda zaś tafia, ujęta w pobielane lub żółte ramy, świeci się i dodaje blasku wrotom. Zakrystyi niema; ksiądz za wielkim ołtarzem ubiera się i przygotowuje do mszy, tam téż stoją skrzynie z ornatami, ze świecami dla bractwa i t. p. Ławek podobnież niema, — oprócz jednej lub dwóch małych, o jedném tylko siedzeniu, w których zwykle zabiera miejsce popadnia, ekonomowa, lub ktoś ze dworu. Gdy więcej znakomitości zbierze się na mszę, ksiądz każe przynosić od siebie krzesła i sadza obok ołtarza osoby, które chce odszczególnić. Tuż przed carskimi wrotami wzdłuż ściany, umieszczony jest pulpit z wielkimi księgami, za którym w czasie mszy śpiewa diak z poddiaczemi. Do tego pulpitu, do ławek i do ścian przymocowane stoją chorągwie cerkiewne, używane przy procesjach, na których rozmaici święci, najwięcej święty Mikołaj, w przeróżnych strojach i postawach, jaskrawymi świecą się kolorami.

Obok carskich wrót ku środkowi cerkwi stoi stoliczek podłużny, okryty chustkami różnokolorowemi, a na nim leży krzyż mały grecki o trzech ramionach, z wyrzeźbioną męką Pańską, obok postawiona tacka z miedziakami. Każdy wchodzący do cerkwi przeciska się do stoliczka, ukleka, bije trzy pokłony czołem o ziemię, (przyczém za każdym razem zęga się, całuje ziemię i krzyż położony na stoliczku), rzuca miedziaka lub dwa na tackę i dopiero wraca i mieści się wśród tłumu. Środkowy oddział cerkwi zajmują mężczyźni. Na czele najbliżej wrót carskich bractwo z najporządniejszych we wsi wybrane gospodarzy i gospodyń, z dużemi zapalonemi świecami z żółtego wosku; na samym przedzie stoją dzieci, chłopcy ogarnięci świętecznie, to jest jeśli mniejsze, najczęściej w kaftan matki sięgający po kostki, podpasany krajką; jeśli większe i zamożniejszych rodziców, to już w opończach i białych koszulach, spiętych pod szyją czerwoną wstążeczką. Tuż za bractwem stoją najstarsi i najzamożniejsi gospodarze wsi, w baraniach, długich po kostki kozuchach, zarówno czy to w zimie, czy w lecie, wśród największego upału. Kozuch barani, jest to najdroższa odzież wieśniaka, oznacza jego zamożność; to téż na każdą uroczystość i święto, wszystko jedno zimą czy latem, przyodziéwa go każdy, kto tylko kupić go sobie może. Pojąć trudno jak chłop ustrojony świętecznie wytrzymać może, nieraz w największy upał i w największej ciźbie,

w takim na tęgie tylko mrozy przydatnym kożuchu; przyzwyczajenie jednak usposabia naturę do znoszenia gorąca i kożuch nie staje się wcale nieznośnym chłopu wśród upału; tylko wysoką baranią czapkę zastępuję w lecie kapeluszem niskim, z szerokimi krésami, uplecionym ze świeżej słomy i dla ozdoby obwiedzionym czerwoną bawełnianą wstążką, zwaną *harasówką*, albo w braku jęj szerokim na dwa cale paskiem czerwonego lub granatowego sukna. Parobcy, młodsze pokolenie wsi i mniej zamożni, przywdziewają do cerkwi opończe po kostki. Kobięty pozostają w pierwszym oddziale cerkwi zaraz u wstępu, niby w kruchcie. Bogatsze wdziały także baranie, odświętne, suknem granatowém pokryte bekiesze, uboższe poprzestają na sierakach lub kaftanach w paski, sięgających do kolan, z wązkami rękawami, podpasawszy je krajką. Męzatki obwijają głowę w rańtuchy. Są to białe, w kilkoro złożone na szerokość dłoni, a długie na kilka łokci niby szale perkalowe, w które obwiązuje się głowa cała w właściwy sposób. Rańtuch opasuje twarz popod brodę, obiega głowę, zakrywając całe czoło i wreszcie obu końcami spada przez plecy aż do kolan. Obwiązane rańtuchami, z pod których twarze tylko widać, wyglądają kobiety jak starych karytyd głowy. Dziewczęta obwiązują głowy chustkami i zatykają za włosy mnóstwo kwiatów, w lecie świeżych, w zimie sztucznych, jak: liście złożone barwinku, i kwiaty papierowe, strzyżone w zębki z kawałków różnobarwnego papieru, nizane na cienkie druciki i przetykane paciorkami. Wycinanie w ten sposób papieru i robienie takich kwiatków jest szczególną sztuką i zabawą dziewcząt wiejskich. W następnym rozdziale więć o ubiorach ludu będę miał sposobność nadmienić. Teraz wróćmy do opisu obrządków cerkiewnych.

Zadzwoniono na mszę, napełniła się cerkiew tłumem pobożnych, lecz nie mieści wszystkich parafian. Ci, którzy się spóźnili, stoją lub klęczą zewnątrz na cmentarzu, cisnąc się ile możności pod same ściany cerkwi, aby tym sposobem wziąć udział w nabożeństwie. Ksiądz skończył poranne pacierze, przywdział za wielkim ołtarzem mszalne stroje, wyszedł i otworzył carskie wrota, szmer przebiegł po całej cerkwi. Zaczęta służba Boża. Równocześnie diak z 'poddiaaczami zawiedli z przybocznej ławki śpiew. Oprócz członków bractwa, każda ze znakomitszych osób będących na nabożeństwie, dostaje dużą świecę woskową do trzymania w ciągu mszy, co jest wyszczególnieniem i grzecznością ze strony bractwa, której odmawiać nie można, chociażby trzymanie świecy ciężkiej i topniejącej przez kilka godzin przykrość sprawiało. Jeśli sam dziedzic znajduje się na mszy, lub kto na nadzwyczajne zasługujący wyszczególnienie, dostaje do trzymania trzy świece, połączone misternie w kształcie arfy trzyramiennej. Światło ma tutaj wielkie znaczenie symboliczne, jest wyrazem pobożności. Im uroczystsze ma być nabożeństwo, im pobożniejsza i dbalsza o wystawność swęj cerkwi gromada, tém więć goreje światła podczas mszy świętej. Kto nie należy do bractwa i nie ma prawa szczególnego trzymać świecy podczas nabożeństwa, ten kupuje jedną lub kilka maleńkich po groszu świeczek i zapala je na ofiarę za dusze zmarłe. Obok diaka, pod którymś z obrazów stoi zawsze mała skrzyneczka, z mnóstwem tych świeczek, a raczć knotów woskiem omaczanych, a przy nięj tacka. Kto z pobożnych chce zapalić świeczkę na swoję intencją, przeciska się do skrzynki, rzuca grosz na tackę, bierze sobie świeczkę, zapala ją i przylepia na krawędzi tacki. Tak w ciągu całej mszy tacka jest oblepiana nieustannie ofiarnemi temi knotami, gorejącemi za dusze zmarłe, i coraz zwiększa się kupka miedziaków na nięj. Świeczki wypalają się w kilka minut, a na ich miejsce nowi nowe zapalają wota. Oprócz zebranych tym sposobem składkowych ofiar, członkowie bractwa chodzą jeszcze podczas mszy po cerkwi zbierać ofiary. Jeden idzie z tacką, pobrzękując nią od czasu do czasu, a drugi stąpa przed nim ze świecą zapaloną w ręku. Podobnymże pochodem kwestują osobno kobiety należące do bractwa. Na tackę rzucają zwykle po grajcarze, a kto nie ma sztuki grajcarowej, lecz większy piędź, ten go mienia na tacce i bierze sobie resztę jaka mu wypada. Tak zebrane piędźze ze wszystkich tac zrzucają się do skrzynki cerkiewnej, pod kilku kluczami, z których jeden zostaje w ręku księdza, drugi u najstarszego z bractwa, czyli jak nazywają u starszego brata. Piędźze te idą w swoim

czasie do podziału. Część z nich najmniejsza przypada dla diaka, większa dla księdza, największa zaś, połowa wszystkiego, na fundusz dla cerkwi, głównie na kupno światła i mszalnych przyborów. Gdy ksiądz podczas mszy ma czytać ewangelię, cisną się do ołtarza chorzy, zwłaszcza kobiety cierpiące, przyklękają, a ksiądz trzyma im nad głowami księgę i tak odczytuje ewangelię. Po ewangelii ksiądz wychodzi przed carskie wrota i ztąd mówi do ludu kazanie, gdyż kazalnicy w cerkwi niema. Każe w zwykłym ludowym narzeczu po rusku. Podczas nabożeństwa za każdym przeżegnaniem się księdza, lud cały żegna się także z głośnym szmerem, a przy podniesieniu i ofiarowaniu uderza pokłon i bije się w piersi. Jeśli dziedzic wsi, pałron cerkwi, lub jego zastępca dzierżawca znajduje się na mszy, ksiądz daje jemu i całej jego rodzinie do pocałowania patynę, schodząc z nią od ołtarza aż na cerkiew. Toż samo czyni z każdym znakomitszym gościem, znajdującym się na nabożeństwie. Członkom bractwa i parafianom daje do ucałowania księgę ewangelii, suto oprawną, najczęściej w szafirowy aksamit, z posrębzanami klamrami, z srebrnym w brązowych promieniach okiem Opatrzności na wierzchniej okładzinie. Każdy, ucałowawszy księgę, całuje księdza w rękę. Po skończonej mszy, ksiądz zamyka carskie wrota, wynoszą mu pulpit na środek cerkwi, wychodzi z księgą i odczytuje tak zwane akafisty, na intencją różnych osób. Czytanie przedłuża się w miarę liczby zgłaszających się z prośbą o akafist. Całe nabożeństwo świąteczne trwa trzy do czterech godzin i kończy się zwykle po godzinie pierwszej z południa.

Po skończonym nabożeństwie jedni rozchodzą się wprost do domów, inni ciągną do karczmy i pozostają w niej już do wieczora, większa zaś część zawadzi o nią bodaj na chwilę, zakropić czczość wygłodniałego podczas długich obrzędów cerkiewnych żołądka i zaopatrzyć się do domu paczką tytoniu, lub topką soli. Są to trzy przedmioty, nieodstępne w życiu chłopa, które go ciągną codziennie do karczmy i czynią mu ją niezbędną. Znajdują się także u Żyda bułki na zakąskę, najczęściej własnego arendarskiego pieczywa, i czasami jako specyał kwaszone ogórki.

Karczma, jest to obszerny budynek, najczęściej podłużny, o dwóch bramach wjezdnych po obu przyczółkach. Większą część budynku zajmuje wielka sień zajezdna, służąca razem za stajnię, oborę, wozownię i magazyn rozmaitych rupieci. Z przodu karczmy jest zawsze poddasze o kilku słupach drewnianych. Poddasze to albo występuje z frontowego przyczółka i wówczas ciągnie się wzdłuż całego frontu, lub też sposobem właściwym architekturze karczmennej ciągnie się z boku do połowy karczmy, wzdłuż izby szynkownej, której ściana umyślnie nieco w tył usunięta, aby ustąpić miejsca poddaszu łączącemu się od połowy budynku ze ścianą sieni karczmennej. Tym więc sposobem przednia połowa karczmy, w której są izby mieszkalne, jest węższa o całą szerokość poddasza od drugiej połowy budynku, w której się znajduje sień czyli stajnia. Wchód w takim razie jest z poddasza bokiem do sieni, a z niej dopiero z wewnątrz wchodzi się do izby szynkownej. Część mieszkalna składa się zwykle z dwóch izb i tak zwanej komory, w której arendarz karczmy trzyma beczułki z wódką i ma skład podręczny rozmaitych rzeczy, jakoto: przedmiotów wziętych w zastaw, drobnych towarów, zboża itd. itd. Pierwsza izba szynkowna jest zwykle obszerna, naokoło przybite do ścian otaczają ją ławki, przed nimi zakopany w ziemię na mocnej, z dębowych bali na krzyż zbitej podstawie, stół wzdłuż całej ciągnie się izby. Za tym stołem zasiadają w czapkach najpoważniejsi gospodarze, na nim odbywają się ugoszczenia. Więcej sprzętów w tej izbie niema, raz, aby nie zabięrały miejsca potrzebnego na liczniejsze zgromadzenia i tańce, powtóre, że niebezpiecznie byłoby i niekorzystnie, mianowicie dla samego właściciela i jego sprzętów, gdyby się znajdowały pod ręką rozochoconych, podczas tak często powtarzających się w karczmie bijatyk, bez których, jak dotąd, żadna niestety nie obejdzie się w końcu zabawa. Druga dopiero izba, tak zwany alkierz, jest właściwem mieszkaniem rodziny arendarza karczmy i cała zapełniona gratami. Tu stoją łózka z wysoko sterczącymi betami, kołyski z zabrudzonymi bachorami, niecki z świeżo rozmieszkanymi kuglami, baryłka podręczna z wódką, skrzynia dobrze okuta; na półkach stoją najrozmaitszego kształtu i wielkości

garncze, kwaterki, kieliszki z grubemi dnami, kęgi paczek prostego bakunu, sól i t. p. Z alkierza do izby szynkownej prowadzą drzwi dobrze zaopatrzone i zamykające się szczelnie. Gdy pomiędzy rozgrzаныmi napojem gośćmi, po rozmaitych swarach i pojednaniach, przyjdzie wreszcie do bitki tak zażartej, że arendarz widzi iż jój nie zdoła uspokoić i koło jego własnej zanosi się skóry, zamyka się jak w fortacy w alkierzu i drżąc ze strachu, nadsłuchuje pode drzwiami co się tam dzieje w izbie szynkownej. Jest jeszcze w ścianie tego alkierza wycięty wielki otwór do izby, a przystawiona drewniana płyta, na której stoją kieliszki i flaszki z wódką, służą za szynkwas. Stojąc w alkierzu, Żyd lub arendarka rozdaje napoje, nie wychylając się pomiędzy ciżbę; ztąd zachęca do napojów póki jeszcze piją, a uspokaja i godzi, gdy się bić zaczną.

Niema nic w świecie więcéj zaśmieconego i nieschludnego, jak karczma żydowska. Nie mówiąc już o izbach mieszkalnych, bo te pomimo brudu, błota



Arendarz.

rendarski, zwyczajone już do tego miękkiego gruntu, żyją w nich jak na wieczystej lagunie. Kupy ogromne sterczą ze dworu popod ścianami karczmy; są to kupy śmiecia, które Mickiewiczowi w Konstantynopolu tak przypominały polską karczmę, że nie mógł na nie patrzeć bez rozrzewnienia.

Karczma we wsi jest tém dla chłopca, czém są kawiarnie dla mieszkańców miast. Idąc na robotę zrana, każdy tu wstępuje na kieliszek wódki i zaopatruje się na cały dzień w tytuń. Wracając z roboty, wstępuje znów do karczmy na półgodzinny odpoczynek, wytchnienie i spólną gawędę. Często gęsto i w południe, w czasie wytchnienia, jeśli robota odbywa się w pobliżu, chłop lubi skoczyć bodaj na

i niechlujstwa, bywają przecież od czasu do czasu nieco czystiej wymiecione, ależ sienie, stajnia, całe okolenie cechują taką karczmę na pierwszy rzut oka. Aby dostać się do izby, potrzeba częstokroć przestępować w sieni kałuże i jamy; do żłobów dostać się nie może, kto nie rad brnąć po kolana wgnój wyrzucany ztąd raz tylko do roku i błoto. Krowy tylko, koza i koń a-

chwilkę do karczmy. Kobiety przychodzą tu po wszelkie drobne potrzeby domowe, których zawsze dostać można u arendarza, a przy każdym wejściu do karczmy nie obejdzie się bez wypicia półkwatere wódki, najczęściej na kredyt, na *borg*, jak mówią, podwójną lub potrójną krédką zapisany w rachunkowej księdze żydowskiej. Karczma stoi przeto wiecznie otworem, niby jakiś plac przechodowy, w którym ciągle zmieniają się goście, zwłaszcza w wyż pomienionych trzech porach dnia. W dniu świąteczne karczma, zapelniona gromadnie, bywa miejscem zabawy, przeciągającej się zwykle do późna w noc. Karczma jest jeszcze izbą sądową we wsi, w której wójt sędzi w pierwszej instancji drobne sprawy, niedosyć ważne, ażeby się niemi zajmował wyższy urząd, lub jak dawniej reprezentant władzy dominialnej, zastępca dziedzica, mandataryusz. Przysłowie ruskie, które z pewną dumą powtarzają sobie chłopci, mówi że „*gromada to wielki człowiek*.“ Otóż głową tego człowieka jest wójt, którego zakres działania, przy teraźniejszym składzie gminy, jest zawsze bardzo szczupły, ogranicza się bowiem na wykonywaniu rozkazów dawniej mandataryusza, dziś urzędu powiatowego. Pomimo to wójt ma jednak znaczenie i poszanowanie w gromadzie, jest niby wybieralny, lecz bywał zwykle narzucany dawniej przez mandataryusza, dziś mianowany z urzędu. Wójt ma do pomocy przysięgłych, których liczba stosuje się do wielkości gminy, a którzy zastępują go w wykonaniu rozkazów, przychodzących z urzędu. Wójt tedy, będąc tylko wykonawcą wyższych rozkazów i ciągłym niejako posługaczem urzędu, występuje samodzielnie jako sędzia w tych drobiazgowych tylko, o których wspominałem, zatargach, i to się nazywa że *robi sprawę*. Ten to urząd sędziowski nadaje mu powagę w gromadzie. Wójt ma nawet *de facto*, acz nie *de jure*, prawo kija; skazuje na chłostę młodszych zwłaszcza parobków, najmitów lub dziewczki, jeśli się dopuszczają kradzieży albo innych zbrodni. Żadna sprawa bądź czysto sądownicza, bądź karna, nie obejdzie się bez towarzystwa licznych kieliszków i półkwaterek, na koszt rozprawiających się. Taka jednak powaga, takie że tak powiem instynktowe poszanowanie sądu wójtowskiego u wszystkich członków gminy, istnieje dla tego zapewne, iż jest to jedyna instancja, którą chłop uważa za szczerze swoją, tak że niema prawie przypadku aby przeciw wyrokowi wójtowskiemu, jakkolwiek wypadł surowo lub niesprawiedliwie, odwołano się ze skargą do wyższego urzędu. Wyrok wójtowski, choć najniesprawiedliwszy, który przez kogo innego wydany obudziłby Bóg wie jakie krzyki, znosi chłop bez szemrania. Każdy też nie szczędzi starań, aby pozyskać sobie z góry dobre oko i łaskę wójta: ugoszczania spotykają go ze wszech stron, i to bezustannie.

W każdej karczmie, a raczej, rzec można, w każdej wsi, rozgospodarzył się Żyd arendarz, któremu dziedzic wypuszcza w dzierżawę prawo wyłącznego sprzedawania trunków we wsi. Plagą wsi, nie szczęściem ludu pod względem moralnym są ci Żydzi arendarze. Żyd, przebiegły z natury, tylko na własną baczność korzyść, przytém wyższy oświatą od chłopca, wziął się na to, ażeby wyciągnąć z niego tyle korzyści, ile się da, wszystko jedno jakimi środkami. Umie on skorzystać z każdej pokusy, z każdej chętki i skłonności chłopca, rozdmuchać ją w nałóg, oszołomić rozum napojem i tysiącnymi podszeptami, wyłudzić grosz ostatni, korzystać z każdej jego potrzeby, uczynić mu się niezbędnym i wyssać zeń ostatek. Żyd zna, jak to mówią, na palcach wszystkie w całej gromadzie stosunki rodzinne i pieniężne, każdy grosz będący w najgłębszym ukryciu u chłopca, stan bierny i czynny jego majątku, widoki na przyszłość, i ze wszystkiego tego umie z szatańskim dowcipem dla siebie zysk wyciągnąć. Nietylko że całą swą wysiła przebiegłość, ażeby podsuwając i donosząc do domów chłopcom wódkę, rozpoić ich ile możliwości i gotowy, o którym wie, grosz wyłudzić, ale trafia w słabość chłopca, podsuwając mu jaknajwięcej na kredyt, na tak zwany *borg*; chłop, nie płacąc gotówką, nie uczuwa w tej chwili ciężaru długu, jaki mu się nasuwa na kark, i puszcza coraz więcej wodze rozlechtanej namiętności. Wszystkie starania przed laty piętnastu w Galicyi, aby rozpowszechnić towarzystwo wstrzemięźliwości, pomimo gorliwości duchowieństwa obu obrządków, pomimo dobrych chęci wielu dzierżawców i właścicieli dóbr, rozbiły się o prze-

biegłość żydowską. Gdy u którego z chłopów przypada uroczystość jaka familijna, chrzciny, wesele, pogrzeb lub msza żałobna, już tam Żyd naprzód po całych dniach w chacie przebywa, podmawiając i rozmaite czyniąc targi, by jaknajwiększą ilość od niego wzięto wódki. W braku gotówki, przyjmuje co jest w domu: parę miar zboża, kilka motków konopnych, kurę, cielę, jałówkę, resztę zaś daje na borg, z warunkiem odebrania w lecie po żniwach należytości swój prosto kopami z pola. Żyd bawi się przytém i lichwą. Podsuwa chłopu zasiłek w chwili najkrytyczniejszej, jaką n. p. jest zawsze dla wieśniaka przednówek, a w żniwa odbiera sobie w dziesięcioro to, co dał różnemi czasami zbożem¹, a w bardzo tylko małej części gotówką. Chłop, ujęty w tę sieć przebiegłości przez ciąg całego roku, gdy w żniwa odwiezie i odda Żydowi zrachowaną należytość, często zostaje znowu bez niczego, bez kopy zboża na zimę, i znowu rok cały kawęczy na łasce Żyda. I dziwna przedstawia się tutaj sprzeczność. Przywiedziony do nędzy chłop, nieraz z goryczą i złością patrzy na tego Żyda, który mu zabrał wszystko, który wyciska ostatek jego dobytku, a przecież nałóg ciągnie go doń pomimowolnie; do niego udaje się po radę i zasiłek. Ufa mu i lubi go nawet. Tak to Żyd tutaj jest gangreną, która się wpiła w społeczne ciało ludności i przegryza jęj zdrowie, podkopuje moralność, a często staje się ostatecznej nędzy przyczyną.

Każda niedziela i święto jest prawdziwem żniwem dla arendarza; cała wieś zbiera się wtedy na zabawę do karczmy, zwłaszcza jeżeli Żyd postara się o muzykę. Muzyka w karczmie, to czarodziejskie słowo, nadzieja uśmiechająca się tak uroczo wiejskiej dziewczynie, że wszystkoby dla niej poświęciła, byle tylko mogła pójść w niedzielę na taniec. Jakaż to jeszcze skromność wymagań, jakie ubóstwo zachceń estetycznych!

Przypatrzmy się bodaj na chwilę zabawie. Oto na wieść że będzie w karczmie muzyka, z całej wsi biegna w przegony postrojone dziewczęta, głowy ich utkane w zielone liście i kwiaty, u szyi czerwone pstrzą się wstążki, wesołość słyhać i śmiechy, parobki w białych koszulach, spiętych pod szyją na czerwoną wstążeczkę, w świątecznych sierakach. Już zapełniło się podsienie karczmy; starsi przepijają do siebie w izbie szynkowej, lecz ta nie pomieści wszystkich. Tłum zbiera się przed karczmą i czeka niecierpliwie, rychło rozpocznie się zabawa. Mężczyźni pozakurzali krótkie fajeczki, twardo napchane bakunem; cybuszki ich krótkie, na parę cali, wygięte i strugane, natomiast fajka z czarnej lub czerwonej wypalona gliny, wązka lecz niemal dłuższa od samej lulki, zakończona wysoką, piramidalną z białej blachy pokrywką, sięga pod sam nos kurzącemu. Kurzą tedy gawędząc, i kiedy niekiedy ten i ów wejdzie do szynkowni, przepić półkwaterek wódki, lub poczęstować się z drugim. Wtém nadchodzą grajki, ruch w karczmie, każdy się ciśnie do izby. Muzykanci, przepiwszy wódki, zajmują swe miejsce w jednym kącie izby.

Muzyka ta składa się zwykle z dwóch wiejskich grajków, skrzypka i basetlisty, samorodnych artystów, na również samorodnych swojskiego wyrobu instrumentach. Żaden z nich nie uczył się od nikogo muzyki. Broń Boże, nikt mu nigdy nawet nie pokazał jak ująć smyczek i skrzypkę do ręki, jak nastroić i ustawić basetlę. Ot tak od ucha. Bóg im dał że się urodzili grajkami, każdy z nich zasłyszana nutę powtórzy i wygra, i jakoś tak już zna się z tą swoją cichawą i zachryplą skrzypką, że umie z jęj stron niepokaźnych wydobyć mnóstwo i skocznych kołomyjek i rzewnych melodyj. Chłop ruski ma wiele talentu do muzyki; lubi nuty tęskne i rzewność przebija się we wszystkich jego nawet najweselszych pieśniach. Małym chłopcem na wierzbowej fujarze przygrywa już najrozmaitsze, Bóg sam wie gdzie zasłyszane melodye, zwłaszcza w pogodnych letnich nocach, kiedy wyjeżdża z końmi na nocne pastwiska. Później, jeżeli talent wlała weń natura, struże sobie skrzypkę, naciąga niciane struny, aż z czasem biegły już muzyk, dojdzie do kupnych w miasteczku skrzypek i stanie się znanym we wsi *muzyką*, którego czarodziejskie skrzypki budzą tyle radosnych uczuć i marzeń w wiejskich dziewczynach.

Rozpoczął się taniec w karczmie, taniec idący parami. Każda para ujmuje się za rękę i tak oko w oko drepcze w takt z nogi na nogę, to naprzód w około, to znów się w tém samym cofając półkołu.

Kiedy niekiedy, w chwili żywszego rozgrzania tańcem, chwytą tancerz tancerkę pod bok i okręca się z nią żwawo to w jedną, to w drugą stronę, poczem znowu następuje dreptanie w takt jak pierwój. Taki jest ruski taniec kołomyjka; innych nie tańczą żadnych. Zwykle parami tańczy mężczyzna z kobietą, lecz w braku dostatecznej liczby tancerzów, lub też i tak tylko z ochoty, tańczą kobiety, zwłaszcza starsze,



Żydzi podolscy.

same z sobą. Taniec przeplata zawsze piosnka, czasem cztero, najczęściej dwuwierszowa i zaimprovizowana na razie; odzywa się co kilkanaście taktów, dodając życia i powabu zabawie. Piosnka to prostacza, częstokroć dziwniej rzewności i wdzięku; w niej odzwierciadla się cały stan uczuć, całe usposobienie duszy nieuczzonego śpiewaka. Cóż naprzykład wyrówna tej prawdziwie serdecznej a tęsknej zwrotce?

U susidy chata biła,
 U susidy żinka myła,
 A u mene ni chatynki,
 Ani szczęścia, ani żinki.



Żydówki podolskie.

W tych piosnkach improwizowanych odzywa się naprzemian wszystko co dolega chłopu; z dziwnie trafnym nieraz dowcipem umie potrącić w nich najbliżej go obchodzące okoliczności miejscowe, nieraz cierpkie przycinki stosując i do pana i do ekonoma, do księdza i do diaka. Najczęściej zaś zawierają jak ʘs uprzejmość dla własnej tancerki, jak n. p.:

U Ołeny czorni browy,
U Ołeny chlib zdrowy,
Za Ołenu rubla dam.

A dalej, z przycinkiem do innéj:

Za Jawdochu szóstaka,
Bo Jawdocha ne taka...

Przeplatany śpiewami taniec, przeciąga się już długo. Tancerze coraz więcej rozgrzani trunkiem i zadyszani tańcem. Umęczony smyczek coraz nieposłuszniej biega w rękę muzykusów; radziby oni także w chwilowej przerwie pokrzepić się i zaczerpnąć w kilku półkwaterkach nowych natchnień. Ostatnim wysiłkiem grzmiały smyki głośnieją finał i ogólny odzywa się apel:

A kto chce naj chulaje,
Bo wże reszta nastupaje.

Podczas tańca nie ustają częstunki; pary wymykają się ku szynkownemu stołowi i traktują się wzajem, przepijając do siebie. Przy szynkwasie zmieniają się nieustannie kieliszki i półkwaterki, które Żyd usłużny ze skwapliwością dolęwa i podaje. Gdy jeden, jak mówią, postawi półkwaterek wódki i częstuje nim drugiego, poczęstowany, wypiwszy, musi postawić tyleż nawzajem. Tak tedy wzajemna grzeczność powtarza się nieustannie. Starsze kobiety, baby i mężczyźni piją bez zarumienienia, kiwnąwszy tylko zwykle do siebie głowami, z życzeniem wzajemnym zdrowia. Dziewczętom przyzwoitość nakazuje, ująwszy półkwaterek którym ktoś częstuje, odwrócić się z pewnym sromem do pieca, podnieść róg fartuszka, niby dla zakrycia twarzy i tak wypić podaną wódkę. Zabawa staje się coraz gwarniejszą, krzykliwszą, nogi się płaczą, twarze czerwienieją okryte potem, piosnki coraz stają się chrapliwsze i niezrozumialsze, wreszcie gdy już trunek oszołomi wszystkich, wszczyna się kłótnia i bójka, bez których niestety podsycona trunkiem zabawa nigdy się nie obejdzie, i późno około północy, wytrzeźwione bijatyką, wymykają się naprzód do domów jedna po drugiej dziewczki, zmorzeni trunkiem muzykanci zsuwają się na ławy i usypiają ze smyczkami w rękę, trzeźwiejsi i porządniejsi rozchodzą się, zakurzywszy krótkie na drogę luleczki, mniej wstrzemięźliwi, przebrawszy miarę, zataczają po drodze koła i zygzaki, nie mogąc trafić do własnych domów, pojedyncze wreszcie marodery, chrapiąc po kątach, zostają nawet do rana w karczmie. W ten sposób późno w noc kończy się świąteczna zabawa.

ROZDZIAŁ III.

Dzień gospodarski. Ranek. Chata wieśniacza. Jej budowa i urządzenie wewnętrzne. Zabudowania gospodarskie. Dobytek wieśniaczy. Rasa koni. Poranne zatrudnienie gospodyni. Fizyognomia wieśniaka. Ubiór mężczyzn i kobiet. Charakterystyka chłopca ruskiego. Jego usposobienia i wady. Przyczyny i wpływy. Położenie towarzyskie. Stosunek do zwierczności. Władza dominialna. Policjant. Szlachta czynszowa. Towarzystwo wstrzemięźliwości. Brak oświaty. Szkołki po wsiach. Ich zadanie i potrzeba reformy. Praca całodzienna. Pożywienie. Obiad, połudenek i wieczerza. Choroby. Babskie leki. Siejba wiosenna. Ogrody. Żniwa. Żebracy. Dziad lirmik. Wieczór sielski. Jesień. Wesela. Zatrudnienia zimowe. Tkactwo. Ciesielka. Kupcy wędrowni. Pszczelnictwo. Dzieci. Pobożność w domu. Rekrut. Pożycie małżeńskie. Starość i śmierć.

Po dniu świątecznym, nastaje dzień pracy. Zaledwo zaczęło się niebo rumienić piérwszymi brzaskami wschodu, zaledwo poraz drugi zapieją kury, te zégary wsi, a już wedle zwyczaju zbudzony gospodarz, wstaje ze snu i rozpoczyna dzienne swe zatrudnienia. Wieśniak tutejszy rano wstaje; — zimą czy latem nigdy jeszcze wschodzące słońce nie zastało go śpiącego. Letnią porą zaczyna on dzień wraz ze świtem,

w zimie na kilka godzin przed wschodem słońca. Jestto pora, w której urządza sobie wszystko około swego gospodarstwa na cały dzień. Ileż to jest drobnych a niezbędnych rzeczy, które przed wyjściem z domu na całodzienną robotę, bądź do dworu, bądź na własny zagon, potrzeba koniecznie załatwić! Na jego głowie spoczywa wszystko, on o całym dobytku pamiętać musi. Bogatszy trzyma wprawdzie sługę, najmita, lecz nigdy się nań całkiem nie opuszcza i wszystko robią razem. Gospodarz sam nie usuwa się od żadnej pracy; między nim a jego najmitem niema jeszcze owego szorstkiego przedziału, jaki istnieje w innych warstwach społeczeństwa, więcej cywilizowanych czy zepsutych, między panem a sługą. Wprawdzie i tutaj panuje pewien rodzaj arystokracji, lecz widoczny w niektórych tylko chwilkach, więcej w czasie zabawy, poza domem. W karczmie, lub na jakich godach, gdy w kółko zasięda i częstują się gospodarze, właściciele gruntów, posesyonaci, najmit nie ma przystępu do ich grona; lecz w domu zasiada on zwyczajnie do jednej miski z gospodarzem, przy robocie są razem i nie wyróżniają się niczem jeden od drugiego, chyba że najmit tytułuje gospodarza *wy*, z pewnym poważaniem. Nieraz gospodarz wydaje córkę za własnego sługę, który mu się nadał, jak powiada, i o którego dobrych przymiotach, a zwłaszcza pracowitości, przekonał się. A chociaż zawsze wprawdzie więcej pożądanym na zięcia jest syn gospodarski, lecz wydawszy już córkę za najmita, każdy, choćby najpierwszy i najbogatszy gospodarz, skoro tylko widzi że na rządneho i uczciwego zięcia trafił, związku tego nie uważa za nie-stosowny i nie ubolewa nad nim, lecz przeciwnie cieszy się szczęściem córki i zamożnością rosnącą w chacie, przy staraniu i pracowitości jój męża.

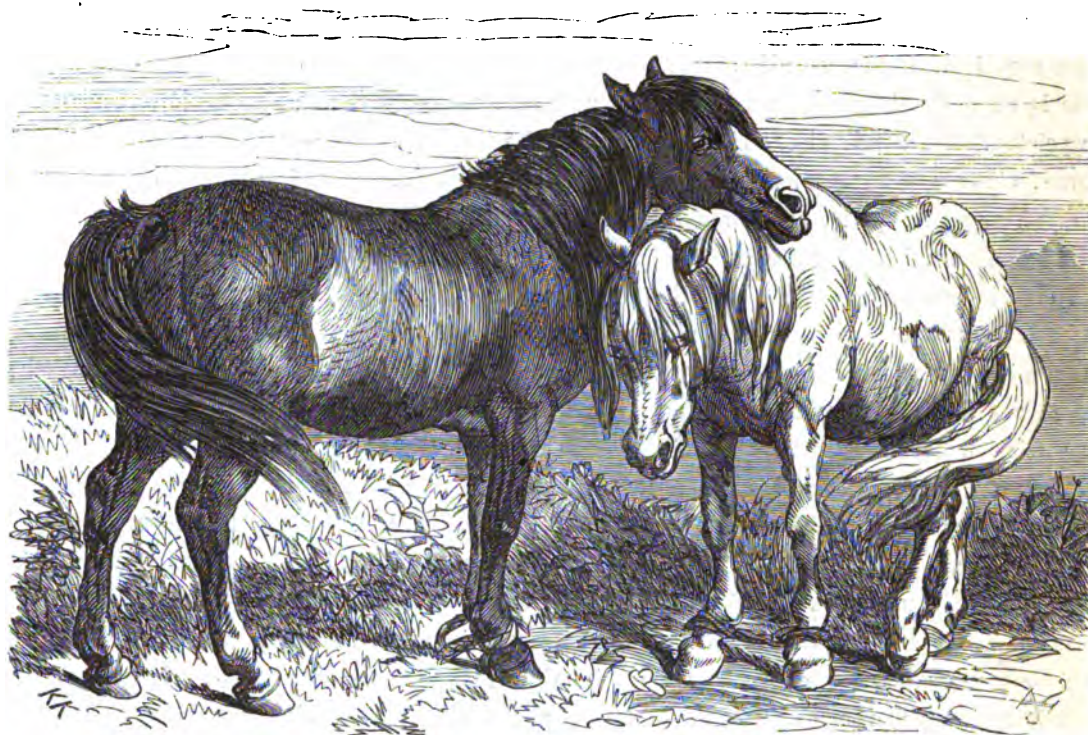
O rannym tedy brzasku latem, a w zimie na parę godzin przed świtem, krząta się już staranny gospodarz na swém obejściu. Najprzód pamięta o żywym dobytku. Dla krów i jałówki znieśie pasznej słomy lub siana, jeżeli je ma, koniom potrzebnym do całodziennej roboty podsypie obroku zmieszanego z plewą i sieczką, lub latem wypuszcza je, spętawszy, by skubały trawę przy drodze obok podwórka. Uczyniwszy to, zabiera się zaopatrzyć gospodarstwo w potrzebne na cały dzień zasoby. Omłóci kilka snopów żyta na chleb i hreczki na krupy których ususzeniem i umieleniem na żarnach domowych zajmuje się żona. Oklepie kilka snopów owsa i zerznie wór sieczki, co zmieszawszy razem z plewą, ma na cały dzień obrok dla koni, wybierając się czy to w lecie do wożenia snopów, czy zimą do lasu, na jarmark, prażnik, lub dalszą drogę z transportem. Następnie przyrządza wóz i smaruje, wystruże sobie sam lusznją złamaną lub zgubioną w ostatniej drodze i przymocowuje ją świeżo z leszczyny skręconą *wużelką*, oraz wyrzuci gnój z chlewków i stajni. Tymczasem gospodyni rozpala już ogień w piecu i rozczesując włosy, krząta się po chacie i szepce poranne pacierze u ogniska. Przy jego świetle, nim się rozbudzi ruch i gwar dzienny iienne rozpoczną zatrudnienia, najwłaściwsza pora obejrzyć skromne i szczupłe mieszkanie wieśniaka.

Nigdzie mniej nie wysiliła się sztuka architektoniczna, jak na budowę téj chaty. Ściany jój opierają się o white na czterech rogach wprost w ziemię dębowe słupy, połączone z sobą balami poprzecznymi u góry i w połowie wysokości ściany. Od tych środkowych poprzecznic idą w górę i nadół wprost już w ziemię wtykane strychulce, niezgrabnie ciosane z dębiny; pomiędzy strychulce wtykają wałki lepiące z gliny i słomy, tworząc tym sposobem nader ciekawą i zawsze wilgotną ścianę. Aby się ustrzedz wilgoci, jest u spodu w około ściany zewnątrz nieco szersza przyźba, która téż służy za ławkę i miejsce odpoczynku. Chata bywa tak niska, że czasem zaledwo wyprostować się w niej można, zwłaszcza w uboższych, lub gdy ściany ze starości osiędą w ziemię. Poszyta grubo słomą, gładko lub w tak zwane schody, strzecha w lecie obwieszona, niby zieloną firanką, zrzadka zatykanym piołunem i inném ziele. Ziele to zatykają badylem w strzechę, a liśćmi ku ziemi. Komin nie wystaje wcale lub mało co nad wierzch dachu; grodzony z łoziny lub leszczyny i wylepiony gliną, dostateczny jest by z wielkiego pieca odprowadzić kurzący się dym. Gdy bocian na podłożonem dlań umyślnie kole uwije gniazdo na szczycie chaty lub stodółki, uważane to jest, jak wszędzie, za oznakę szczególnej pomyślności i błogosławieństwa dla



Chały wieśniacze na Podolu.

gospodarzy, a zranić lub spędzić bociana za świętokradztwo, grożące nieszczęściem chaty. Zwykle tylko jedna strona jest mieszkalną; druga przeznaczona na komorę, to jest skład domowy; chyba że gospodarstwo, mając liczniejszą rodzinę, przyjęli jeszcze oprócz tego w dom zięcia lub synową i chcą ich osobno pomieścić, lub też wzięli komornika do chaty i drugą jej stronę przeznaczyli także na izbę mieszkalną. Lecz to rzadko się zdarza i zazwyczaj choćby najliczniejsza rodzina, mieści się w jednej izbie po jednej stronie chaty. Do téj izby mieszkalnej wpuszczają światło maleńkie okienka, dawniej, przy większym ubóstwie chłopa, składające się z jednej tylko kilkocalowej szybki, wlepionéj wprost w glinianą ścianę; dziś, przy postępie już zamożności i smaku, większe nieco bywa okno, półłokciowe w kwadrat, o czterech maleńkich szybkach, oprawnych bez kitu wprost w drewniane ramki. Okien takich dostarcza szklarz w pobliskim miasteczku. Gotowe już do wstawienia w ścianę ze szkłem wprawioném, przywozi je sobie wieśniak z jarmarku. Okna te raz włożone, nie otwierają się nigdy w celu przewietrzenia chaty, bo nie



Konie podolskie.

są urządzone do otwierania. Okien bywa zwykle dwa w izbie mieszkalnej: jedno od frontu, z widokiem na podwórko, drugie z przyczołka. W miejscu gdzie raz było okno, wyjąć go i zamknąć otworu nie można, bo wedle wiary ludu przyniosłoby to nieszczęście dla chaty, a mianowicie śmierć dla kogoś w niej mieszkającego.

Pojedynczemi, z desek zbitymi drzwiami na biegunach wchodzi się do środka. Drzwi te zamykają się z wewnątrz na zamek, a raczej zasuwę z drzewa, która się otwiera umyślnym, także drewnianym kluczem. W tym celu w ścianie obok drzwi wykrojony jest zawsze otwór, przez który wkłada się ręka, dla odsunięcia kluczem zasuwę z wewnątrz. Z sieni podobnemiz na biegunach drzwiami wchodzi się do izby. Izba nie obszerna, dziewięć lub dziesięć łokci w kwadrat, stanowi mieszkanie całej rodziny, mieszczącej się tu jeszcze nieraz spólnie z drobiem, podświnkiem lub cielęciem, wziętém dla staranniejszego pielęgnowania do chaty. Tuż obok drzwi u wejścia naprzeciw ściany frontowej z okienkiem, piec duży

zajmuje połowę izby. Piec ten, z głęboką, sklepioną czeluścią i ogromnym zapieckiem, służy zarazem do gotowania, ogrzania chaty i pieczenia chleba. Drugą połowę téjże ściany zajmuje szerokie łoże gospodarskie, a raczej tapczan z desek zbity, wyścielony słomą i grubą pokryty bielizną. Ilość poduszek wypchanych piérzem, świadczy o zamożności gospodarstwa. Piérzana poduszka jest u wieśniaka przedmiotem bardzo cenionym i stanowi główną część posagu wychodzącej za mąż córki. Gospodarstwo sami śpią na łożu. Dzieci i reszta rodziny mieszczą się na obszernym zapiecku. Zapiecek jest właściwie sypialną w domu. Gdy kto z rodziny zachoruje, odbywa słabość za piecem. Dzieci i staruszkowie tulą się spólnie na przypiecku w zimie. W lecie część rodziny, a zwłaszcza mężczyźni, śpią zwykle na dworze lub w stodole. Obok łoża, zawieszony u powały na sznurach, wisi kosz, w którym kołysze się i śpi najmłodsze niemowlę, co potrzebuje jeszcze pobliza matki, a dla młodego swego wieku nie otrzymało dotąd prawa obywatelstwa za piecem. Pod ścianą naprzeciw drzwi u głów łoża, stoi wielka, drewniana, z płaskim wiekiem, najczęściej na czerwono i żółto w najrozmaitsze floesy i kwiatki malowana skrzynia. W niej mieści się wszystko co dom ma najkosztowniejszego. Jest to szatnia i skarbiec domowy; kuta, z wielkim zamkiem, a klucz od niej staranna gospodyni nosi zawsze przy sobie. Wieko skrzyni z wewnątrz oblepiane bywa dla ozdoby najfantastyczniej, a zarazem, wyznajemy, najniesmaczniej, rozmaitemi obrazkami, wyciętymi figurkami, piórkami różnokolorowemi i t. p. Gospodyni cokolwiek zachwyci, najczęściej we dworze, obrazek jaki, lub świecidełko, które jęj się pięknem wyda, znosi tutaj i oblepia tém wieko swęj skrzyni. Są tu więc i stare obrazki mód, i powycinani z papieru żołnierze, lub diabły we frakach z długimi ogonami, i wyszarżate kawałki zdartych krajobrazów. W skrzyni najwięcej miejsca zabiéra bielizna, cienkie odświętne koszule i białe jak śnieg rańtuchy samęj gospodyni, oraz kolorowe chustki na głowę, o jaskrawych, czerwonych i żółtych kwiatkach, z długimi frędzlami, ażurowe niciane czépce, i świeżo z miasta przywiezione czerwone wstążeczki córek; wreszcie zwitek świecących, szklanych, różnokolorowych paciorek, między bielizną schowana płaska flaszka z wódką i osobno zwiniętych kilka sznurków prawdziwych koralii.

Resztę ścian izby obiega ławka nieruchoma, z nogami wkopanemi w ziemię. Tutaj zasiada na odpoczynek gospodarz, wróciwszy strudzony po całodziennęj pracy, kurżąc bakun z króciutkięj lulki. Tutaj zasiadają sąsiedzi i kumoszki, gdy się zejdu w gościnę. Na téj ławie ścielą katafalk temu, co już po raz ostatni opuszcza chatę. Ściana naprzeciw drzwi wchodowych ponad łożem i skrzynią, po obu bokach okienka, ubrana bywa w kilka rzędów obrazów świętych. Obrazy różnego kształtu i wieku, jedne nowsze świecą pstrokatych barw jaskrawością, inne dawniejsze, poczerniałe już z wieku, w drewnianych, żółtych lub czerwonych ramach. Poza ramki pozatykane ziele dla ozdoby, na obrazach wiszą święcone wianuszki, w kącie nad łożem z za obrazu wystaje róższczka palmowa, w kwietnią niedzielę poświęcona w cerkwi. Jęj pączki nawpół rozpęknięte, wyborne od zimnicy lekarstwo i ubezpieczenie, choć i od wielu innych słabości doświadczoną jest skuteczność tych wianków i święconego ziele, nietylko dla ludzi, lecz i w chorobach dla bydła. Wianuszkami podkadzają położnicę, gdy ciężki poród odbywa, a i krowę, tę w chacie wieśniaczej prawdziwą dobrodziejkę rodziny, gdy mléko utraci. Palmą zmoczoną w święconęj wodzie kropi gospodyni swych chłopów, gdy do pierwszęj siejby z wiosną wychodzą z domu. W niejednęj chacie zatknięta za obrazy świętych bywa i żółta gromnica, którą dają do ręki każdemu umierającemu w rodzinie, by mu ułatwić mękę konania. Przez cześć dla świętych obrazów, co przyozdabiają ściany, każdy kto wstępuje do izby z poszanowaniem zdejmuje kapelus. Wejść do izby i nie zdjąć kapelusza, uważane jest za świętokradztwo. Chłop, który w ogóle nie lubi odkrywać głowy, i czy to przy robocie, czy przy zabawie w karczmie całe dnie przepędza w czapce, zdejmuje ją wchodząc do chaty, w któręj na ścianie zawieszone widzi obrazy, i siedzi w izbie zawsze z głową odkrytą.

Tuż obok drzwi wchodowych, na półce przybitęj wysoko, jest umieszczone całe gospodarstwo ko-

bięce, gliniane, wypalane na czarno i czerwono, zwykle do jadał miski, ułożone rzędem różnego kształtu garnuszki i dzbanki, nadtłuczony kieliszek lub lampeczka ze szkła niebieskiego, zwężona w środku, z dnem na cal grubym. Drewniane łyżki pozatykane rzędem, dla każdego z rodziny, chyba że który parobek dbalszy lub wybrédniejszy, nosi swoje nieodstępnie przy sobie zatkaną za cholewę. Większe garnki stoją w piec wstawione, z oczekującym powrotu gospodarza jadłem. Czystość z jaką utrzymane są te naczynia i w ogóle porządek na półce, świadczą o staranności gospodyni chaty i służą jej za zaletę na pierwszy rzut oka. Tuż jeszcze obok drzwi nie rzadko stawa beczka z kwaszoną kapustą, co acz przywalona kamieniem, niemłą i niezdrową zaprawia wonią atmosferę chaty. Po izbie biega parę prosiaków, pielęgnowanych dla ciepła w izbie; podobnie niedawno urodzone cielę tuli się w pobliżu pieca na chwiejnych jeszcze nogach, po pod ławami ugania się drób, a w sieni mieści się nieraz jeszcze i krowa, ów zwykle najdroższy dobytek wieśniaka. Powąła dotyka prawie głowy. Lepiona z gliny, pokrywa ona tylko połowę mieszkalnej chaty, tworząc rodzaj niezamkniętego strychu nad samą izbą. Na tym małym strychu przechowują się rozmaite rzeczy, należące do gospodarstwa, jak n. p. tyki ogrodowe z roku na rok po zbiorze fasoli przechowywane, mędle niewytartych konopi i t. p., co w pobliżu nędznie ulepionego komina często sprowadza niebezpieczeństwo ognia i staje się powodem nieszczęść. Skład na strychu przyczynia się też do ocieplenia chaty, chroniąc izbę jako tako od przewiewu wiatrów, wciskających się łysinami postarzałego i mizernie poszytego dachu. Cienkie ściany chaty nie chronią dostatecznie od zimna, zwłaszcza wśród powtarzających się często na stepie podolskim zawię śnieżnych. Mrozem wyciśnięta na powierzchnię ścian wilgoć, kryształili się śnieżną skorupą wewnątrz izby po kątach. To też na zimę wieśniak okłada z zewnątrz ściany swęj chaty, przynajmniej po stronie mieszkalnej, grubą warstwą mierzwy lub słomy hreczanęj, mało przydatnej na paszę, co się zowie *zachatą*. Zachata, gruba na łokieć lub więcej, idzie od dołu pod samą strzechę chaty, umocowana do ściany powiazanem z sobą wzdłuż i poprzek grubem pręciem. Jest to wyborna osłona, co chroni od wiatrów i wiele ciepła dodaje izbie. Owita w ten sposób od stóp do głowy chata wieśniacza, wygląda jak kupka słomy zawiana śniegiem, z małym tylko otworem okienka.

W izbie niema podłogi. Gospodyni wylepia ją świeżą gliną kilka razy do roku, przy nadchodzących świętach. Brak podłogi przyczynia się także niemało do wilgoci i zimna w izbie. Potrzeba sobie wystawić tę izbę szczupłą i niską, często tylko z jednym, nigdy nieotwieranem okienkiem, wielkości jednej szyby, przepuszczającem zaledwie skąpy promyczek światła do wnętrza izby, bez podłogi, gdzie przez rok cały wsiąka wszelkiego rodzaju wilgoć, mróz występuje po ścianach, gdzie gospodyni gotuje i pierze, gdzie razem chowa się drób, prosięta i cała rodzina, zduszona w małym obrębie czterech ścian. Jakaż to tam niezdrowa atmosfera, zwłaszcza w porze zimowęj, wypełnia tę chatę i jak szkodliwy wywierą wpływ na zdrowie jej mieszkańców! Ztąd wynikają choroby, epidemie, zageszczają się chroniczne cierpienia i śmiertelność wielka bywa między ludnością. Filantropi po całym świecie zastanawiali się już wiele nad tym przedmiotem i podawali rozmaite plany, w jaki sposób najlepiej i najzdrowiej urządzać mieszkania wieśniacze. Warszawskie Towarzystwo przyjaciół nauk, za czasów swego istnienia, zajmowało się także wiele tym przedmiotem, a nawet budowało już wzorowe na próbę chaty wieśniacze w Wilanowie. Próby te jednak pozostały próbami, zmiana społecznych stósunków i wzmagający się za tém byt dobry między ludem więcej uczyni, niżli wszelkie usiłowania filantropów. Jest tu jeszcze bardzo wiele do zrobienia; pomieszkanie ruskiego wieśniaka potrzebuje przeobrażenia z gruntu.

Obejrawszy chatę włościańską, rzucmy okiem na resztę zabudowań otaczających obejście. Wszystkie tym samym prostym zbudowane sposobem, o słupach i strychulcach wprost w ziemię wbitych, lepione wałkami z gliny i słomy, różnią się tylko od siebie wielkością i różnaitością kształtu. Przytykając jeden do drugiego, budyneczki te bywają naprzemian to czworokątne, to podłużne, to wreszcie tylko okrągłe, jeśli bu-

downiczemu zabrakło grubszego materyału na skrajne słupy, bywają to wyższe, to niższe, słowem jak na co stać było gospodarza w odmiennych epokach czasu, gdy własnymi rękami, z pomocą sąsiadów stawiał jeden lub drugi z tych budynków. Różnią się one jeszcze najczęściej i barwą swoją od samej chaty; gdy bowiem chata, w pewnych przynajmniej porach, gdy się znaczniejsze jakie święta zbliżają, świeci białą gliną wybielona, stajenki i chłwki pozostają zwykle w naturalnym swoim kolorze, to jest wymaszczone na żółto, tam zwłaszcza, gdzie bywa trudniej o biały gatunek gliny. Czasem widać ściany spodem obramowane pasem szarym, tak jak i przyźba w około chaty, co jest już dowodem staranności gospodyni i zdradza widocznie pretensją do elegancyi. Wszystkie te budyneczki w ogóle są dosyć szczupłe, boć niezbyt wielki bywa i dobytek włościanina. Najobszerniejsza najbliższej chaty stoi stajenka jedna i druga na konie i krowy. W gospodarstwie kmiecém krowa największe ma znaczenie. Ona stanowi jego bogactwo, jest kapitałem, na którym chłopiec opiera swą zamożność i według którego ją oblicza. Jest ona karmicielką i dobrodziejką rodziny; nabiał od niej jest specyałem najsmaczniejszym ze wszystkiego jadła, którym zwykł żywić się wieśniak. Uboższy wdycha żeby dojść choć do jednej jałozki, do cielątka; krowa dana córce wychodzącej za mąż stanowi główną część oprawy, a nieraz całym jest posagiem. Gdy krowa zachoruje lub padnie, rodzina cała jest w rozpacz i głośne płacze zawodzi nieutulona w żalu, postradawszy w niej główną część mienia, a nieraz cały swój majątek. Gospodarz, który posiada dwie lub trzy krowy, a parę jałozek, należy do klasy bogatych. Czém dla całej rodziny, a zwłaszcza dla samej gospodyni, jest krowa, tém dla gospodarza jest koń, potrzebny mu do robót gospodarskich, choć nie przywiązuje się do niego tak jak rodzina do swój krowy. Gospodarz często kupuje i odprzedaje konie, mienia je i handluje niemi po jarmarkach, w miarę jak mu się zdają dogodniejsze lub gorsze do pracy. Zamożniejsi miewają czasem i po dziesięć sztuk koni, licząc już w to młodzież i źrebięta. Zato wołów nie trzymają chłopci podolscy, lecz wszystkie roboty w polu odbywają końmi. Wynika to z właściwości samejże okolicy. Tu gdzie niwy włościańskie, rozrzucone na wielkich obszarach, oddalone są czasem na milę całą ode wsi, niepodobieństwem byłoby obrabiać je wołami. Oddalenie trzeba tu wynagradzać pośpiechem i szybkością konia. Urodzajna gleba podolska daje podostatkiem ziarna, aby wystarczyło na utrzymanie koni. Zresztą koń to niewymyślny, bo owsa lub innego jakiego pośladu dostaje tylko w porze gorętszych robót w polu, lub gdy odbywa dalszą jaką furmankę czy transport. Obrok jego wówczas nawet składa się przeważnie z domieszanej do ziarna w większej ilości siewki i plewy. Zresztą karmi się czém Bóg da i na co stać pod ręką w gospodarstwie. Latem gdzie stanie skubie trawę, korzystając z każdej chwili gdy go wypuszczą z szlei, lub gdy nie czuje wędzidla w pysku; nocą konie wypędzają na paszę, na bujne podolskie ściernia. Koń podolski nie zna sztucznych, trawiastych pasz, jak koniczyny itp., których tu nie uprawiają; wykarmiony na prostej trawie i wzwyczajony do niej, nabiera siły do pracy, zwłaszcza gdy, jak wspomniałem, posiłkuje go się niekiedy w czasie cięższej roboty dodatkiem jakiego obroku. Zimą koń włościański, jeżeli stoi w domu i wypoczywa, kontentuje się paszną słomą, bo wiązka siana należy już do specyaliów i zachowuje się na czas dalszej podróży. Koń włościański jest, rzecby można, osobnej rasy, mały i niezgrabny, o grubych nogach, twardej sierści i długiej w kołtun gmatwiającej się grzywie, która nigdy nie zaznała zgrzebla, bo chłop czasem tylko połą sieraka lub workiem obetrze grzbiet koński z prochów, co na nim przez cały rok osiadają; mimo tego koń taki jest wytrzymały, silny do pracy, choć więcej leniwy niż hyży; skóra też jego, obznajmiona z batogiem, częstokroć ślady tego nosi widoczne po bokach. Rasę tę dobrze opisał śpiewak naszej ziemi:

A koń bywa gestój grzywy,
Nóg żelaznych, twardej skóry,
Bez narowu, lecz ponury.

Do pracy jednak, jakiej wymaga gospodarstwo włościańskie, koń taki nadaje się wybornie i jest

najwłaściwszy. Żwawsze bywają też i do jazdy dobre, bo acz drobnym klusem, biegną chyżo i nie męczą się prędko, a tym sposobem, w dalszej zwłaszcza drodze, dotrwają kroku nawet większym koniom. Przyczynia się do tego i to, że wzwyczajone do wszelkiego rodzaju niewygód, nie są skłonne do ochwatu i nie ulegają łatwo chorobom. W drodze pomimo umęczenia, poi je chłop zziajane w każdym stawku, w każdej rzeczulce przy drodze, zajeżdżając po brzuchy końskie w wodę. Stanąwszy gdzieś, przyczepia zaraz opałą z obrokiem do dyszla i tym sposobem popasa, nie wyprzegając i nie zważając bynajmniej czy konie zmęczone lub nie; wszystko to przecież nigdy im nie szkodzi, a chociaż niezbyt dobrze karmione, że jednak nie przebiérają w paszy, gdy choć trochę dbał o nie gospodarz, nabierają z łatwością mięsa i wyglądają dobrze pomimo niewygód i pracy.

Resztę dobytku włościanina stanowi jeszcze kilka owiec, najczęściej czarnych, o długim, kudłatym runie, z którego wyrabia się bita w foluszach szaraczyna na opończe. Owce dają włościaninowi główną część jego odzieży: bo skóry ich wyprawiają na kozuchy, ów najprzedniejszy strój włościanina. Oprócz owiec, należy jeszcze do kompletu inwentarza żywego locha z prosiętami i parę podświnków. Prosięta stanowią pewną rubrykę dochodu gospodyni, wychodzącej z niemi na targ do sąsiedniego miasteczka; podświnki przechowują się i tuczą na kielbasy, na opędzenie uczy wielkanocnej. Owce i bezrogi *z przeproszeniem*, (chłop nie wzmiankuje o tém zwierzęciu bez dodatku przeprosin) mają osobne dla siebie chlewki, przyczepione do innych zabudowań gospodarskich, najczęściej okrągłe kształtem, o ciasnych drzwiczkach, niższe i niedbaléj od innych sklécone. Bywa tam jeszcze na obejściu szopa, a raczéj poddasze podłużne, o trzech ścianach, tylko niezabudowana z frontu, lub wcale tylko na słupach rozpięta. Jest to skład podręczny sprzętów gospodarskich; tam zaciąga się na noc pługi i brony, tam złożone pod ścianą spoczywają przez lato sanki proste, tam wreszcie stoi stołek czyli warsztat ciesielski, do strugania obręczy i kół; każdy bowiem wieśniak bywa choć trochę stelmachem, cieślą i o tyle przynajmniej umie obejść się z siekiérą, o ile mu to potrzebne na własny użytek, aby sobie naprawić wóz, złożyć kopanice, lub podeprzeć chatę.

Możemy sobie tedy już wyobrazić, jak wygląda to obejście chłopskie, z małym, często bardzo małym podwórkiem, zapełnioném i kupą gnoju wyrzuconego z chlewków, i kałużą, w której domowa locha wieczyste swe ma łożysko, otoczoném rozmaitego kształtu i wysokości budyneczkami i chlewami. Tuż po za nimi przegląda wyżej nieco wznoszący się dach stodółki i małe gumienko włościanina. W jesieni po zbiorze stoi tam obok siebie jeden i drugi stołek. Te umniejszając się bezustannie w ciągu zimy, znikają o wiosnie, tak że na przednówku stodółka stoi już sama jedna, jakby na pustkowiu, zadumana, tęskniąca do obfitszej jesieni. Tok starannie wprzód wystrugany przed jéj drzwiami zarasta z wiosną, nietknięty oddawna cepem, bujną trawą ziarn poronionych w czasie młóćby. U majątniejszych tylko i staranniejszych gospodarzy, jeden lub drugi stołek przechowuje się czasami z roku na rok, — lecz rzadko to bywa; mało który jest tak szczęśliwy, żeby się oparł niedostatkom przednówku.

Lecz oto świta już na dzień. Zimą brzask wschodzącego słońca zaczyna srebrzyć się na niebie, latem już nawet słońce zeszło wysoko i złocistém morzem oblało widnokrąg; ruch zaczyna się we wsi. Wszyscy wychodzą z domu, spiesząc na robotę. Gospodarz pokończył drobne swe zajęcia poranne na obejściu, urządził sobie tu na cały dzień wszystko jak potrzeba i wybiera się na robotę w pole, na łan dworski, lub na swój zagon, albo na folwark na pańskie gumno, jak wypadnie. Gospodyni tymczasem, wstawszy porównie z mężem przed wschodem słońca, szepcząc ranny pacierz, przyniosła wody ze studni i rozpaliwszy ogień w piecu, nastawiła w dwóch wielkich garnkach obiad, zawsze z dwóch potraw złożony. Jestto najważniejsze porannych jéj godzin zatrudnienie. Już też i dzieci pościągają się z za pieca, drobniejsze rozczochrane i zaspane, ziewając siadają z podgiętemi nogami po kątach chaty i zaglądają ciekawie ku warzącej się przy ogniu strawie, lub cisną się do matki, póki ich nie obdzieli kawałkiem

chleba i nie zatka tym sposobem krzywiących się i rozdziawionych buziaków; starsze krzątają się około gospodarstwa; dorastająca córka wyniesie jeść krowie i wydoi ją, nakarmi prosiaka i drób domowy; młodsze dzieci, jak które do czego zdadne, wypędzają gąsiątka na trawę, zamiatają chatę, a chłopak ośmioletni, wyręczając ojca, napawa konie w stawku i wypuszcza je na paszę.

Gospodarz wychodzi z domu na robotę na czczo, bo obiad dopiero na godzinę dziewiątą będzie gotowy i ten wynosi mu lub sama gospodyni w pole, lub też wysyła przez które z dzieci. Z sobą bierze on tylko kawał chleba na przekąskę południową, owinięty w torebkę płócienną, cep pod ramię lub kosę na plecy, sierak zarzuca na opaski w lecie, w zimie zawdzięwa kozuch, często żonin, bo swego lepszego nie chce poniewierać przy pracy; jeżeli mróz wielki, szyję obwinie jaką taką płachtą i wychodzi na cały dzień z domu.

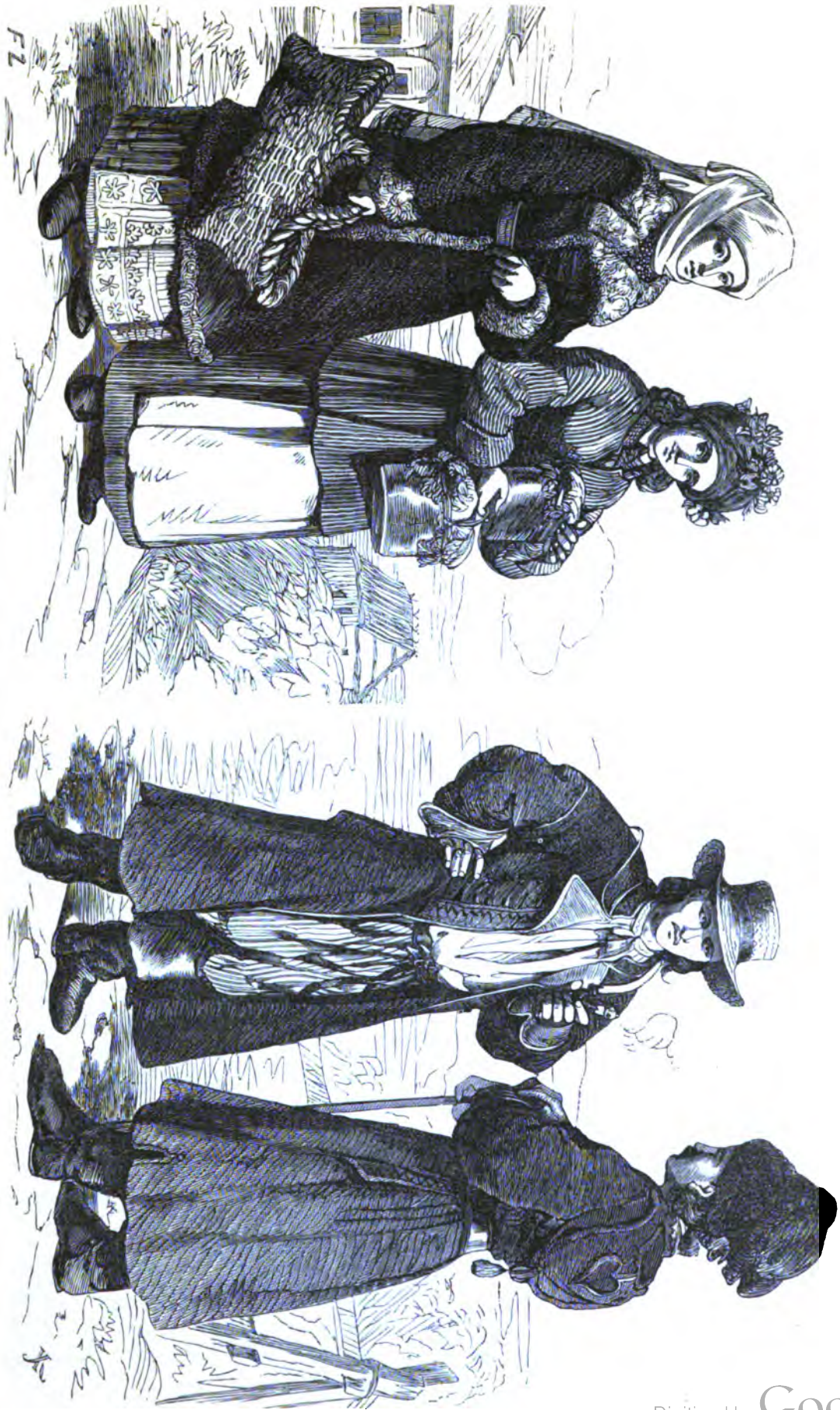
Teraz też najlepiej będzie przyrzeć się jego fizygnomii i całej powierzchowności.

Rusin jest wzrostu miernego, postawy smukłej, twarzy ściągłej, kościstej, z pewnym wyrazem melancholii i zadumy, w czem się różni od Mazura krępego, przysadkowego, z twarzą okrągłą, wypełnioną, rozpromienioną uśmiechem i żywością. Chłop ruski jest zawsze chudy, organizm jego żyłasty, muskularny, chód opieszły, niezgrabny, z kolanami naprzód podanymi. Pochodzi to z pracowitego życia jakie prowadzi i z dźwigania ciężarów. Nie jada mięsa, chyba na Wielkanoc lub na jaką wielką uroczystość domową. Ciągła, często wysilająca praca, dźwiganie ciężarów przygarbia jego postawę, zgina kolana i nie daje mu nigdy utyć. Nie zdarzyło mi się nigdy widzieć chłopca otyłego, jak to bywa u ludzi z innych warstw społeczeństwa, wiodących inny rodzaj życia i zatrudnienia. Zresztą wyraz twarzy ma poczciwy, oko jasne, z wejrzeniem często nieśmiałym, w pół smutnym, włosy zawsze jak len jasne u dzieci, ciemnieją z wiekiem od tłuszczu, którym je od najmłodszych lat smarują. Kobiety w pierwszych latach młodości bywają piękne. Ten sam wyraz nieujęty, wpółsmętny, owiewający ciemnawe, ogorzałe od słońca lica dziewcząt, toż łagodne głębokie wejrzenie, dodaje właściwego Rusinkom powabu. Piękność ich jednak trwa nader krótko. Dziewczyna, wyszedłszy za mąż, po roku lub dwóch latach zmienia się i brzydnie do niepoznania; twarz jej chudnie, piegowieje, zółknie i przeciąga się; praca i słabości przebywane bez żadnego pielęgnowania, bez żadnej pomocy lekarskiej, dokonywają tego skutku. W ogóle więc lud ruski, a mianowicie płeć żeńska, nie odznacza się pięknnością. Uważałem jednak iż dzieje się to wsiami. W jednych wsiach rasa od najmłodszego dziecka bywa kształtną, w innych tak brzydką, że jednej powabnej nie znalazłem twarzy. Pochodzi to, jak sądzę, ztąd, że ogromne wsie podolskie stanowią jakby odrębne, odgraniczone w sobie kolonie. Rzadko włościanin bierze sobie żonę z innej sąsiedniej wsi; wszyscy łączą się zwykle między sobą w swém rodzinném siole. To też cała gromada jest pokumana wzajemnie i wszyscy mniej więcej w jakimś z sobą zostają pokrewieństwie. Ztąd wynika że i ludność każdej wsi całemi pokoleniami zachowuje pewne cechy, nie zmienia się i nie odradza, a raczej brzydnie i karłowacieje.

Chłop ruski zachował do dziś dnia zwyczaj golenia głowy. Tylko na samym wierzchołku zostawia gęsty czub długich włosów, spadający naokoło głowy i zakrywający ją całą. Z przodu włosy ucina równo w pół czoła, jak to mówią do garnka, z tyłu daje im rość długo; tak więc czub cały podzielony na dwie kondygnacje; na czole od skroni do skroni krótko i równo ucięty, a z tyłu w długich kędziarach spada na kark. Zwyczaj golenia głów, niegdyś powszechny w Polsce u wszystkich stanów, zatracił się dziś już u szlachty; chłop jednak trzyma go się tradycyjnie. Od najmłodszych lat dzieciom już podgalają czuprynki. Chłopak mający siedm, ośm lat, chodzi z świeżo wygolonym na każde uroczyste święto ciemniem, które pokrywa wysmarowany słoniną lub masłem czub z wierzchu głowy. Tylko parobcy dorośli, owo za postępem czasu już nieco zdążające pokolenie, gdy się otrą cósłkolwiek w szerszym świecie, bądź w służbie dworskiej, bądź w wojsku, wyzwalają się z pod tego zwyczaju. Chłop wreszcie nie nosi brody ani faworytów. Goli twarz często i starannie, mianowicie na każdą niedzielę i święto, wyostrzonym od-

cinkiem kosi, służącym mu za brzytwę, przed maleńkim jak dwa palce odłamem lusterka, wlepionym raz na zawsze w ścianę izby. Wąsy podstrzyga równo i krótko. Strój chłopca ruskiego składa się najprzód z koszuli, z spodni z grubego, zgrzebnego płótna, domowego wyrobu i bielienia. Pod szyją spina koszulę guzikiem mosiężnym, płaskim, lub związuje, (co oznacza już pewną elegancją, zwłaszcza u młodych parobków) wąską wstążeczką koloru czerwonego, tak zwaną *harasówką*. Chustki na szyi nigdy nie nosi; chyba w czasie wielkiego mrozu lub zawieruchy owinie się jakąś płachtą. Buty nosi wielkie, niezgrabne, z podeszwą gładką bez obcasa, z wywróconemi u wiérzchu na dobrą szerokość dłoni cholewami, nigdy nie robione do nogi, lecz kupowane gotowe po jarmarkach w mieście. Buty te smaruje czasem tłustością, a zwykle dziegciem; podkuwa je zaś u miejscowego kowala grubą żelazną w półksiężyc podkową, podbitą zamiast obcasów. Nogi owija w onuczki, a zimną nadto wiechciami słomy dla ciepła, co wszystko wygodnie włazi w ogromny but. Wielkość i niezgrabność obuwia przyczynia się do niezgrabnego i ociężałego chodu. Strój ten uzupełnia jeszcze pas skórzany na szerokość dłoni, spięty na jedną lub kilka stalowych sprzączek. Pas ten ma z przodu kieszonkę krytą. Jestto schowek na drobiazgi podręczne, które wieśniak zawsze nosi przy sobie, jako to: krzemień, krzesiwo i hupkę, podczas gdy nieodstępna króciutka lulka jest za koszulą w zanadrzu, po rusku mówiąc, za pazuchą. Kieszonka w pasie służy także za schowek na listy, gdy jako posłaniec rusza w drogę. U pasa na rzemiyku wisi też zwykle kozik, to jest składany, z drewnianą toczoną rączką nożyk, szeroki, właściwego kształtu, z śpiczastym niby stalowy trójkąt garbem, nieodstępne i niezbędne narzędzie wieśniaka. Taki jest zwykły strój letni na codzień do pracy. Od słońca chroni głowę kapelusz upleciony z świeżej swojskiej słomy, okrągły, wysoki na pięć do sześciu cali, o miernie szerokich kresach, obwiązany tasiemką, lub paskiem sukienym, niebieskiej albo ulubionej czerwonej barwy. Czasem zamiast białych płóciennych spodni, noszą pstre, w niebieskie wązkie paski, a na koszulę zawdziewają kaftan, podobny do kurtki, z krótką na ćwierć łokcia marszczoną falbaną. W zimie lub w święto, jak to już widzieliśmy, chociażby w lecie, ubierają się w duży, obwisły kozuch i wysoką z czarnych baranów czapkę, z dnem granatowem sukiennem, ozdobioną z tyłu, gdzie się schodzi futro, kilką płaskimi, pionowo przyszytymi fontaziami z niebieskiej wstążki, co ma kształt niby zawiasów u drzwi; ztąd czapki takie nazywają *na zawiasach* lub *klamrach*. Ubożsi, którym niestać na kozuch, młodsze pokolenie, parobcy, lub też kiedy niema potrzeby wielkiego stroju, zawdziewają na wiérzch opończę czyli *sierak*, z grubej sieraczyny, szarego czyli właściwie siwego koloru, ubitę w foluszach ze swojskiej wełny. Sierak nierobiony do miary, lecz kupiony gotowy w mieście, bywa też obwisły, z długim stanem, stojącym kołnierzem, a z połami długimi po kostki; z tyłu ma kilka fałdów, podobnie do mieszczkańskiej kapoty i na plecach kaptur owalny, z klapkami w górze zszytymi i wycięciem w kształcie serca, dla ozdoby. Kaptur ten, płasko przszyty do kołnierza u sieraka, nie da się wciągnąć na głowę; lecz służy za schowek na chleb, lub jakie drobiazgi w podróży, zwykle zaś próżny, jest tylko ozdobą opończy. Wszystkie szwy tej opończy są nadto wyszyte dla ozdoby w małe zygzaki kolorowemi, zwykle czerwonymi sznurkami włóczkowemi, na kołnierzu, ramionach, rękawach, plecach, tam wszędzie, gdzie w kapocie bywają taśmy.

Taki jest w całości swojej strój męzki, niewymyślny, jednostajny, przechowujący się tradycyjnie z pokolenia w pokolenie. U włościanina naszego śpi nierozbudzony dotąd pociąg do zbytku; zmysł wykwintności, kameleonowe grymasy mody są mu nieznanne, nawet niezrozumiałe. Nie pojmuje jakby można użyć pieniędzy na jakikolwiek przepych w pomieszkaniu lub odzieży. Pieniądze też nie mają stosunkowo dlań właściwej wartości. Bogactwo jego stanowi kozuch i bekiesza żony, korale i bielizna w skrzyni, poduszki suto piérzem wypchane, kilkoro bydła i koni, jeden i drugi stóg, z roku na rok przechowywany, czerniały i osiadły z wiekiem, wreszcie zasób gospodarskich potrzeb w komorze. Gdy to ma, nie wie na coby jeszcze mogły przydać się pieniądze. Są one mu potrzebne tylko na opłacanie podatku. To też



Ubiory wiośnian na Podolu galicyjskiem.

majątniejszy gospodarz, gdy zaopatrzy pomienione dopiero potrzeby i opłaci podatek, nie sprzedaje nigdy pozostałej mu krescencyi i cieszy się swym kilkoletnim stogiem, chociaż ceny tymczasem podnosiły się i opadały i minęła kilkakrotnie sposobność spieniężenia plonu, oddanego na potajemny łup nurtujących po starym stogu myszy. W karczmie płaci swe długi zwykle także zbożem w naturze, na czém Żyd z korzyścią zawsze wychodzi. Papiérowych pieniędzy chłop nie lubi, nie rozumie ich wartości i nie wierzy w nią; to téż tyle tylko przyjmuje banknotów, ile na opędzenie podatku i bieżących potrzeb mieć musi. Gdy zaś brzęczącej monety jaki taki uzbiera zasób, nie wie co z nią zrobić. Wówczas z poządlivością skąpca, który posiada skarb, lecz nie pojmuje jego wartości, zakopuje ją w największej tajemnicy nawet przed żoną, i nie przyznaje się do tego, chyba w ostatniej chwili przed śmiercią. Ileż to przepadło na długie lata takich garnków z cwancygierami, zakopanych skrycie w samej chacie lub w jej pobliżu, jeżeli właściciel w przedzgonnej chwili nie miał już przytomności wyznać gdzie swój skarb zakopał! Nieraz żona i dzieci w nędzy zostają, a wszyscy co znali nieboszczyka jak był zasobny, dziwią się gdzie mógł roztrwonić mienie, podczas gdy bite jego ruble i cwancygiery spoczywają pod zapiekiem lub gruszą, i kiedyś dopiero, może po śmierci żony i dzieci tułających się w biédzie, przypadek wydobędzie je na wierzch i komuś obcemu poda w ręce.

Strój kobiety równie niewymyślny, nie zmieniający się od wieków, nie poddał się wcale pod zwierzchnictwo mody, co w wyższym społeczeństwie tak despotycznie rozciągnęła swe panowanie nad płcią piękną. Tu nie dosięgła jej ręka. Ubiór wieśniaczek jest równie prosty jak był przed laty. Najprzód więc koszula z grubego, w domu bielonego płótna, z szerokimi rękawami, marszczonemi u końca ręki i mankietami w szlarke, z kołnierzem wążiutkim, wyłożonym, spięta pod szyją czerwoną tasiemką. Na święto bierze się koszula cieńsza, z kupnego perkalu, lecz wówczas dla oszczędności nadsztukowana bywa od kolan tak zwaną *podtoczką*, z grubego domowego płótna. Podtoczkę zakrywa długa do kostek *dymka*, to jest spódnica, gęsto marszczona z tyłu, z rozporkiem z przodu. Dymka ta w pasy i zygzaki barwy czerwonej, ceglastej, a najczęściej niebieskiej, jest wyrobem domowym. Kiedy niekiedy przychodzi do wsi Żyd wędrowny z tłómczkiem na plecach, w którym mieszczą się garnki z farbami olejnymi, gotowe patrony, wałki do odciskania i kilka tuzinów wzorów najrozmaitszej pstrocizny. Rozkłada warstat swój w karczmie i wnet po całej wsi błyskawicą rozbiega się wieść, że w karczmie jest Żyd, który wybija dymki. Schodzą się gospodynie, każda ze zwitkiem płótna pod pachą, i rozglądają we wzorach. Ileż tam rad wzajemnych, ile namysłów! Wybrawszy sobie każda wzór, jaki jej i jej kumom najlepiej przypadł do smaku, w kilka minut za parę dydków ma odbitą dymkę, w którą, uszywszy ją sobie sama, ustroi się w przyszłą niedzielę do cerkwi. Mało kiedy, i to tylko u dziewcząt co albo służyły we dworze, albo inną jaką miały sposobność zasmakować w elegancyi, dymkę zastępuje cieńsza, perkalikowa, z miejskiego kramu spódnica. Dymka podwiązana jest u pasa sukienną krajką, a na wierzch, aby zakryć rozporek spódnicy, bierze się jeszcze długi po kostki fartuch, zwany zapaską. W święto do stroju i w zimie, zawdziewają buty, podobnie niezgrabne i podkute jak męzkie. Tak męzkatki jak dziewczki obwiązują głowę chustką wzorzystą z frędzlami, w najjaskrawsze kolory. Czasem, zwłaszcza u starszych, bywają téż chustki ciemne, sino-granatowe, w białe muszki. Na szyi paciorki rozmaitego koloru, szklane, korale, której stać na nie, medalik mosiężny, krzyżyk jeden i drugi uważane są za konieczną ozdobę, a mnogość ich i rozmaitość stanowi elegancyą i przepych stroju. Bogatsze gospodynie noszą korale, których wielkość i ilość sznurków stopniują się według zamożności; uboższe, dziewczęta zwłaszcza, poprzestają na paciorkach szklanych rozmaitego kształtu i koloru, najczęściej szafirowych lub białych; palce zdobią w pierścieniu mosiężne rozmaitego kształtu, z szklanemi kamieniami, które wraz z paciorkami za tanie pieniądze kupują po miasteczkach. Czépiec niciany, przezrystą robotą, odróżnia ubranie głowy męzkatki od dziewczyny. Dziewczęta zaplatają włosy pod chustkę w dwie kosy z tyłu, które układają

wierzchem w około głowy, niby obręcz, łącząc końce obu kos z sobą. W sobotę późnym wieczorem, po skończonej robocie, zebrawszy się po kilka razem myją się, czeszą i zaplatają jedna drugą, poczem już cały tydzień nie tkną głowy grzebieniem, chyba po wierzchu, nie rozplątując wcale kos. Śpią też, zwłaszcza w zimie, nie rozbiierając się, w dymce, rozpasawszy tylko krajkę i odjąwszy zapaskę. Mężatki, z włosami uciętemi od czasu zamężcia, zastępują brak kos małą obręczką podłożoną pod czépiec, aby się lepiej imał głowy i podtrzymywał chustkę. Mężatka raz oczépiona, już nigdy czépca nie zrzuca z głowy, sypia i chodzi w nim, a mianowicie nie wyjdzie nigdy z chaty bez czépca, mają bowiem przesąd, że lichy czyha na odkrytą głowę mężatki i nabawia ją nieszczęścia. Na wierzch zwykłego ubrania zawdziewają do stroju lub w drogę kaftanik w niebieskie wążiutkie paski, podobny do tego jaki miéwają na lato mężczyźni, lecz z dłuższą, blisko po kolana sięgającą, marszczoną spódniczką. Kaftanik taki podwiązuje się jeszcze długim wełnianym pasem czerwonym, lub w podłużne, niebieskie z zielonawemi pręgi, takim jakie na święto do stroju biorą parobcy. Bogatsze dziewczęta i gospodynie, zamiast kaftana, zawdziewają do stroju sierak z białej wełny, podobny krojem do męzkiego, różniący się tylko barwą i tém że nie ma z tyłu kaptura. Sierak ten również bywa obwisły, nie robiony do osoby, lecz kupiony gotowy w mieście, z rozporkami naśladowącemi kieszenie po bokach, z których w porze słoty wyglądają niby rogi wystające na zewnątrz końce spódnicy i fartuszka podkasanego, aby się ustrzedz od błota. Sierak, im obficiej ma szwy wyszyte kolorową włóczką, tém jest ozdobniejszy. W zimie gospodynie chodzą w kozuchach, jeśli stać na to; uboższe jednak muszą się i w téj porze obchodzić sierakiem. Bogatsze biorą na każdą uroczystość bekieszę z białych baranów, pokrytą suknem grubém granatowém i wyszywaną taśmami. Mężatki na wielki strój i przy każdej uroczystości owijają głowy rańtuchem białym, jak to widzieliśmy już w poprzedzającym rozdziale, podczas niedzielnego nabożeństwa. Oba jego końce spadają długo na plecy. Twarze kobięce, owinięte rańtuchem, który zakrywając czoło i skronie, okrąża całe oblicze aż pod brodę, wyglądają jak starych kariatyd głowy. Mąż ofiaruje rańtuch na podarek ślubny żonie.

Przechodząc do umysłowej charakterystyki chłopca ruskiego, znajdujemy go poważnym, refleksyjnym. Rusin, z natury więcej melancholijnego usposobienia, cichy jest i w sobie zamknięty. „*Uparty jak Rusin*,“ znane to i prawdziwe przysłowie. Nieskłonny do zapędów, do chwilowych uniesień, lecz przeciwnie spokojny, cierpliwy i łagodny. Przytém religijny, do zabobonów skłonny, przesądny, co z braku oświaty wynika, wreszcie poetyczny i muzykalny z natury. Mówiliśmy poprzednio już o grajkach wiejskich, co ze słuchu na niedzielnej zabawie w karczmie przygrywali do tańca kołomyjki i rozmaite pochwyte śpiewki i nuty, chociaż nikt ich nigdy nie uczył jak ciągnąć smyczkiem i palcami przebieierać po strunach, by umiały rzewnie i z serca odpowiedzieć. Letnią nocą, gdy z końmi na paszę jadą *nocieżanie*, cała wieś odzywa się to rzewnemi i tęsknemi, to naprzemian weselszemi głosami fujarek, przeplatanych piosenkami w dwu lub czterowierszowych wrotkach, często doraźnie improwizowanych. A na wiosnę, w czasie całodziennego pielienia ogrodów, w długie skwarne żniwa, te głośne a rzewne śpiewy robotnic i żniwiarek, odzywające się po całych dniach po polach i ogrodach, któż ich nie słyszał na Rusi i nie zapamiętał?...

Położenie towarzyskie, ucisk i ubóstwo, będące wpływem tego stanu rzeczy, ubóstwo nieraz graniczące z nędzą, przy braku najpiérwszych potrzeb do życia, wszystko to w ciągu lat długich urabiało charakter chłopca ruskiego, wpływało na jego usposobienia wrodzone i kształtowało je, tworzyło jego sympatyje i antypatyje, jego wady i cnoty. Główném złem, wszczępijącém w przekonanie chłopca uczucie wiecznej krzywdy, stawiającém go wiecznie w stosunku nienawiści względem dworu i dziedzica, była pańszczyzna, — pańszczyzna, obciążona całym szeregiem dni pomocniczych, szarwarków, wart, daremszczyzn i wysług, pod Bóg wié jakimi nomenklaturami. Chłop, czy gospodarz *parowy*, tj. ten który posiadał *ciągło*, a zatém był obowiązany odrabiać pańszczyznę parą koni, czy też *pieszak*, tj. nie posiadający in-

wentarza, odrabiał zwykle trzy dni pańszczyzny właściwej na tydzień, lecz gdy to nie wystarczało dworowi, dziedzic żądać mógł więcej, wprawdzie za opłatą, lecz obliczoną zazwyczaj bardzo nisko, a wypłacaną kiedyś, później, przy półrocznym obrachunku, za pośrednictwem kwitów wydawanych do arendarza w karczmie, który je sobie za swoje znów potrącał długi, lub z góry w kształcie zapomogi udzielonej na przednówku, co atoli z uszczerbkiem kmiecia znacznie obniżało cenę opłaconej w ten sposób z góry robocizny. Wszystko to wdrażało głęboko w serca ludu przekonanie o niesłuszności tej nieustannej pracy na korzyść dworu, za którą nie odbierano nawet widocznego wynagrodzenia, i zakorzeniało głęboką nienawiść ku tym, którzy jej żądali, a co gorsza sami z prawa egzekwowali. Nienawiść ta zwiększała się w równym stosunku z powiększeniem ubóstwa w chacie, ubóstwa przechodzącego nieraz wszystko, co sobie zdaleka wyobrazić o tém można. Pijaństwo, namiętność tak rozpowszechniona między wiejską ludnością, tak, rzeczby można, zrosła z jej żywotem, ta rdza niszcząca ciała i rozumy, rozszerzyło się w znacznej części z chęci obalamucenia się, odurzenia siebie samego wśród zbytnie doskwierającej nędzy, którą znosić sił już nie stawało.

Nic też nie mogło bardziej zwiększać rozdziału między ludem a szlachtą, jak ów stosunek poddańczy, tak sztucznie skomplikowany w Galicyi, co w ciągu lat siedmdziesięciu kilku, aż do r. 1848, anormalnie wypaczał stan społeczński kraju. Niedosyć bowiem że poddaństwo i pańszczyzna były ciąglą kością niezgody, pobudką wiecznej waśni, ale jeszcze najwięcej pogorszała stosunek dziedzica do swych poddanych ta okoliczność, że z prawa dziedzic miał przy sobie dominium, to jest był ustanowioną dla chłopów pierwszą instancją we wszystkich sprawach, w takich nawet, które tyczyły się samegoż dziedzica, jego wymagań lub nadużyć względem poddanych. Chłop nie miał dla siebie innego trybunału i nie mógł się udawać do sądu, póki urząd dominialny, to jest własny jego dziedzic, przez zastępcę, zwanego mandataryuszem, urząd ten sprawujący, nie wydał wyroku w pierwszej instancji. Jakże opaczny stosunek, jakby na uwiecznienie rozdziału w społeczeństwie obmyślony! Sam pan, sam sędzia! Czyja sprawa? wójtowska. — Kto sądzi? wójt. To przysłowie ludowe, z taką ironią dobitnie wyrażające sprawiedliwość podobnych sądów, daje się zupełnie zastosować i do owych sądów dominialnych w Galicyi, przed ustanowieniem poddaństwa i pańszczyzny.

Ponad władzą dominialną dziedzica, stała dopiero w drugiej instancji władza urzędu obwodowego, mająca czuwać nad postępowaniem pierwszej i wymiarem sprawiedliwości w dominium. Do tej więc drugiej opiekuńczej władzy zwracały się wiecznie błagalne wejrzenia tych, którzy w każdej sprawie z dworem, dwór mając za sędziego, wiecznie się czuli pokrzywdzonymi. Cyrkuł karał tu i owdzie nadużycia, lecz onym nie zapobiegał; leżało to już w samém opacznie skomplikowanym urządzeniu społeczeńskiem i administracyjnym kraju, w tym prawem przepisany stosunku poddaństwa i jurydykcyi, tak statecznie zachowywanym w ciągu lat kilkudziesięciu.

Władzy dominialnej nie mógł atoli wykonywać dziedzic sam osobiście, chociaż imiennie była ona przy nim, on był za nią odpowiedzialnym i jego pieczęcią stwierdzone wychodziły pisma z kancelaryi dominialnej. Był do tego osobny urzędnik, którego dziedzic utrzymywał jako *representanta dominium*. Zdawał on umyślny, kwalifikujący go na ten urząd egzamen i otrzymywał dekret rządowy. Aby złożyć egzamen i dekret taki otrzymać, dosyć mu było skończyć trzecią klasę w najniższych normalnych szkołach. Ten tedy dekretowany *mandataryuss* wykonywał władzę dominialną w imieniu dziedzica, sprawował wszystkie czynności połączone z dominium, do których, oprócz sądownictwa w pierwszej instancji, należało także wykonywanie administracyjnych rozkazów rządowych. On mianowicie dostawiał rekrutów ze wsi, on pobierał podatki i t. p. Otóż nowa, dziwna zaiste anomalia w ustroju skomplikowanej maszyny: mandataryusz, mieszaniec, do kilku naraz sfer należący, niby trochę samoistny, bo na mocy własnego urzędującego dekretu, a w rzeczy całkiem zawisły, i to od dwóch władz rozmaitych: po połowie od

pana, który go dowolnie przyjmował, odprawiał i który mu płacił, tudzież od rządu, od którego odbierał wprost rozkazy. Jakże pogodzić te sprzeczności, jak się na takim utrzymać stanowisku i wszystkim dogodzić stronom?

Lecz nie o to nam chodzi, ażeby kręślić obraz administracyjnych urządzeń kraju i dalej rozstrzygać zmotane ówczesnych stosunków włókna. Myśmy tylko dlatego potrącić o ten stosunek, że w długoletnim przeciągu czasu wywarł on wpływ stanowczy na charakter ludu i widoczne w usposobieniu jego i uczuciach wycisnął ślady, których nie można pominąć, chcąc wierny jego zdjąć daguerotyp.

Mandataryusz, będąc tedy sędzią we wszystkich sprawach i zajściach między wieśniakami, sprawując policją miejscową i będąc z prawa wykonawcą wszystkich rozporządzeń dotyczących ludności, stawał się też nieodbitie każdemu mieszkańcowi wsi potrzebną i ważną osobą. Mając ogromne pole pozostawione swjej samowoli, stawał się on postrachem chłopów, celem ich nienawiści; w obawie jednak zemsty z jego strony, (do czego codzienną w najdrobniejszych stosunkach mógł po tysiąc razy znaleźć sposobność), nie śmiał chłop udawać się ze skargą na niego do dziedzica, lub do wyższej jeszcze instancyi. Bezskuteczne zwykle te skargi ściągały w przyszłości na samego skarżącego się najprzykrejsze następstwa. Wszakże mandataryusz dostawiał rekruta, a kogo zechciał uwalniał od branki swym wpływem, pod rozmaitemi prawnymi pozorami; on wydawał karty pozwolenia parobkom do ożenienia się, on rozpisywał kwaterunki, nakładał dowolnie szarwarki; a dopieroż w rozsądzaniu codziennych prywatnych kłótni i spraw wiejskich, tysiące mniej więcej bolesnych przykrości mógł wyrządzić chłopu w każdej chwili. Milczenie tedy i cierpliwość, schlebianie, pokłony i znoszenie jak najczęstszych darów, w postaci kur, jaj, wódki, bezpłatnych stójek, czyli podwód, w razie wyjazdu w drogę pani sędziny lub jej synów z wakacyi i na wakacye, z świąt i na święta i t. p., były to najskuteczniejsze, jedyne prawie sposoby odwrócenia gniewu i niełaski mandataryusza. Skarga nic nie pomagała, owszem pogorszała jeszcze stan rzeczy, podwajała złe. Toż satrapą wszechwładnym był we wsi mandataryusz. Obok kancelaryi dominialnej, niezbędny areszt zapelniał się na jego skinienie; jemu służyło prawo kija, rozdawania chłosty cielesnej i zakowania aresztantów w kajdanki, byleby spisał rzecz całą w protokóle sprawdzającym przewinienie. Protokół taki, jeśli rzeczywiście go spisano, składany potem bywał na wieczną niepamięć w aktach dominialnych, i nigdy żadne ludzkie oko do niego nie zaglądało. Jakież ogromne pole do nadużyć! Dziedzic, przy którym, jak się wyrażało prawo, było dominium, który odprawiał i przyjmował mandataryusza i w którego niby imieniu ten wszystko działał, nie wiedział, i nie mógł wiedzieć o tém wszystkiem; były to tajemnice kancelaryi dominialnej, powtarzające się w najrozmaitszej postaci, w gruncie zawsze jedne, a tak weszły w zwyczaj, że nawet niczyj nie zwracały już uwagi.

Do pełnienia wszystkich poruczeń urzędowych, miał mandataryusz jednego lub więcej policyantów, których używał zarazem do posług domowych, około kancelaryi i pomieszkania swego. Policyant, zwykle chłop wysoki wzrostem i silnej budowy ciała, był równie postrachem we wsi i w swojej sferze, acz mniejszym nieco od mandataryusza, satrapą. Mundur miał niebieski z zielonym kołnierzem, jaki wówczas był przepisany dla służby policyjnej; przez ramię przewieszał, jako oznakę swego urzędu, na skórzanym pasie krótki pałasz, a w ręku nosił kij nieodstępny, nietylko godło, lecz i niez mordowany czynnik swjej władzy, dobrze znajomy w obrębie jego jurysdykcji. Trafic do łaski policyanta, był to zwykle najpewniejszy sposób zaskarżenia sobie względów samego mandataryusza. Zniewolony policyant jedno wyperswadował, drugie przeinaczył, lub w tajemnicy zachował, na inne rzeczy znów patrzył przez szpary i nie jeden poruczony sobie rozkaz zmodyfikował na korzyść strony, która umiała trafić do jego przekonania.

Takie to wpływy urabiały w ciągu lat długich charakter ludu i kształtowały w pewnym kierunku wrodzone jego usposobienia. Nie mogąc odeprzeć złego które go przygniatało i zaradzić swemu położeniu, z natury więcej powolny, zadumany i zacięty, zamykał się w sobie i z goryczą w sercu, a milcze-

niem na ustach, znosił cierpienia, jakie mu dolegały. Krzywdę sobie wyrządzoną zamykał w sercu i pamiętał niejeden *ruski miesiąc*, choć rzadko kiedy, i to tylko w swém własnym poufném gronie, wydarła się skarga z piersi. Ztąd wyrodziła się obłuda w charakterze ruskiego chłopa, ztąd nieufność ku wszystkiemu, co nie nosiło siermięgi, lecz surdut, nieufność pchająca lud na oślep w ręce przebiegłych arendarzów i pokątnych pisarzy, umiejących z podziwienia godną zręcznością podmawiać chłopa do procesów z panami i skarg, które im sami pisali, wyłudając zato ostatni grosz z kmiećej kalety, a w braku tego, ostatnią kurę i jaje, ostatnią miarkę zachowanego na przednówek zboża. Ztąd wreszcie wyradzające się z biegiem czasu zubożenie na wszystko i nienawiść ku szlachcie tak głęboko wszczepiona, że długie lata nie zdołają jęj wykorzeń, chyba w nowém pokoleniu, wyrosłém już śród innych stosunków, którego umysł rozpowszechniona z czasem między ludem oświata nowemi uposaży wyobrażeniami.

Nienawiść ku panom i surdutowym w ogóle, przeniosła się również i ku szlachcie czynszowej. Szlachta ta w znacznej liczbie osiadła wsie podolskie, a nieobowiązana odrabiać pańszczyzny, zamiast nięj płaciła czynsz roczny dworowi. Najczęściej szlachta starała się zabudowywać w jednej stronie wsi, w pobliżu jeden od drugiego, tém bardziej że łączyli się między sobą tylko związkami małżeńskimi, a ztąd bywali wzajemnie w rozmaitym stopniu spokrewnieni. Teśc wydzielał zięciowi część ogrodu pod nowo stawiać się mającą chałupę; brat oddawał szwagrowi połowę obejścia, jako posag siostry. Tym sposobem skupiano się pomału w jednej stronie wsi i tworzyła się mniejsza lub większa kolonia szlachecka. Szlachcie czynszowy nie różnił się niemal w niczém od chłopa, chyba tém, że nie odrabiał pańszczyzny i przechowywał jak najstaranniej pergaminowy swój dyplom szlachectwa, który go uwalniał od rekruta; szlachta bowiem, jak wiadomo, aż do r. 1848 była uwolniona od obowiązku służby wojskowej. Otóż szlachcie czynszowy, oprócz tych przywilejów, niewidzialnych zresztą na pierwszy rzut oka, i oprócz dumy rodowej w piersi, niepozwalającj mu wejść w związek małżeński z chłopką, nie różnił się, powtarzam, niczém prawie od chłopa. I on znosił nieraz nędzę w chacie, i jemu piérwszych nie dostawało potrzeb do życia i zadłużał się u Żyda, bo dochód z niewielkiego kawałka gruntu nie wystarczał na utrzymanie rodziny, a iść na zarobek niezawsze dozwalała próżność szlachecka; i on żywił się prostą strawą, jak każdy inny wieśniak, sam szedł za swym pługiem i wszystkie własnoręcznie sprawował roboty około gospodarstwa; i on nosił prosty kozuch barani i dziegciem smarował buty, bo na szlachecką, jaką może ojcowie nosili, już nie wystarczało kapotę, a jeśli była, to schowana od święta i wielkiego stroju. Lecz szlachcie czynszowy, przy całkowitym braku oświaty, a wygórowanej ambicyi rodowej, poddmuchiwanęj głupotą, był niewypowiedzianym arystokratą względem chłopa. Patrzał nań zawsze z góry, a w ciągłych z nim z położenia już swego stosunkach i obcowaniu, dawał mu nieustannie w najleśniejszy sposób uczuwać mniemaną swą wyższość, trzymając go zawsze w pewnym oddaleniu od siebie. Toż chłop, jak powiedziałem, przenosił niechęć swą ku surdutowym w ogóle i na tę, na jednę z nim grzędzie osiadłą, szlachtę czynszową, a w uczuciach i wyobrażeniach swych łączył ich wszystkich solidarnie w pewną nieprzyjazną sobie jedność i zarówno nie lubił szlachcica na zagrodzie, jak pana we dworze.

Pańszczyzna, ta ciągła, zmuDNA praca, bez widocznej nagrody i korzyści dla pracującego, praca pod nadzorem, gdzie szło tylko o to, aby dzień za dniem przebyć dla oka nadzorcy, przyzwyczała lud nasz do lenistwa, ucząc go każdą robotę zbywać ladajako. Wada, przeszedłszy w nałóg, przeniosła się i do innych zatrudnień wieśniaka, które sam z własnej woli i dla siebie przedsiębrał. Wzrastające nie dbalstwo pogorszało stan jego gospodarstwa i samochcąc pograżało w coraz jeszcze większe ubóstwo. Potrzeba, dopiekająca nieraz do żywego, pchała do nowych występków, które się rozpowszechniały między ludem. Główném téż a zakorzenioném złem, z którym napróżno walczy surowość prawa i nauki moralne duchowieństwa, jest *śłodziejstwo*, grzech tak rozpowszechniony między ludem tych okolic, że omal nie stracił już nawet cechy hańbiącego czynu w jego oczach. Z małym wyjątkiem, każdy chętnie ukradnie,

gdy mu się dobra nadarzy sposobność, a jakkolwiek pobyt w kryminale za złodziejstwo zawsze jest rzeczą rzucającą pewną plamę na tego co ją odsiedział, plama ta nie jest jednak w nieczyich oczach tak wielką, aby stanowczo szkodziła na sławie, lub wykluczała z towarzystwa; czasem chyba wśród kłótni bryzgnie tam ktoś tym wspomnieniem w oczy, lecz nic więcej; a co się tyczy drobniejszych kradzieży, które nie pociągnęły za sobą kryminału, tylko w najgorszym razie karę w dominium, to już się ich nikt i nie powstydzi, nikt na nie nie zważa. Rzemień i żeleźce, są to dwa przedmioty posiadające moc nieprzepartej pokusy dla chłopca; chociażby w jaknajmniejszej ilości, w jaknajlichszej jakości, warte za ledwo jeden kieliszek wódki, chłop ich nie pominie. Ujrzawszy na drodze odłamek podkowy, zatrzymuje się by go zabrać i gotów dłoń zboczyć z drogi, choćby w najpilniejszym śpieszył interesie. Nałóg ten zdrożny tak się zakorzenił, że kradną już nietylko z potrzeby, z nędzy, lecz nieraz z zamiłowania, by nie opuścić dobrej nadarzającej się sposobności. Kradnie stary i młody, bo od dziecka przypatrywał się jak to czyniła matka i jemu dawała do przechowania lub zaniesienia do karczmy. Kradną kobiety i mężczyźni, ubodzy i bogaci, najmcy, synowie gospodarscy i sami gospodarze. Mało który, i to już wśród majątnych i statecznych gospodarzy, stanął na tym stopniu ambicji moralnej, że nie dopuściłby się kradzieży, nie chcąc pokalać swą sławę gospodarską w gromadzie; lecz zato młodzi synkowie jego cichaczem dopuszczają się tego, czego nie zrobiliby ojciec. Dzieci zaczynają praktykę na cudzym grochu, na cudzych gruszach i kwaśniacach, na marchwi i ziemniakach w sąsiedzkim ogrodzie. Od łyżeczki do rzemyczka. Ze wzrastającym nałogiem, wzrasta i wartość przedmiotów pożądaných. Zboże z dworskiego śpichlerza lub sąsiedzkiej komory i konie stanowią grubego zwierza, na który polują już tylko wyćwiczeni złodzieje z rzemiosła, których jednak, niestety! dotąd jeszcze w żadnej wsi niebrak.

Pijaństwo jest drugim okropnym, nadzwyczaj rozpowszechnionym nałogiem ludu prostego. Jeżeli inne, wyż wymienione wady znacznie się zmniejszyły od czasu ustania pańszczyzny, tak iż niezaprzeczone można już dojrzyć postęp wykształcenia moralnego, jeżeli lud staje się lepszym, łagodniejszym, pilniejszym w pracy, dbalszym o swój dobytek, a nieciśniony wreszcie nędzą, zaczyna więcej starać się o podniesienie własnego gospodarstwa i bytu, niżli o korzystanie z cudzej własności niedozwolonym sposobem, — to przeciwnie nałóg pijaństwa rozpowszechnił się jeszcze okropniej, od chwili gdy z ustaniem pańszczyzny, przybyło włościaninowi pieniędzy i czasu, a nie ma oświaty, by wolne chwile umieć zapełnić pożytecznie i życie umilić innego rodzaju godziwymi przyjemnościami. Pijaństwo jest górującą namiętnością chłopca, wódka jest mu osłodą życia, ucieczką i pociechą w nędzy, tak jak w dobrym bycie jedynym jego użyciem. I nie można się temu dziwić. Śród takiego wychowania, jakie lud nasz odbiera, nałóg ten wzrasta wraz z nim, zaszczerpiony już we krwi od dzieciństwa. Chłop do ulubionej sobie wódki, którą jako najwyższy przysmak ceni, zaprawia już dziecię swe w pieluchach, z miłości, ażeby mu dać zakosztować czegoś dobrego, równie jak z troskliwości o jego zdrowie, wódkę bowiem uważa jako najlepszy środek na wszystkie choroby. Przy każdej sposobności, przy każdym częstunku udzielają już niemowlęciu bodaj parę kropel napoju. Jako lekarstwo od robaków, od febry, wreszcie jako przysmak, dziecko pić musi, choć jeszcze pić nie umie. Wlewają mu w gardło przemoę, dziecko krztusi się, krzywi i płacze, lecz zwolna przyzwyczajają się do wódki, tępieją nerwy smaku i zaczynają same pożądać téj drażniącej goryczy. Dziecko w sześciu, siedmiu latach, chłopiec czy dziewczyna, pije już z żądzą, drząc do kieliszka, całym półkwatkiem wódkę, i nikt mu tego nie wzbrania, niczyjéj to nie uderza uwagi, owszem raczą go rodzice z miłości, sąsiedzi z gościnności, zarówno z innymi.

Tak to ten zgubny nałóg, wysysający zdrowie i nieraz ostatnie imienie wieśniaka, a co najbardziej, upadlający go moralnie, osłabiający umysłowe jego siły, wkorzenia się od dzieciństwa, przechodzi w krew i staje się żądzą niepohamowaną, powiększając się i stopniując z wiekiem. Przed laty piętnastu zbawienna myśl ojca Mathiew, przeszedł z Ameryki do Europy, szerząc się widocznie w rozpowszechniających

się towarzystwach wstrzemięźliwości, przebiegła i Galicyą, jak prąd przelotnej burzy. Duch czasu przemówił słowem, którego echo rozległo się od jednej kończyny Europy do drugiej, od zachodu na wschód, i przebrzmiał, jak każde pierwsze słowo, każde pierwsze użycie w długiej pracy wieków. Szlachetay zapał ogarnął wszystkich u nas. Duchowieństwo obu obrządków z żarliwością zajęło się szerzeniem bractwa wstrzemięźliwości, namawiając całą ludność, to zbiorowo z kazalnicy, to pojedynczo w konfesyonalach i odwiedzając umyślnie chaty wieśniaków, dla odbierania ślubów wstrzemięźliwości. Dziedzice i dzierżawcy z całymi rodzinami składali je pierwsi publicznie, dla przykładu, po cerkwiach. Duch czasu chwilowo odniósł zwycięstwo. Porwani ogólnym prądem, ślubowali wszyscy, jedni z przekonania, drudzy że się nie śmieli oprzeć naleganiom księży, inni wreszcie już ze wstydu, aby nie pozostać publicznie poza innymi w dobrém. Dostyc że w przeciągu kilku miesięcy cała prawie ludność Galicyi wyrzekła się pijaństwa... i po pół roku piła jak dawniej. Zewnętrzna forma ślubu powstrzymała doraźnie chłopca od wódki, lecz nie wyzwoliła go od nałogowej żądzy w nim zakorzenionej i nie wyrzuciła Żyda z karczmy: dwa potężne czynniki, dostateczne aby zniweczyć w czasie krótkim do zadziwienia chwilowe zwycięstwo moralności. Najprzód pod formą fałszowanych i rozmaitemi mianami chrzczonych napojów, jakoto: wiszniaku, rumu i t. p. które Żyd przebiegły podsuwał w karczmie, zaczęto pić farbowaną w rozmaity sposób wódkę. Później, gdy żądza i dawny nałóg brały coraz więcej górę, mówiono już głośno, że ślub to nie przysięga, a niedotrzymanie ślubu, to nie jest krzywoprzysięstwo; w końcu zaś przestano sobie nawet perswadować; lud cały zaczął jak dawniej pić bez skrupułu, a śluby jego wpadły jak kamień w morze, zapomniane i bez wieści, że zaledwie słaba i próżna ich pamięć przechowała się do dzisiaj. Od czasu ustania pańszczyzny, jak powiedziałem, nałóg ten rozszerzył się i pogorszył okropnie, zwłaszcza w sferze wyższej chłopów bogatszych, téj, że tak powiem, arystokracji chłopskiej, gospodarzy, którzy mają czeladź aby się wyręczać w pracy, a sami dnie całe wolne spędzają na swobodnej pijatyce. W tém też zaszła różnica. Dawniej nałogowi pijaństwa oddawali się więcej ubożsi, pijąc aby zapić nędzę, robaka w sercu. Tych stan się polepszył, nie potrzebują więc pić, aby się odurzyć w rozpacz. Majętni, przy obfitszych źródłach dochodu, nad istotne potrzeby znane wieśniakowi, który nie pojmuje jeszcze pokus zbyt wysokich majętni, mówię, piją wyłącznie dla użycia, bo to jedyna rozkosz, którą w zmysłowym swém poniżeniu pojmują. Piją tedy w dni świąteczne i robocze, piją od pierwszego brzasku dnia do późnej nocy, schodząc się na pogadanki w karczmie, gdy czeladź i synów wyprawili do pracy. Serce się kraje widząc tych ludzi, nieraz już o porannych dnia godzinach, napół przytomnych, z zablachmanionym wzrokiem, odurzonym umysłem, spędzających dnie całe na próżniactwie, w tym napół zwierzęcym stanie. Wyznać jednak potrzeba, że lud na ruskiem Podolu, w okolicach które właśnie opisujemy, mniej jeszcze oddaje się temu ohydному nałogowi, niżli w innych okolicach, zwłaszcza w pobliżu miast większych, jak n. p. Lwowa, w którego otoczeniu namiętność pijacka u ludu w daleko większym rozpowszechniła się stopniu. Częste przebywanie po miasteczkach, jarmarki, prężniki i tym podobne próżniacze okazy, nastęrczają jeszcze więcej pokusy i rozkiełznują namiętność. Z jarmarków, z prężników nikt nie wraca, nie będąc przynajmniej w stanie lekkiego oszołomienia i humoru podbudzonego wódką. Przyczynia się do tego w okolicach podlowskich gęstość wsi, większe zaludnienie, mniejsza wreszcie zamożność, a co za tém idzie, większa liczba bezżennych, zwłaszcza urlopników, bywalców, którzy są po wsiach roznosicielami próżniackiej buty i wszelkiego zepsucia.

Owóż wielkie zadanie, owóż gorąca potrzeba oświaty tego ludu, którego wyż wymienione wady głównie z jój braku pochodzą. Podnieść go umyślowo, dać mu poznać inne źródła przyjemności życia, niż w próżniackim, zmysłowym użyciu, przywieść go do tego, aby się rozmiłował w użytecznych zatrudnieniach, rozbudzić w nim szlachetniejsze uczucia, wiążące go ściślejszym węzłem z rodziną i domem, — oto czego dokonać mają szkoły ludowe, co jest ich najpilniejszym zadaniem. Oświata jest tą jedyną

potęgą, jedyną dźwignią, która lud nasz wyzwoli z pod jarzma tych upadających go nałogów, z tego poniżenia, w jakim obecnie zostaje; oświata i tylko oświata, tysiące mało powtarzać razy, oświata wszczepiona w młode pokolenie, w to zdrowe jeszcze i nieowiane zepsuciem pole, na którego gruncie przyjmie się ziarno moralnego odrodzenia, byleby staranną i umiejętną pielęgnowane ręką.

Dotychczas lud nasz żył i chował się samopas, na Bożej opiece; nikt się o to nie troszczył, aby iskrą prawdy rozświecić jego pojęcia, dać mu jakiegokolwiek wyobrażenie o świecie, o tém co go otacza i co w nim samym jako zaród godności człowieczej spoczywa. Niedziw zatem że to bez troskliwego nadzoru porzucone dziecię, ogarnęła ciemnota i upodlenie moralne. Przesady, zabobony i zmysłowe pokusy szczyły się wśród téj nocy, gdzie tu i owdzie przeblyskiwał przyćmiony dyament samorodnej szlachetności. I jakże mogło być inaczej? Widzieliśmy już jakie to były owe szkółki diacze przy cerkwiach, do których mimochodem zajrzeliśmy w poprzedzającym rozdziale, a które były jedynym źródłem oświaty ludu przed r. 1848. Zaszczepiły one odrazę do wszelkiej nauki, zamiast przynęcać ku niej ciekawość chłopięcą. W przekonaniu chłopca były one właśnie dotykającym dowodem, że nauka i szkoła na nic wcale przydać się nie może, chyba że kto chce kierować się na diaka lub księdza. Lecz wówczas ten co już tak wysokie powziął widoki i taką zakreślił sobie kolęj, porzucał raz na zawsze świat, który był jego własnym, zrywał węzły łączące go z nim, a przechodząc do szkół wyższych niemieckich, stawał się w nowym świecie już całkiem wynaturzonym innego społeczeństwa członkiem. Gbur i prostak na gruncie, jeśli wyuczywszy się czytać i o dwór otarłszy, został np. pisarzem, ekonomem, policyantem dominialnym, albo nawet samym mandataryuszem, stawał się zwykle tyranem bezlitośnym, tém surowszym, im więcej chciał zatrzeć przed okiem świata ślad własnego pochodzenia. A pamięć owych wyrzutków, owych zaprzaińców własnych domowych ognisk, wryta w sercu ludu cierpieniem, uwieczniła się w usciech jego tém dobrze na całej Rusi znaném przysłowiem: *Ne daj Boże z Iwana pana*.

Od r. 1848 dopiero zaczęto zakładać wszędzie szkółki wiejskie. W przeciągu dziesięciu lat powstała ich wielka liczba; każda prawie gmina założyła u siebie szkołę i ofiarowała się uposażyć nauczyciela. Ale czy szkółki te przyczyniły się w czémkolwiek do oświaty ludu, czy zaprowadzony w nich system nauki odpowiada potrzebom ludności i korzyść istotną przynosi, jest to znów odrębne pytanie, na które wprost przecząco odpowiedzieć musi, ktokolwiek przypatrzy się nauce w szkółkach tych udzielanej ludowi. Uczą w nich czytać, pisać po polsku, po rusku, głównie zaś po niemiecku. Nauka początków języka niemieckiego najwięcej zajmuje czasu. W jakim celu? nie wiemy. Czyż młode pokolenie włościan ma wychodzić na lingwistów i kraj zapełnić filologami? Natomiast w szkółce owéj niczego nie dowie się chłopię włościańskie, coby go do praktycznego życia, do gospodarskiego usposabiało zawodu, coby mu rzeczywiście na przyszłość użytecznym było, a co za tém idzie, przekonało go o użyteczności nauki. Szkółki dzisiejsze, wedle zaprowadzonego w nich systemu nauki, są pierwszym stopniem do dalszego szkolnego zawodu, pierwszą klasą szkół niemieckich krajowych, lecz nie są właściwymi szkołami wiejskimi, i póki nie nastąpi reforma systemu dziś w nich nakazanego, nie przyczynią się bynajmniej do rozszerzenia oświaty ludu, pozostaną słowem bezużyteczne. Jedno w nich dobre — to że są: jest więc przynajmniej materiał, na którym oprzeć się można.

Jest to przedmiot tak ważny, że o nim nigdy dosyć mówić i pisać nie można. Zając się nim powinno całe, gorliwe o dobro pospolite, obywatelstwo, uczone i agronomiczne towarzystwa, przedewszystkiem zaś sejm krajowy. Nauki dla ludu, nauki stosownej i użytecznej wołać nie przestaniemy, bo dziś, powtarzam, wcale jéj niéma, choć nominalnie istnieją szkoły, a chłopięta duszą się, skwierczą i nudzą po całych dniach w izbach szkolnych, czekając rychło dzwonek z swéj urzędowéj ponad szkolnym dachem wyżyny ozwie się nakoniec i pozwoli im rozbieżać się po swych chatach. Czemuż szkółki wiejskie nie mają usposabiać włościan naszych przedewszystkiem na ludzi moralnych i uczciwych, na rozsądnych

gospodarzy i rolników, gdy rolnikami na ojcowskiej mają pozostać grzędzie, gdy to ma być całego ich życia zawodem? Nie czcnych formułek, lecz nauki zdrowej i jędrnej wymagamy po szkołach ludowych. W skład jój powinien wejść popularny wykład najpiérwszych zasad rolnictwa i chowu bydła, czyli weterynaryi, sadownictwa we własnym, przy każdej szkółce założonym ogródku owocowym, pszczolnictwa, którego znajomość tyle dla wieśniaka potrzebna, które nieraz jest bogactwem włościanina, wreszcie gimnastyki, aby chłopcy z młodu już nabierali siły i zręczności. Tym sposobem urozmaicona nauka, przynosząc zarazem pożytek i przyjemność, zamiast zniechęcać, będzie ku sobie pociągać umysły chłopięce, a praktyczność jój przekona lud o użyteczności nauki i o jój potrzebie. Na takim dopiéro gruncie będzie można skutecznie działać na lud pismami i wydawnictwem książek dlań przeznaczonych, które dziś nie odnoszą zamierzonego skutku, dlatego że ludność, nie mając dostatecznego przygotowania, nie pojmuje ich ważności, nie ma żadnego w nich zamiłowania i w ogóle wcale ich nie czyta.

Za czasów pańszczyzny, ataman dworski i dziesiętnicy, rozszedłszy się po wsi, dobrze przed świtem, od chaty do chaty, wołali na pańszczyznę, zapowiadając każdemu, wedle otrzymanej dnia poprzedniego dyspozycyi, gdzie i do jakiej ma się udać roboty. Zapowiedź ta był to rozkaz, od którego niełatwo było się uchylać, chyba za wielkimi dopiéro próśby. Od ustania pańszczyzny zmieniły się role. Ekonom dworski, pisarze, gumienni, polowi i dziś przed brzaskiem dnia chodzą już od chaty do chaty, zwołując na robotę do dworu. Lecz co wprzód było rozkazem, zmieniło się dzisiaj w prośbę, i to zbyt często bezskuteczną. Kmieć, mający z nałogu już pociąg do próżniactwa, używając świeżej jeszcze swobody, niezbyt skwapliwie garnie się na robotę dworską i mało go tam obchodzi czy zboże na pańskiej niwie opada z kłosa, czy półkopki jego mokną w polu, lub inwentarz nie ma paszy zimą. Gospodarze sami, zwłaszcza majetniejsi, rzadko kiedy osobiście idą na robotę do dworu, tak jak i we własnym gospodarstwie zajmują się tylko copilniejszą robotą, bo mając synów i najmytów, używać mogą całodziennego wczasu w karczmie z sąsiadami. Na robotę dworską wygania go tylko potrzeba, gdy w chacie brak soli, lub grosza na podatek, gdy potrzebuje paliwa z pańskiego lasu, lub dworskiego pastwiska, albo gdy zmuszony przednówkiem, z góry wziął na odrobek zapomogę ze dworu. Rzadko kiedy przychodzi na robotę do dworu, skłoniony jakąś przychylniejszą chęcią, widząc że dwór potrzebuje robotnika, że z braku jego ponosi szkodę. Toż największych muszą używać usiłowań każdodziennie dworscy wysłannicy, aby idąc od chaty do chaty, zebrać jeśli nie dostateczną liczbę, to przynajmniej cóśkolwiek tyle potrzebnego im robotnika. Ileż muszą do tego używać codziennie próśb, zaklęć, obietnic i rozmaitych sztucznych zachęceń, a przytém ile codziennie doznać rozczarowań! Życie takiego ekonomy czy nadstawnika dworskiego, to z tego względu istne piekło, przez które co rano przechodzić musi.

Zawdziawszy sierak na opaski, wzięwszy w torebkę kawał chleba, cep lub kosę na ramię, kmieć nasz, jak widzieliśmy, wyszedł tedy z domu na robotę, — znacznie wcześniej, jeżeli np. z kosą na swą własną niwę — znacznie później, jeżeli do dworu. Robotą pańszczyźniana rozpoczynała się o świcie, w zimie nawet jeszcze przed świtem; robota terażniejsza za opłatą, w mniemaniu włościanina, zawsze to niby jeszcze jakiś rodzaj łaski w dodatku, zaczyna się więc dobrze na dzień. Kmieć wyszedł z domu na czezo. Zamożniejszy wstąpił jeszcze po drodze do karczmy, bo karczma w środkowym punkcie wsi zawsze jest po drodze; wypił pół kwaterek wódki, wykurzył lulkę i wziął w zapas paczkę bakuniu. Robotą dworską nie idzie nigdy tak żwawo, jak około własnego gospodarstwa. Choć to już nie za pańszczyznę, zawsze jeszcze dawne przywyknienie czyni robotnika więcéj opieszalym na robocie dworskiej niż u siebie, tém bardziej, że mu nie grozi żadna kara, przeciwnie wyświadcza niby łaskę, przychodząc na robotę.

Tymczasem gospodyni, zajęta od rana około pieca, zwarzyła już obiad i około godziny dziewiętej niesie go w kobiałce, w dwóch garnuszkach, lub umyślnie na to przeznaczonych bliźniakach, dla męża.

Jeżeli ma inne ważniejsze zajęcia, w żniwa zwłaszcza, w porze pilniejszych robót, wyręczają ją w tém małe dzieci i jest to jedno z najpierwszych zajęć, któremi dziecię włościańskie zaczyna być użytecznym w gospodarstwie.

Obiad ten ranny składa się zawsze z dwóch potraw, zwykle rzadkich; najczęściej jest to barszcz biały, ta najzwyczajniejsza, codzienna potrawa ludu, lub serwaczany; na drugą potrawę wolna hreczana lub jęczmienna kasza, czyli krupnik z kartoflami, toż kapuśniak gęsto kaszą zasypany; do tego chleb razowy z przymieszką mąki jęczmienną, czasem kukurudzianą, a w razie większego ubóstwa nawet hreczaną lub owsianą. Wszystkie, jak widzimy, potrawy spożywa wieśniak w stanie rozrzedzonym. Rzadko kiedy

jada gęstą kaszę lub kartofle. Wówczas omaszcza je sérem, lub kwaśnym mlékiem, co jednak należy już do przedmiotów zamożniejszej kuchni. Uboższy zjada wszystko postne, bo o maśle lub słoninie ani myśleć ubogiemu. Mięsa chłop nigdy nie jada, chyba na Wielkanoc kiełbasy i wieprzwinę, będącą dlań największym przysmakiem, należącym do rzeczy zbytko-



Połudnek.

czystościach, jak np. weselach, pominkach i t. p., miejsce wołowiny zastępuje drób' na własnym gospodarstwie chowany i wybornie utuczony, ociekły tłuszczem, jakiego na pańskich nie widywać stołach. Ten jé się z turecka palcami; kmieć bowiem, spożywając wszystkie prawie potrawy, jak widzieliśmy, w stanie rozrzedzonym, nie używa dotąd wcale widelców ani nożów, oprócz w razach nadzwyczajnych swego kozika. Lecz nigdy prawie tego nie potrzebuje: chleb łamie rękami, a resztę potraw spożywa drewnianą łyżką,

wych, spożywanych tylko w zapusty i wielkie święta. Do większego jeszcze zbytku liczy się mięso wołowe, które potrzeba kupować w mieście, podczas gdy na kiełbasy tuczy się własny wieprzak. To téż mięso wołowe tylko w najrzadszych okazjach, a wygotowany zeń rosół, juszka zwany, należy do najarystokratyczniejszych wymysłów kuchni. Na większych uroczach i uro-

którą, zwłaszcza najmcy, częstokroć noszą nieodstępnie przy sobie, wetkaną za cholewę. Obiad ten z dwóch rodzajów strawy wystarcza już za całodziennie pożywienie. W południe następuje jednogodzinna przerwa w pracy i odpoczynek. Wówczas spożywa się *połudenek*. Jest to sucha przekąska, — mianowicie chleb z solą, czasem z przydatkiem czosnku, lub młodej zielonej cebuli. Szczególnym przysmakiem w lecie, w czasie upałów, bywa na połudenek para kwaszonych ogórków. Wieczera jada się już wspólnie w domu. Cała rodzina, wróciwszy z roboty, zasiada około jednej miski, gospodarstwo i najmcy bez różnicy, i spożywają znów najczęściej kaszę lub kartofle. W lecie, gdy w chacie duszno, wieczera spożywa się w sieniach, a w dni pogodne po zachodzie słońca przed chatą; i jest to najswobodniejsza chwila sielskiego wypoczynku dla strudzonych całodzienną pracą, gdy tak wszyscy w około na przyźbie i stołkach obsiedą na niskim pieńku postawioną w pośrodku misę z jadłem.

Takie jest pożywienie, taki rodzaj życia włościanina, który głównie wpływa na jego usposobienie fizyczne, na stan zdrowia i rodzaj szerszących się między ludem chorób. Najwięcej, zwłaszcza z wiosną i w jesieni, grasują zimnice, przeciągające się nieraz po kilka i kilkanaście miesięcy. Chłop nie ma żadnej wiary w lekarzy, nie udaje się do nich nigdy, lub tylko z największą niechęcią i nie ufa lekom aptekarskim. To też na febrę leczy się najrozmaitszymi środkami, które wszyscy naprzemian doradzają, ziołami jakie mu znoszą okoliczne baby; lecz najczęściej środki te mało okazują się skuteczne. Febra, wymęczywszy go przez kilka miesięcy, ustaje wreszcie sama z siebie. Nieraz spotyka się chorych wyniszczonych jak cienie długotrwałą febrą, opuchłych i wyżółkłych, z zatwardzeniem wątroby, a czasem nawet umierają na febrę. Przyczynia się do tego wielkie łakomstwo na niedojrzałe owoce. Twarde dziczki, niedojrzałe kwaśnice, agrest i t. d. są to największe specyaly, którymi się opycha, skoro się tylko ich dorwać może. Jest to oznaka nader grubego jeszcze smaku, grubej zmysłowości. Owoc na drzewie nigdy tu nie dostoi, zjedzony zawsze napółdojrzały, kwaśny i cierpki. Ofiarą tego padają więcęj jeszcze dzieci. Śmiertelność między dziećmi włościańskimi jest daleko większą, niż między dziećmi w innych, wykształceńszych klasach. Biędne, bo zostawione samo sobie, bez dozoru, wiecznie boso, w mróz czy na błoto w jednej krajką podpasanej koszulce, dziecię włościańskie na wszelkie wystawione jest niebezpieczeństwa, a gdy zachoruje, również pozostawione bez pomocy i należytego pielęgnowania, często zostawione samotnie na cały dzień w chacie, gdy rodzicom śpieszno w pole na robotę, przebywa za piecem gorączki i przesilenia, a nikt go nie okrywa od przeciągów i zimna, nikt nie przestrzega od szkodliwego jada i napoju. Samo pod okiem Bożem dźwiga się siłą natury, lub umiéra, zwykle nawet mało, a przynajmniej krótko, żałowane, gdyż ubóstwo i inne dolegliwości stępiają uczucia rodzicielskie. Zresztą nietylko dzieci, lecz każdy chory podobnie bez należytej opieki i starań przebywa słabości za tym piecem, który jest zarazem miejscem codziennego spoczynku i łóżem choroby w wieśniaczej chacie. Lekarz tu nie wstępuje, umiejętność nie przybywa z pomocą do tego opuszczonego łoża. Lekarzem jest dopiero słońce letnie, jeśli go się doczeka chory i wywieziony przed chatę może się kąpać w jego orzeźwiających promieniach; lekarzem jest twarda i silna natura, niedająca się łatwo zwalczyć, choćby najcięższej chorobie, a przede-wszystkiém Opatrzność Boża.

Również i słabości kobiéce muszą się obchodzić bez należytej, umiejętnej pomocy. Sztuka babienia spoczywa tradycyjnie w ręku starych bab, najczęściej pijaczek, do czego doprowadza je sposobność częstych chrzcin, których są uczestniczkami. Szkół położniczych niéma żadnych. Baby, oddające się temu zawodowi, tém chyba nabywają ku temu prawo, że już do niczego innego niezdatne we wsi. Wszystko odbywa się tedy jak Bóg da. To też najczęściej przez niezręczność i nieumiejętność bab biędne położnice tracą nazawsze zdrowie i nabywają rozmaitych defektów. Czerstwość i świeżość wieśniaczki zwykle tylko do pierwszej zachowują słabości. Pomimo tego baby nie tracą swęj sławy jako lekarki. Chłop, który nie ufa lekarzom, udaje się, gdy zaniemoże, w każdym razie z największą ufnością do bab, z największą

zwłaszcza wiarą w ich umiejętność zdejmowania uroków. Każdą niemoc, każdy ból, którego nie zna dotykanej przyczyny, chłop przypisuje dobrodusznemu, z największą wiarą, rzuconym nań urokom. Przywołana baba zdejmuje je przy różnych mistycznych ceremoniach, spluwając po wielokroć według przepisów i szepcząc rozmaite słowa tajemnicze, jój tylko wiadome. Cała rzecz kończy się najczęściej suchą wanną, naparzeniem nad ziołami zniesionymi przez babę, albo wysmarowaniem bolejących części wódką z mydłem lub kamforą, poczem zwykle uroki ustępują i cierpienie się kończy. Czy i same baby, sprawczynie tego ozdrowienia, mają równą wiarę w siłę mistycznych swych zaklęć w odwołaniu uroków, tego twierdzić dokładnie nie mogą, bo dla utrzymania swój powagi, oczywiście nigdy nie wyjawiają się w tój mierze. Prawdopodobnie ogólnie rozpowszechniony zabobon zakorzenił się i w ich przekonaniu i wmawiają w siebie siłę czy umiejętność, z którą im zresztą dobrze.

Zresztą niema w tém nic tak dalece złego, a sucha wanna i smarowanie najczęściej w samej istocie dopomagają silnej naturze wieśniaka do otrząśnięcia się z niemocy. Nikt jednak tak szkodliwie nie wyzyskuje ciemnoty chłopca, jak cyrulicy po małych miasteczkach. Oni to, dla wyłudzenia kilku dydków u chłopca, wmawiają w lud, że jedynym, uniwersalnym na wszystkie słabości lekarstwem jest puszczenie krwi. Wynikają ztąd największe nadużycia i najszkodliwsze skutki. Na ból krzyżów, głowy, zgoła na lada cierpienie, niewynikające wcale z przyczyny zbytku krwi, chłop śpieszy do cyrulika i każe jój sobie upuścić. Zwyczaj ten tak się upowszechnił, że niema chłopca coby nie puszczał krwi przynajmniej raz do roku, bądź jako lekarstwo, bądź jako prezerwatywę. Przy każdej sposobności, na prazniku czy jarmarku, chłop nie zaniedba odwiedzić także cyrulika i kazać sobie krwi upuścić, a każdy dzień taki jest żniwem dla miasteczkowego eskulapa. Kilku Żydków, wziętych na praktykę w dzień taki, nie może nastarczyć i dać sobie rady z cisnącemi się od rana do wieczora gośćmi. Mężczyźni i kobiety, starcy i zaledwo dorastające parobczaki cisną się tłumem do cyruliczej izby. Bogatszy, co może o parę groszy więcej wydać dla swego zdrowia, każe sobie téż i więcej krwi upuścić, uboższy musi poprzestać na mniejszej ilości: bo cyrulik ściśle oblicza ilość puszczonej krwi, do zapłaty jaką mu kto ofiaruje. To częste puszczenie krwi staje się wreszcie drugą naturą, potrzebą dla organizmu, tak iż rzeczywiście bez niego obejść się nie można. W nadużycie to, tak upowszechnione, a tak szkodliwy wpływ na stan fizyczny całej ludności wywierające, powinnyby ściśle wejrzeć władza lekarska i stanowczo koniec im położyć. Wprawdzie wedle istniejących przepisów niewolno cyrulikom puszczać krwi bez pozwolenia lekarza, lecz przepis ten nigdzie rzeczywiście nie bywa przestrzegany, a miasteczkowi cyrulicy wyzyskują dowolnie ciemnotę ludu, na karb jego zdrowia a korzyść własnej kieszeni. Przyczynia to się zapewne głównie do tego, że chłopci w ogóle starzeją się przedwcześnie i umierają nie doszedłszy późnego wieku. Sędziwych starców rzadko napotkać między ludem. Umierają zwykle między 50 a 60 rokiem, lecz wychudli, zużyli pracą i trunkiem, wyglądają już wówczas jakby siedmdziesięcio letni starcy. Dźwiganie ciężarów i wysilanie się w pracy, staje się przyczyną defektów upowszechnionych między ludem, które wyniszczają przedwcześnie siłę organizmu i przyspieszają starość. Takiemi są ruptury i dychawica. Każdy prawie starzec jest dychawicznym, do czego przyczynia się zwykle zadusna i wilgotna atmosfera pomieszczeń. Upowszechnioną téż, oprócz powyższych chorób, jest kurza-ślepotą. Przychodzi ona zwykle z głodu, bądź przymusowego na przednówku, bądź dobrowolnego w czasie wielkiego postu, i ustępuje z końcem tój pory. Twardy Rusin zachowuje jaknajskrupulatniej posty przepisane, uważając je za jeden z głównych obowiązków religijnych i zasług chrześcijańskich; toż kurza-ślepotą najczęściej w tój porze ich nawiedza.

Każda bowiem pora roku ma swe właściwe cierpienia i troski, każda osobne swe zatrudnienia i prace. Z pierwszym brzaskiem wiosny, z pierwszą pieśnią skowronka wychodzi rolnik w pole i zaledwo z pod znikających śniegów wyrzała czarna, z jesieni już pod zasiew jary przygotowana rola, śpieszy gospodarz rzucić w nią ziarno, nim ją wiatry osuszą. Zięble obsiewają się tutaj wprost bez przeorywania, bez

radlenia, i byle jaknajwcześniej obsiane, wydają obfite plony. Siejba w świeżej orce nigdy już nie wyda tak obfitego plonu, jak w ziębli zoraną pod zimę, którą użyzną częściami urodzajnymi śniegi, a wymarzną w niej podcięte lemieszem pórze i wszelkich chwastów korzenie. Wieśniak podolski z wiosną zasięwa najczęściej jęczmienia, owsa, tudzież hreczki, z których kwiatu pszczoły jego wysysają swój miodny pokarm. Na nowinie, lub gdzie na uboczu zagonu wydarzy się ubita zimą droga, przeoruje i zasięwa proso w małej ilości; kasza bowiem jaglana nie należy do zwykłego pokarmu. Z pierwszym dniem siejby gospodarz zaprasza do pomocy sąsiadów, a gospodyni wyprawia ich w pole, darząc bochenkiem chleba i wodą święconą. Gdy wrócą z pola, gospodarz sprawia im ucztę, wywdzięczając uprzejmą pomoc. Również i gospodyni, staranna o swe ogrody, nie zaniedbuje wiosennej pory. Gdy tylko zaczną znikać śniegi, zakłada na obejściu mały, okrągły rozsadnik, i na tém pulchném podścielisku zasięwa conajrańsze rozsady, obkłada cierniem i przykrywa słomą od rannych przymrozków, podlewając starannie kiełkujące gęstą zielonością roślinki. Gdy ziemia się ociepli, a grzędy skopane, zasięwa najczęściej marchwi, buraków i ziemniaków, a przy nizinach wilgotniejszych kapustę. Są to najpotrzebniejsze gospodyni warzywa, bo wszak codziennym pokarmem wieśniaka jest barszcz, kapuśniak i kartofle, to téż najczęściej tém zapełniają ogrody. Gdy kartofle chybią, jest to najdotkliwsza klęska dla ubogiego kmiecia; one bowiem są najtańszém pożywieniem. Gdy ich niema, potrzeba żyć mąką, drożyzna się wzmaga, a niedostatek i nędza na przednówku dochodzą do najwyższego stopnia. Oprócz tych najpotrzebniejszych warzyw dla wieśniaka, sieją tu jeszcze po ogrodach, a i w polu, wiele konopi, z których siemię daje wieśniakowi olój, rzecz tak dlań niezbędną przy częstych a skrupulatnie zachowywanych postach, i płótno, które w domu ubielone i u swoich we własnej wiosce wyrobione tkaczy, daje mu bieliznę i stanowi większą część jego ubrania. Dalej na tychże samych grzędach w mniejszej ilości, jeszcze w beładném z sobą zmieszaniu, lecz starannie opielone i pielęgnowane, sterczą zielone boby, wije się groch zielony i fasola, ścielą się z żółtym kwiatem ogórki; tu daleko odbiegły od swego gniazda ogromny, pękaty harbuz; owdzie jak mały gaik zielony kosmata kukurudza; tam znowu maki różnokolorowe, kwiat ulubiony wiejskich dziewcząt do ubierania głowy, po grządce rozlały się strugą; po krańcach poważny słonecznik złocistą za słońcem zwraca koronę; gdzie-niegdzie wysmukła malwa, rzucona ręką dziewczęcia, któremu już się okrom pożytku, zamarzyło i o ozdobie. Dogląda téż jój starannie: kwiat blado-różowy, zatkany za włosy obok zielonego barwinku, pięknie jój będzie do twarzy.

Gdy siejba skończona w polu i w ogrodach, następuje dla gospodarza pora spoczynku, nim nadejdą sianokosy i brzęk kos ozwie się po łąkach. Podczas gdy w wielkiej pracowni natury buja roślinność, rolnik z utęsknieniem i cierpliwością wygląda pory, w której zasiewy jego plon mu przyniosą. Jestto pora oczekiwania i nadziei, częstokroć pora zarazem najdotkliwszego niedostatku, dobrze znana ludności wiejskiej pod straszném imieniem przednówka. Wszystkie zasoby wyczerpane przez zimę, ostatek ziarna rzucony w rolę, pustką została komora, a potrzeby wiecznie też same, głód domagający się zaspokojenia, podatek który nie czeka, i tysiące podobnych potrzeb, tylko zasobu żadnego. Gdy naciśnie potrzeba, chłop szedłby na zarobek, lecz w téj porze właśnie najmniej jest do czynienia w gospodarstwie, a zatem i najmniej zarobku, a w innej porze, gdy potrzeba nie dociskała, nie pamiętało się o przyszłości i nieraz chłop wolał przepędzić dzień w karczmie i na próżniactwie, niż pójść na robotę. Jedyną dziś ucieczką dwór i arendarz. Szczęśliwi, jeśli można wziąć zapomogę lub pożyczkę we dworze, na odrodek w żniwa lub w jesieni. Gdy ta nie wystarczy, lub niema przystępu do dworu i potrzeba się zapożyczyć u Żyda, najgorsze idą za tém następstwa. Co się wzięło, potrzeba w jesieni oddać w kilkanaśób. Nieraz pożyczka taka, z dorachowaniem lichwy, zjada plon całego żniwa, i już w jesieni zostawując gospodarza bez jednego snopa w stodole, oddaje go na pastwę niedostatku, który nie czekając przednówka, w ciągu całej zimy ciężko uczuwać się daje.

Z tém większém téż upragnieniem oczekuje żniwa i tego nowego chleba, który go choć na kilka miesięcy zaopatrzy i lżejszą mu uczyni dolę. Jakże powoli dojrzewa zboże, w obec tych z taką szybkością mnożących się i z każdym dniem chatę jego nawiedzających potrzeb! Nie mogąc doczekać się żniwa, zgłodniiali koszą zielone jeszcze kłosa, na tydzień lub i więcej przed dojrzaniem, suszą je w piecu, wyciskają szczupłe, zmarszczone ziarno i pieką zeń placki słodkawe, chleb niezdrowy z niedojrzałego nasienia, który dlatego że z taką wymuszony trudnością, nazywają *chlebem męczonym*. To téż dzień pierwszy żniwa, dzień oczekiwany, jest dniem ogólnej radości. Co żyje wybiega z sierpniem w pole; obszary bieleją się tysiącem żeńców i żniwiarek, jak białe łabędzie przepływających w dole pomiędzy złocistemi zbóż falami. W żniwa we dnie wieś zdaje się stać pustką. Wszystkie chaty pozamykane. Tu i owdzie słycać tylko krzyk dziecka, które matka, nie wzięwszy go z sobą w pole, zamknęła na cały dzień w izbie. Dziecię, przebudziwszy się, płacze w niebogłosa, a niema komu uciszać tego płaczu, aż zmęczone krzykiem kilkogodzinnym, usypia znów aż do wieczora. Szkodliwy ten zwyczaj zostawiania dzieci samych na cały dzień w chacie, staje się powodem nader smutnych nieraz wypadków.

Ulice we wsi stoją pustkami. Czasem przesunie się wóz ładowny snopami, albo zerwą się psy i podając sobie niby hasło od chaty do chaty, z głośnieniem szczekaniem opadają dziada, co ciągnąc ze wsi do wsi, dąży na odpoczynek do karczmy, nim wieczorem powrócą wszyscy z pola i dziadowinę zaproszą w gościnę na nocleg. Toć i dla nich żniwa i jesień, to pora najobfitszych plonów. Na przednówku niema się czém wieśniak podzielić z ubogim; lecz w żniwa chętniej i łatwiej przychodzi udzielić drugiemu, gdy Bóg wniósł w ręce szczęśliwie plon upragniony i samemu odetchnęło się na chwilę po ciężkich dniach. Każda téż wieś ma jednego lub kilku starców, którzy korzystają z téj pory i zapuściwszy brodę, jeżeli można siwą, zawdziawszy łachman jaki zamiast sieraka i przewiesiwszy torbę przez plecy, lub dwie na krzyż po obu bokach, w razie spodziewanego obfitszego plonu, z kosturem w ręku puszczają się za jałmużną po wsiach sąsiednich. Nie należy jednak mniemać, że to są zawsze niedołążni, do pracy niezdatni starcowie. Rzemiosło dziada jest dosyć zyskowne, a przynajmniej wygodne, bo próżniacze. Toż wychodzą na zebranie nieraz ludzie wcale jeszcze krzepcy, którym smakuje zarobek próżniaczy i chleb proszony. Tacy to usiłują ile możności przybiierać mię schorowanych i niedołążów, a idąc od wrót do wrót, starają się rozczulać swych chlebowodawców, przybiierając postawę zgrzybiałą i szeptaając stereotypowe paciérze za dusze zmarłe, zaczynające się od słów: *za pomerszeńki duszeńki* i t. d. Nieraz dziad taki ma dzieci i wnuki zasobnymi gospodarzami, lecz gdy rodzina innym zarabia sposobem, by stary nie próżnował w chacie, lecz także coś przysporzył, wysyłają go na żebraczkę. Zimę dziad taki przepędza za piecem w dobrze ogrzanej chacie; często téż trudni się rzemiosłem szewckim lub tkackim. Z przednówkiem dopiero, gdy największy daje się uczuwać niedostatek w chacie, wyprawiają go *na żebrzy*. Szczęście jeżeli dziad taki może jakimś rzeczywistém kalectwem poprzec swe prawo do litości: wtedy rozczula serca i hojniejsze zyskuje datki. W ogóle lud nasz bogobojny chętnie wspiera żebraka i nie odprawia go nigdy z niczém od proga. Jest on mile widzianym gościem w chacie, bo opowie najlepiej co tam słycać w téj lub owéj sąsiedniej gromadzie, dzieje spólnej niedoli, często przeplatane kłamstwem opowiadającego, lecz niemniej przeto zajmujące. Żebracze torby nowiniarza napełniają się wtedy dużemi kromami chleba, mąką, krupami, nieraz kawałkiem jednym i drugim słoniny, gdy na świeżo zakłutego trafi wieprzaka. Zwykle część tego zostaje zaraz w karczmie, jeżeli nie w téj samej, to w najbliższém zaraz siole. Żebraczy pątnik potrzebuje pokrzepiać siły na drogę i podstroić fantazyę, a co łatwym przyszło do rąk sposobem, toć i łatwo zostawia się za wódkę w karczmie. Każdy dziad jest zwykle mniej więcej pijakiem; jedyna rozkosz jego w próżniaczej włóczędze. Dopiero gdy już torby wzrosną do okrągłej prawie wypukłości, dziad, uginający się pod ich ciężarem, wraca do domu, aby je tam wypróżnić, wypocząć i ponownie puścić się w swą po okolicy wędrowkę. Wszystkie téż uroczyste obchody, jarmarki, zwłaszcza prazniki w całej

okolicy, są regularnym, niechybnym zbiorowiskiem wszystkich dziadów. Mają oni w pamięci najdokładniejszy rejestr wszystkich tych, jak się tutejszy lud wyraża, *okazyj* i nie opuszczają żadnej. Na każdy praznik zjawia się ćma dziadów, którzy podczas nabożeństwa i niesporu zasiadają szeregiem u wchodu cerkwi i wyciągają najfałszywszym dyszkantem pobożne pieśni, wieczorem zaś do późnej nocy raczą się po szynkach, przepijając uzbieraną przez dzień jałmużnę. Dla tej pijatyki ściągają się więcej jeszcze jak dla jałmużny. Najwięcej dochodu miéwają zebracy ślepi, zwłaszcza lirnicy, których pieśni słuchają z upodobaniem dzieci wiejskie i czeladź dworska, uprzejmym przyjęciem i hojnym datkiem racząc lirnika.



Lirnik podolski.

Dziada-ślepa prowadzi małe chłopię, zwykle sierota, lub jakie nic dobrego, co uciekłszy z domu rodziców, zasmakowało w próżniaczęj za datkiem włóczędze. Nic więcej nie psuje i nie demoralizuje nieszczęśliwe dzieci, co na tę drogę popadną, jak ta nawyczka włóczegostwa od młodu. Rzadko kiedy z chłopca co się puścił, jak to mówią, *na dziadowody* wyrośnie coś dobrego, zazwyczaj tylko próżniak na wszelką rozpustę ochoczy, nie wuczon do żadnej pracy, do lekkiego danym groszem życia wzwyczajon, dobrze jeżeli jeszcze z wiekiem na zupełnego nie wychodzi zbrodniarza. Najczęściej, polubiwszy rzemiosło, stają się sami młodymi dziadami, włóczęgami od wsi do wsi. Ze względu na moralność publiczną, należałoby przestrzegać, aby młode chłopcy nie zajmowały się wodzeniem dziadów i aby z zaledwie od ziemi odro-

słemi dziećmi nie odbywano téj demoralizującej szkoły. Często téż zdarza się i teraz, że ślepa wiedzie dziad drugi i spólnie dzielą się przychodem, póki się nie poswarzą i nie rozłączą gniewni. Lira ruskiego dziada, owego wyrodzonego i w niczém już do swych ojców niepodobnego potomka ruskich gęślarzy, jest to rodzaj skrzyni z miękkiego drzewa, dosyć misternie urobionój, z korbą z boku, a klawiszami na wierzchu. Usiadłszy, lirnik bierze ją przed siebie i kręcąc korbę prawą ręką, a lewą przebieirając po klawiszach, śpiewa nosowym głosem ową zwykłą, tak dobrze znaną pieśń pobożną dziadowską: Światy Mykołaju! welykij czudotworczel... A tysiąc razy słyszana pieśnią uradowane dzieci, otoczywszy lirnika, słuchają jój z największém zajęciem, dla nich bowiem dziad z lirą, jest zawsze pożądanym gościem, bardzo ciekawém i radośném zjawiskiem.

Lecz wróćmy do wsi, którąśmy wyludnioną w dzień roboczy w porze żniwa zostawili pustkowiem. Pod wieczór dopiero wieś się ożywia. Nie znam na wsi piękniejszej, miłszej i więcj ożywionój pory, jak ta chwila wieczorna o samym zachodzie słońca, gdy wszystko wraca z pola, gwarnie i wesoło na wyścigi śpiesząc do domów, gdzie jeszcze niejedno jest do załatwienia około domowego gospodarstwa. Dziewczęta rozbiegają się z dzbankami do studni, po wodę do zgotowania wieczery; słyhać śpiewy i śmiechy; kurz wysokimi kłębami wzbijający się zdaleka gościńcem, oznacza że trzoda z pola powraca. Pośpiesznym krokiem ku wodzie dążą krowy po całodziennój paszy, idą białe i czarne owce o kudłatych runach; tu owdzie zamęsza się cap lub koza becząca. Naprzeciw wychodzą przed wrota gospodynie i dziewczęta, by wyłączyć z trzody swe krowki i owieczki i zapędać na obejście. Słyhać po całej wsi nawoływania, ryk krów za swemi cielętami, beczenie jagniątek, a wszystko się cieszy po pracy, bo wszystko wraca do spoczynku, w swém własném zaciszu, do swego własnego kącika. Gdy noc już zapadnie i gwiazdami wyiskrzy się niebo pogodne, gdy cisza we wsi nastaje, po wieczery ruszają z końmi na paszę nocležanie i znowu na chwilę wieś się ożywia. Śród ciszy i w nocnym mroku słyhać tętent koni, na wszystkich krzyżujących się po wsi drogach, i rozlegają się pieśni jadących w pole chłopców, przy towarzyszeniu wierzbowych fujarek, pieśni często improwizowane, w dwu lub czwórwiérszowych wrotkach, niekiedy wesołe, ucinkowe, częściej tęskne i rzewne. Pieśni i fujarka odzywają się naprzemian, oddalając się coraz więcj i konają echem w dalekiém polu za wsią; aż znowu zwolna cisza osiada we wsi i noc coraz więcj ciemnieje. Gdzieniedzie jeszcze spóźniony nocležan, doganiając swych towarzyszy, szybszym przez wieś przeleci galopem, lub spóźniony wóz ze snopami zwolna zatoczy się na obejście.... i wszyscy usną snem twardym, a we wsi rozlega się tylko kiedy niekiedy od strony cerkwi lub karczmy okrzyk warty nocnej: *Waruj ognia!* i zbudzonych tym krzykiem tu i owdzie psów naszczekiwanie.

W podobny sposób dzień za dniem przechodzą żniwa i zbliża się pora jesienna. Gdy siejba żyta skończona, (bo pszenicy chłop wcale nie sieje, lub tylko w bardzo małej ilości na paskę wielkanocną), po Pokrowie, gdy już i zimowe pokłady porobione i wszelkie roboty gospodarskie pokończone, nadchodzi pora wesel, nim adwent zaskoczy. Mało które zaślubiny odkładają się aż do zapust, wszystkie niemal wesela odbywają się w jesieni. Toż te kilka tygodni cała wieś spędza na zabawie. Natychmiast po zbiorach ustąpiła na chwilę troska niedostatku, jest z czego opędzić koszta weselne, jest o czém pohulać. Jestto téż najzyskowniejsza pora dla miejscowego arendarza, której on cały rok z upragnieniem wygląda. Najgłówniejszym bowiem przedmiotem tych uczt weselnych, zwykle tygodniowych, w przyjęciu gości jest wódka i tylko wódka. Goście, byle mieli podostatkiem napoju, nie dbają o resztę, a wedle przyjętych ceremonii, piją częścią tę wódkę, którą gospodarz w domu częstuje, częścią tę, którą sami dla uraczenia państwa młodych w podarunku z sobą przynoszą. Cały ten czas kilkodniowy drużyna weselna przebywa w stanie podchmielenia; opili przesypiają się trochę w komorze, lub w jakim innym kącie, a zupełnie trzézwego niema prawie nikogo, ani z męzczyzn, ani z kobiet, chyba z młodzieży, z dziewczek i wyrostków, którzy jeszcze sromają się trunku i nie wzwyczailli się przebieirać miarki. Na takiém weselu wychodzi

po kilkanaście i kilkadziesiąt garncy wódki, za którą nieraz potrzeba oddać plon całego zniwa i jeszcze obarczyć się długiem. Zato w adwent, a później w post wielki, przychodzą czasy opamiętania i wstrzemięźliwości. Umiarkowanie z religijnych pobudek, silnie jednak bywa popiérane smutnym widokiem próżnej komory i pustek w stodole. Chłop ruski, religijny i ściśle twarde zachowujący posty, rozciąga je także i do wódki. W wielki post wielu z nich zupełnie się od niej wstrzymuje. Inni, nie czujący się na siłach do tak wielkiej wstrzemięźliwości, piją tylko w pewne dni jakąś ograniczoną ilość, półkwaterek lub dwa i na tém koniec. Po skończeniu zato postu, wszyscy wetują sobie sownie tę na karb zbawienia duszy położoną zasługę wstrzemięźliwości.

Gdy pora wesel minęła i adwent zaskoczył, wieś przybiera postać poważną, cichą i ożywia się na dni kilka tylko chyba podczas świąt i w ostatki zapust jak nazywają *zimnych*, dla odróżnienia od ostatnich dni przed adwentem, które także zapustami nazywać jest w zwyczaju. W zimie niema ruchu we wsi, po ulicach wałęsa się samopas puszczone bydło i konie, ciągnąc z wolna ku studni, lub trąc się o okopy, i jeśli zgłodniałe, wyszarpując co paszniejsze wiązki mierzwy, z której układane są okopy. Gospodarze wyjeżdżają i wychodzą do lasu, by się zaopatrzyć w drzewo i chrust, po który czasem o mil parę jechać potrzeba, w budulec i materiał kołodziejski, niezbędny w gospodarce. Każdy chłop jest urodzony siekiernik, każdy umie się obejść z siekierą o tyle, o ile mu na własny potrzeba użytek, aby sobie wóz naprawić przynajmniej z grubszego, ociosać i umocować lusznę, dyszel i t. p. Ciesli i samorodnych budowniczych znajdzie w każdej wsi podostatkiem. Wszystkie chaty, wszystkie budynki we wsi są dziełem miejscowych budowniczych, a niema prawie chłopca, któryby do budowy własnej chaty sam, w jakiejś przynajmniej części, własną nie przyłożył się ręką. Oprócz ciesielki, drugim bardzo rozpowszechnionym zajęciem ludności jest tkactwo. W każdej wsi znajdziesz z kilkunastu tkaczy, którzy za nadejściem zimy, w braku innych zatrudnień gospodarczych, zasiadają boso w ciepłej chacie za tkackim warsztatem i wyrabiają płótna własne lub obce, najczęściej dworskie. Przesuwając z ręki do ręki drobne czółenka po szarej osnowie, zarabiają na utrzymanie rodziny i na podatek, zwłaszcza ubożsi, którzy się muszą z pracy rąk utrzymywać, lub gdy skąpe żniwo nie dopisze plonem. Do chaty niekiedy zachodzi Żydek z sąsiedniego miasteczka, w wyszarzanym i odartym chałacie, z przewieszonym workiem na plecach, za kupnem wszystkiego co się zdarzy. Pomimo że chłop każdy często odwiedza jarmarki i sam wywozi na targ cokolwiek ma do zbycia, w porze zimowej i po żniwach legiony takich wędrownych kupców rozchodzą się, a wędrując od chaty do chaty, szukają zarobku. Za ich namową sprzedaje chłop niejedno, czego zawieźć na jarmark nie zamierzał lub nie miał sposobności. Żydkowie ci poszukują zwykle skórek i woskwin i te najchętniej kupują. Towar taki zawsze się znajdzie w chacie, bo kiedy w zimie trudno o paszę i o ciepły zakąt, niejedno jagnię zginie z zimna i głodu, a i w pasiece też niejedno znajdzie się *spadek*. Chłopi podolscy chowają dosyć pszczół. Mało który nie ma pasieki, chociażby tylko z kilku pni złożonej. Wielka ilość hreczki, którą sieją na Podolu, bardzo sprzyja pszczolnictwu; w ogóle jednak stoi ono na bardzo niskim stopniu; ule są proste, bezdenniki, słomianami kryte czapkami. O dzierzonych pasiecznik tutejszy najmniejszego niema wyobrażenia, a kiedy chce plon mieć z swojej pasieki, po święcie *Spasa* wybija przeznaczone na zagładę pnie wraz z pszczołami. Część miodu zachowuje na święta i na pokarm dla pszczół na wiosnę, część wosku oddaje do cerkwi, by się na przyszłość wiodła pasieka, a resztę spieniężną, woskowiny zaś ze spadków zabierają Żydkowie owi wędrowni, co peryodycznie z miasteczka wycieczkę po okolicznych wsiach odbywają. Kupiec taki nie poprzestaje na skórkach i woskwinach; gdy się trafi tanio, kupuje i rzecz większą, miarkę np. zboża, którą jednak w dodatku wraz z nim podwieźć jeszcze potrzeba do miasteczka. Chociaż korzystają najczęściej z niewiadomości chłopca i tysiączne mają sposoby wyzyskiwania jego słabości lub potrzeby, są jednak pożądanymi u wieśniaka gośćmi, boć zawsze z nimi przyjdzie jaki grosz do chaty i nie potrzeba każdej chwili być na łasce miejscowego arendarza.

Taki jest żywot kmiecia ruskiego, pobieżnie w charakterystycznym skręslony tutaj zarysie, żywot upływający w ciężkiej nieraz pracy, w trosce o chleb powszedni w poniżeniu moralnym, w grubej zmysłowości, bo nie wznosił się jeszcze w wyższą sferę umysłowego uszlachetnienia i podnioślejszych uczuć. Grunt serca dobry i zdrowy z natury, pełen poczciwości wrodzonej, lecz należałoby stosownym pielęgnowaniem wyswobodzić go ze szkodliwych, a tak bardzo rozpowszechnionych nałogów, z grubej zmysłowości jarzma, co go tłoczy i do ziemi przygniata, z tej ciemnoty, która go zdaje na łaskę najgorszych pokus i zbroceń. Samopas puszczony, od dziecięcia wzwyczajony do gorszących przykładów, trudno by uchronił się od zepsucia, zwłaszcza że często z ust samych rodziców słyszy zachętę do grzechu; nie chodzi im bowiem o usposobienie moralne dziecięcia, lecz o korzyść jaką z niego mogą wyciągnąć. Dziecię w rodzinie chłopca jest jedną cyfrą więcej w sumie jego domowego bogactwa, a w jaki sposób wypłaca mu się ta cyfra i przymnaża ogólnej zamożności, to mu obojętne. Toć najczęściej zepsucie w początkach od samychże rodziców pochodzi. Zaledwo dziecię odrosło od ziemi i dobrze biegać się nauczyło, już nie dają mu próżnować w chacie. Piérwszym jego zatrudnieniem, którym zaczyna być użytecznym w gospodarstwie, jest pasienie gęsi z wiosną. W lekkiej koszulinie, boso, podpasane krajką, w ogromnym słomianym kapeluszu ojca, ocieniającym długie, mlęcznej białości włoski, z precikiem w ręku, pilnuje od wrony i sępa stadka żółtych gąsiątek, nurzających się po zielonych trawach i burzanach. Biedneż dziecię, jeżeli nie dopilnuje powierzonego sobie stadka i samo przestraszone, dozwoli wronie schwyć i unieść które z gąsiątek! Bez miłosierdzia potem zbite, zaczyna po raz piérwszy pojmować ciężar światowych obowiązków. Natomiast gdy mu się uda wyrwać coś potajemnie z cudzego ogrodu i przynieść do chaty, popaść gąsiątka na cudzej trawie, otrzymuje od rodziców pochwałę i nagrodę. Im więcej rosna chłopiec czy dziewczyna, tém potrzebniejszemi stają się w chacie, wyręczając ojca i matkę, i to jest jedną z głównych przyczyn, dlaczego lud tak niechętnie posyła dzieci do szkoły, dlaczego się tak stanowczo temu opiera. Chłopię zaledwo siedmio lub ośmioletnie, w wieku gdy pańskie dziecię, otoczone sługami, nic jeszcze zgoła samo dla siebie uczynić nie potrafi, chłopię włóściańskie idzie gdziekolwiek je posłać, sprawi się dobrze i wyręczy ojca; napoi konie, zaledwo na grzbiet koński się wygramoliwszy, kłusuje z niemi w staw, w rzekę i przez wieś całą, uchwyciwszy się grzywy. Nie zna siodła, strzemion ni uzdy i wcale się za niemi nie ogląda. Wynosi obiad ojcu w pole i trafi na każdą swoją choćby najdalszą niwę; nie obawia się niczego, bo dzieckiem posyłany wszędzie bez żadnej opieki, nabiera wczesnie odwagi. Sam pędzi w pole bydło, posłuszne jego biczykowi, słowem umie sobie dać radę i jest pomocnym w chacie, gdy zdawałoby się że sam jeszcze potrzebuje opieki i pomocy. Ale zato przy każdym zebraniu, każdej okazji i częstunku nie zapominają i o niem. Gdy starzy piją, i on dostaje swą porcyą wódki. Chłopiec czy dziewczyna, chce czy nie chce, pić musi; gdyby nie chciał, naraziłby się na karę, bo i dlaczegoż pić niema, kiedy to napój zdrowy i dobry, kiedy ojciec i matka, dziad i babka pili już w tym samym wieku, zaledwo odróśli od ziemi. Lecz przymus, jeżeli jest w początku, trwa niedługo. Grubieją nerwy smaku, — skrzywienie po gorzkim napoju ustępuje uśmiechowi żądz na widok kieliszka; dziewczyna sroma się jeszcze trochę i pije półgębkiem, ale wyrostek wychyla duszkiem półkwaterek, na uciechę rodziców, że walny i zdrowy. Tak to zaszczepia się już z młodości ów nałóg, przygniatający wszystkie umysłowe zdolności, stopniujący się w swój mocy z latami do nieprzepartej pokusy.

W lecie głównym zatrudnieniem chłopców i dziewcząt wyrostków, zwłaszcza w dni świąteczne, gdy niema roboty pilniejszej około gospodarstwa, jest paszenie bydła w polu. Nic bardziej szkodliwego dla młodzieży wiejskiej pod względem moralnym, jak ten właśnie zwyczaj. Jestto prawdziwa szkoła zepsucia. Całe dnie trawione na próżniactwie, opodal od oka ludzi, bez żadnego dozoru, dorastających chłopców z dziewczętami, dają pochop do wszystkiego złego. Młodzi pastuszkowie, oprócz tego że przepędzają dni całe na swawolach, jakie im tylko na myśl przyjść mogą, nie mają sobie wcale za złe zapuścić bydło

i konie na cudzy zagon w zboże, lub na łąkę, wytlóczyć zasiew i wyrządzić szkodę, zwłaszcza dworowi, byle tylko nikt nie dojrzał i na gorącym nie schwycił uczynku. I owszem, dybią na to i bardzo są radzi, jeśli im się uda szczęśliwie bydło swe, bodajby z największą szkodą, popaść na cudzém. Jedni z nich rozstawiają się zdala na czatach, dając bacność, by kto niespodzianie nie nadszedł i w takim razie ostrzegają z daleka, a inni tymczasem niby od niechcienia zapuszczają bydło w zboża po cudzych zagonach. Wleźć na cały dzień w groch cudzy i najadać się nim do syta, a potem jeszcze pełne zanadrze przynieść w zapasie do domu i otrzymać zato pochwałę rodziców; rwać całemi garściami niedojrzałe cudze zboże, na wyplecenie dla siebie i na sprzedaż słomianych kapeluszków, to nie grzech wcale, to rzecz tak zwykła, że nawet nie zwraca na siebie uwagi. Gminy powinny mieć bacność na to, ażeby młode pokolenie uchronić od tego wałęsania się całodziennego a próżniaczego za bydłem. Zapobieży temu ustanowienie w każdej wsi pasterzy gromadzkich, jak to już i dziś w niektórych gminach ma miejsce. Wówczas młodzież te dni na próżniactwie i swawoli trawione, będzie raczej przepędzać na pracy w domu, na nauce w szkole, lub na godziwej pod okiem starszych zabawie.

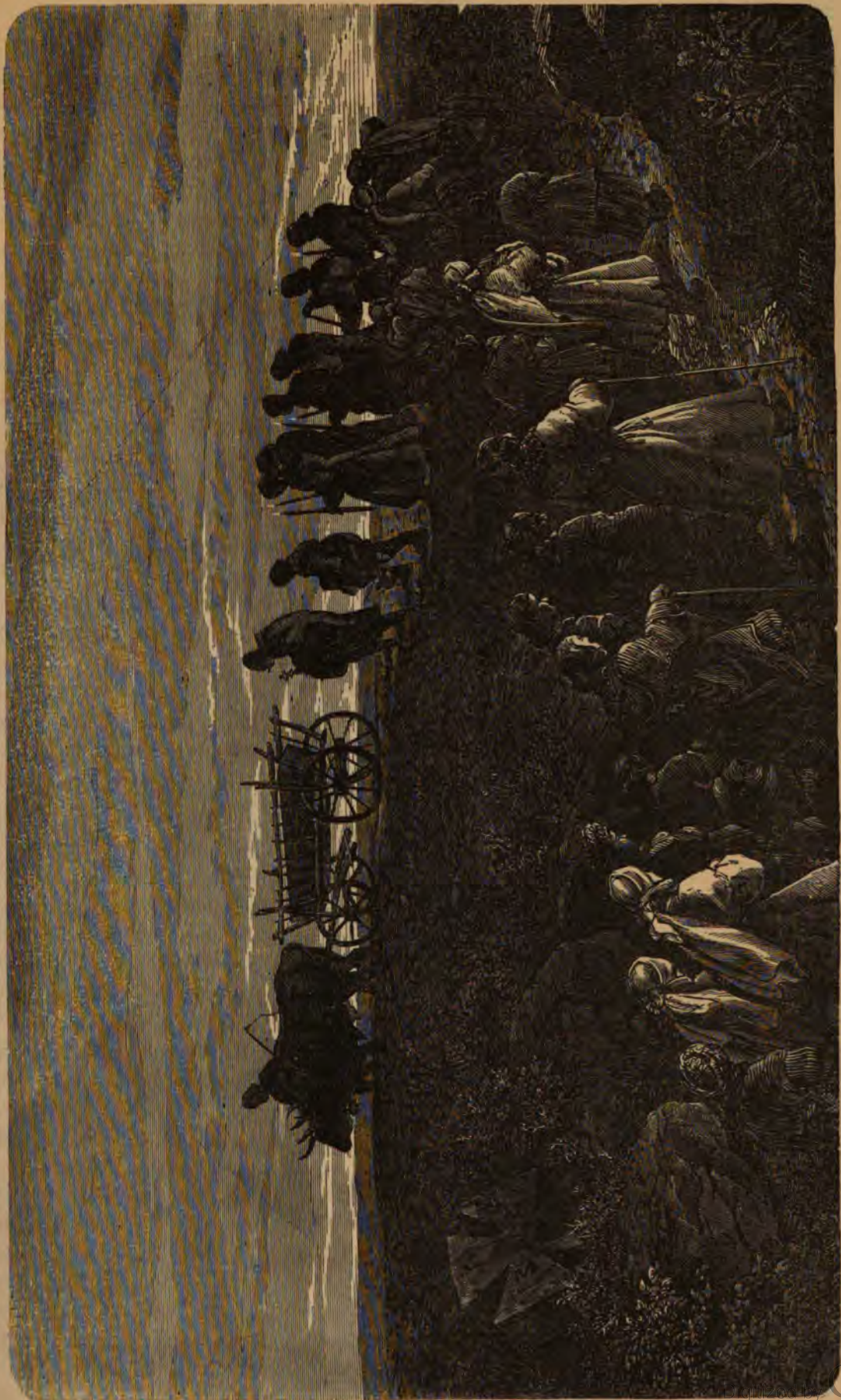
Gdy parobczak dochodzi lat dwudziestu, czeka nań dzień straszny, którego wygląda z przerażeniem, z dreszczem obawy. Jest to dzień który inny zupełnie kierunek nadaje jego życiu, przynajmniej na dłuższy lat przeciąg, dzień rekrutacji, w którym powołują go do uiszczenia się z obowiązku służby wojskowej. Szczęśliwy jeśli ma jaką wadę wrodzoną, czyniącą go niezdolnym do dźwigania karabina, lub jeśli mu się powiedzie uwolnić się przez usilne zabiegi. Majętniejszym udaje się to częściej, zwłaszcza niegdyś przy pomocy mandataryuszów, tak czułych na brzęk pieniędzy; ubożsi, oddani swemu losowi, muszą się z nim zgadzać. Mandataryuszowi, gdy zechciał, nie brakło sposobu uwolnienia tych, którzy mu się okupili. Wedle przepisów krajowych syn najstarszy, ożeniony, osiadły na gospodarstwie, mający starych i zniedołężniałych rodziców, wolen jest od obowiązku rekruta. Ztąd chłopci zamożniejsi starali się jaknajwcześniej zenić swych synów i zdawać im swe gospodarstwa. O poświadczenie zniedołężnienia i zgrzybiałości dla nich samych, łatwo już było wystarać się u mandataryusza, za dobrem z nim porozumieniem. Ten i temu podobne przepisy, albo też jaka usilnie wyszukana wada w organizmie stawającego do rekrutacji parobka, uwalniały go od wojska, gdy się opłacił mandataryuszowi.

Za to smutek ogarnia rodzinę, gdy wszelkie starania okażą się próżnemi, gdy w protokół assesterunkowy zapiszą *gut*, a nowozaciężnemu ostrzygą włosy i każą złożyć przysięgę. Smutek jednak nie trwa długo, przynajmniej ze strony samegoż rekruta. Serce zaboli, łyż się w oczach zakręca, lecz skoro nań biały włożą kabat i niebieską holcmycę, jakby inny, odrodzony występuje człowiek: — wypije wódki na kuraż, staje się swobodnym i opuszcza go myśl o domu, o rodzinie, o biędach i zatrudnieniach gospodarskich. Natomiast zdaje mu się że stał się czémś wyższém w społeczeństwie, wyższém nawet od dawnych swych przełożonych. Z potulnego i pokornego parobczaka, robi się butny wojak, co o nic nie dba; stan chłopski wydaje mu się czémś nadzwyczaj pośledniem, patrzy nań z pogardą, omal własnej nie wstydząc się rodziny, a gdy po kilku leciech służby wraca za urlopem do domu, trzeba go wówczas widzieć z jaką miną radby burmistrzować we wsi, jak z góry patrzy i wszystkiém pomiata z lekceważeniem. Ojciec i matka muszą mu posługiwać i dogadzać w chacie; każdego surdutowca uważa już z urzędu za coś od siebie niższego. Języka własnego wstydzi się, bo to niskie i chłopskie. W najdziwniejszy więc sposób kalęczy go z niemiecka, mieszając co chwila najdziwniej poprzekręcane wyrazy, zasłyszane po różnych stronach w wojackiej włóczędze. Był w *Intalii*, na *Wuhrach*, w *Simbirku*, jeździł na *ajrybanach*, jakże nie miał nabrać o sobie wysokiego wyobrażenia i nie stać się piérwszym zawadyką we wsi? Uczuwszy się naraz wyswobodzonym z pod karności wojskowej, daje folgę wszystkim hajdamackim pociągom, odzwyczajony od pracy rolniczej, pomiata nią i wstydzi się gospodarki. Urlopnik taki bywa pobudką wszystkich we wsi burd i bijatyk, a zwierzchność miejscowa niemało ma kłopotów z tymi nie-

sfornymi do wsi przybyszami. Dłuższego przeciągu czasu potrzeba, ażeby taki uwolniony od wojska urlopnik pozbył się zwolna niesfornej buty. Dopiero gdy dostanie zupełną z wojska odstawkę, po wysłaniu lat kapitulacyi, gdy zedrze przyniesiony z sobą wojskowy mundur, a z nim razem i pamiątkę minionych czasów, gdy przywdzieje znów raz na zawsze sierak i długie, zwyczajem wszystkich, zapuści włosy, gdy potrzebą zmuszony zaprzątnie się już całkiem pracą około roli, gdy osiadzie na własnym gospodarstwie i gdy się ożeni, wówczas dopiero zmienia się znowu do niepoznania i staje się tém, czém byli jego ojcowie, dziadowie, czém są bracia i sąsiedzi.

Stanowczą tę zmianę najczęściej przynosi ożenienie. Wogóle włościanie żenią się wcześniej. Ożenienie uważają za podstawę dobrego mienia, zagospodarowania. W gospodarstwie żonka jest uważana za rzecz niezbędną, bez której się gospodarz obejść nie może. Uczucia nie wchodzi w żadną rachubę przy zawieraniu związków małżeńskich; drzemią one jeszcze w piersi ludu, przytłumione troską, lub omroczone innymi pociągami i nie dopominają się o swe prawa. Chłop żeni się, gdyż, jak sam powiada, potrzeba mu żony w gospodarstwie. W jesieni, gdy przyjdzie pora zawierania małżeństw, a uznał za potrzebne ożenić się w tym roku, młody posyła swaty z wódką od chaty do chaty, gdzie się znajdują dziewczki na wydaniu. Gdy w jednej chacie otrzymają odmowną odpowiedź, idą do drugiej i trzeciej, itd., dopóki nie trafią tam, gdzie przyniesioną przez nich wódkę wypiją, co znaczy że się zgadzają i przyjmują oświadczenie. Tym sposobem swaty obejdą jednego wieczora czasem kilka i kilkanaście chat, byle nie wrócili z niczém do pana młodego, który potrzebuje żony, lecz obojętnie czeka, którą mu wysłane swaty przyniosą. Na drugi dzień zaraz daje się na zapowiedzi, a we trzy tygodnie ślub i cały uczuciowy zachód skończony. Raz przyjęta i wypita wódka z rąk swatów, obowiązuje już koniecznie do zawarcia małżeństwa; któraby strona uchylić się chciała, musi przeciwniej zwrócić koszta poniesione na dziewosłęby, zapowiedzi i t. p. Zdarza się przeto że pomimo największej niechęci, gdy rzecz raz zagajona, z powodu niemożności zwrotu kilku reńskich, przychodzi do skutku małżeństwo. Tak zawierają się u ludu naszego związki dozgonne. Chłopca żenią częstokroć rodzice szesnastoletnim wyrostkiem, aby go uwolnić od służby wojskowej, przepisawszy grunt na niego, jako na właściciela. Wdowiec, chociażby najlepiej żył z żoną, żeni się najczęściej w kilka tygodni po jej śmierci, przeczekawszy zaledwo ściśle przepisami kościelnymi oznaczony czas, w którym w nowe niewolno wchodzić śluby. Gospodarstwo włościańskie nie może się obejść bez kobiety, dzieci pozostałe potrzebują dozoru, po kilku tygodniach jest więc nowa żona, nowa gospodyni w chacie.

Z tego tak bezuczuciowego zawierania związków, nie wynika jednak aby pożycie małżeńskie bywało złe. I owszem, brak uczuciowych zachcianek czyni je daleko prostszém i łatwiejszém, umniejsza wiele przykrości, jakich doznają oświeczone klasy społeczne, których życie z uczuciowych wysnuwa się pobudek. Lud tutejszy w ogóle jest wielce moralnym. Zajęty troską o chleb powszedni, nie jest ani romansowym, ani rozpustnym, nie zna niewierności małżeńskiej, a zazdrość i podejrzliwość nie mają do niego przystępu, chyba wyjątkowo. Gdy umrze dziecię rodzicom, westchną, zaturbują się że przybył koszt pogrzebu, zapiją smutek, a potem wyglądają czy Bóg nie da rychło drugiego, coby zastąpiło ubytek w chacie i było do pomocy przy gospodarstwie. Jedno tylko sprawia poróżnienie w pożyciu... jeżeli mąż nigdy nie bije żony. Znane przysłowie: *Kto się kocha, ten się kłóci*, zmienia się u ludu w aksyomat: *Mąż nie kocha żony, jeżeli jej nie bije*. Żona widzi w tém zupełną obojętność ku sobie ze strony mężowskiej, że go nic nie obchodzi to co ona robi, słowem że jej wcale nie kocha. A zatem gdy przynajmniej co kilka tygodni, wróciwszy z karczmy podchmielony, dobrze jej nie wybije, uczuwa do niego żal potajemny, sądząc się oczywiście zaniedbaną. Takie tedy peryodyczne burze oczyszczają zamglony widok domowego pożycia i przywracają dawną pogodę. I znów cichym i jednostajnym prądem płynie dalej ów żywot przywiązany do roli, przyciśniony troskami o chleb powszedni, nie występując z poza ciasnego



Pogrzeb wiejski.

kółka drobnych zajęć i drobnych uciech; aż przyjdzie starość, zgrzybiałość nie lat późnych, lecz przyspieszona pracą nad siły, niewygodami życia i nałogami, starość niemocy i sił zużytych, i zbliży się ta ostatnia choroba, co każe opuścić już chatę nazawsze, rozstać się ze wszystkiem na ziemi. I wówczas to życie trosk i cierpień ostatnim bolesnym kończy się obrzędem. Zwyczaj nakazuje konającemu pożegnać się ze wszystkimi, z którymi żył tu na ziemi. Toż nie zamykają się wówczas prawie drzwi chaty. Cisną się tłumem kumowie i kumy, sąsiedzi i sąsiadki, zgoła wieś cała, a stając nad łożem konającego, żegnają się z nim trzykrotnem głową skinieniem. Konający, dopóki ze wszystkiem nie straci sił i przytomności, musi dopełniać zwyczajowego pożegnań obrzędu i każdemu nawzajem odskinać głowę. I tak aż do ostatka, dopóki nie opadnie z bezwładną głową i ręka z gromnicą i święconym wiankiem i po raz ostatni nie zawrą się oczy. Wówczas wyscielają ławę przy ścianie białem prześcieradłem i na nią, wśród głośniego szlochania, składają umarłego. Dwie świece zapalają u głowy. To cały przybór śmierci. Dwie deski wystarczają na trumnę poprostu zbitą, bez malowideł i ozdób, najczęściej nawet nie oheblowaną. Naza jutrz po śmierci składają trumnę na wóz i wiozą przed cerkiew, gdzie ją ksiądz skrapia święconą wodą; poczem odwożą ją na cmentarz, bez żadnych więcj obrzędów. Mało któremu pogrzebowi towarzyszy ksiądz z processją i bractwem aż na cmentarz, bo to pociąga za sobą koszt, którego wielkość zależy od dobrowolnej z księdzem umowy i tylko majątniejsi gospodarze ponieść go mogą. Za trumną idą żona, córki i krewne, głośnie płacząc i pożegnaniem: Ach! pocóżes nas porzucił, lub porzuciła? Cóż ja teraz siérotka pocznę bez ciebie, ojczy lub matko, bracie lub siostry, zuzulo, ptaszku mój, gołąbku? i t. p. Zwyczaj głośnie wyrażania żalu przy pogrzebach, jest jeszcze zabytkiem korowodu dawnych płaczek, z tą różnicą, że co tam bywało płatne i udane, tutaj serdecznym bólem rwie się samo z piersi. Po pogrzebie następuje stypa i wódka zagusza na razie smutek i ból serca. Dalej przychodzą znów troski codzienne. Gospodarz, pozostawszy sam jeden w chacie z dziećmi i nawałem kłopotów, żeni się wkrótce z inną, wdowa wychodzi za mąż. Praca za pracą, troska goni za troską; koszta pogrzebu i stypy powiększyły jeszcze dług w karczmie, przymnożyły ciężaru i biédy. Śród trosk codziennych blednie żałoba, zaciéra się prędko pamięć po zmarłym. Przypomina go jeszcze czas jakiś mały, zaledwie nad ziemią wyniesiony krzyżyk drewniany; ale po latach kilku i grób się zapadnie, zrówna z ziemią i trawą zarośnie, krzyżyk spruchnieje, a z nim razem zaginie i ostatnie wspomnienie po nieboszczyku.

ROZDZIAŁ IV.

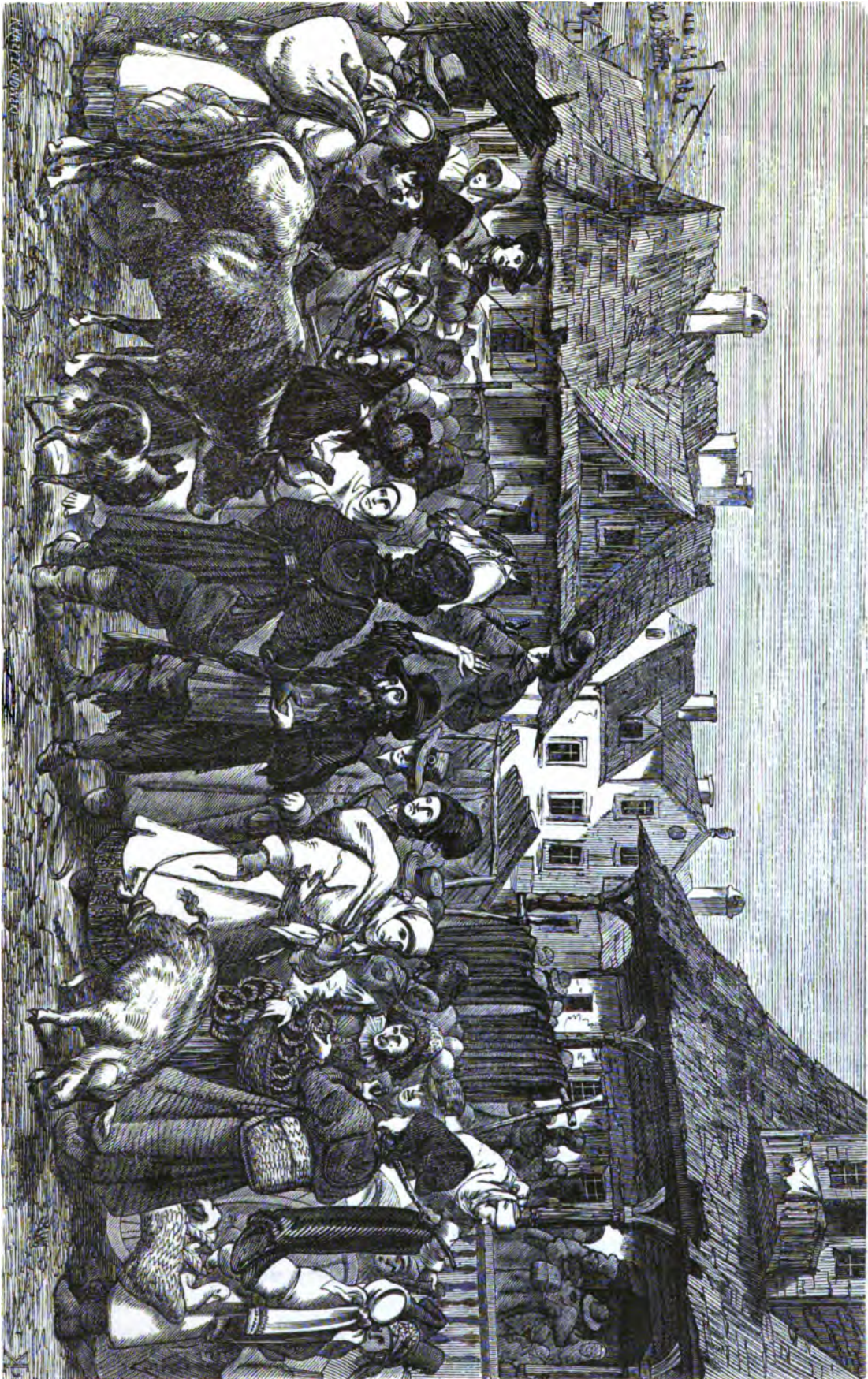
Jarmarki. Pijaństwo. Prażnik. Poprażeń. Pominki. Wigilia Bożego Narodzenia. Święty wieczór. Kutia. Kolendowanie. Próba szczęścia. Palenie Diducha. Nowy Rok. Sianie. Wigilia Trzech Króli. Jordan. Zimne zapusty. Płukanie zębów. Kwietnia niedziela. Wielkanoc. Kraszanki. Rosbijanie dzwonów. Hailka. Oblewany poniedziałek. Zielone święta. Dészcz narwany. Piérwsza siéjba. Żniwa. Potrzeba ochronek po wsiach. Tłoka. Jesień. Wieczornice. Wigilia Św. Jędrzeja. Wesele.

Dla uzupełnienia tego obrazu obyczajowego, jakiśmy czytelnikom w poprzedzających podali rozdziałach, wypada nam jeszcze obeznać się pokrótce z niektórymi więcj uroczystymi w życiu wieśniaka chwilami, które wpływają na urobienie charakteru i uobyczajenie jego, i przypatrzeć się pewnym obrzędom miejscowym, które zwyczaj uświęcił, a których w ciągu powyższego opowiadania opisać nie mieliśmy sposobności.

Poznawszy wieśniaka ruskiego w jego życiu domowém, na własném obejściu, przy gospodarstwie i w polu przy pracy, albo téż w kółku towarzyskiem w karczmie, poznać go jeszcze potrzeba w jego,

ze tak powiem, życiu publiczném, na jarmarku. W życiu publiczném, mówię, bo jarmark dla wieśniaka tutejszego jest dotąd jedyném miejscem, gdzie zbiera się gromadnie, publicznie, gdzie dowiaduje się rzeczy ogół obchodzących, gdzie urabiają się jego wyobrażenia i pojęcia, upowszechniają pewne zdania i pewnego nabierają kierunku w gromadném zetknięciu. To téż każdy jarmark ma niewysłowioną ponętę dla ruskiego wieśniaka. Przygnieciony domowymi kłopoty, tam on swobodniejszém oddycha powietrzem, próżniaczy, słowem rozkoszuje. Zarazem jestto jedyna sposobność zaopatrzenia się w niezbędne drobne potrzeby domowe, których tylko w mieście dostanie. Gospodarz zakupuje tam z wiosną kosę, lemiesz i wszystko to, czego uprawa roli wymaga; pod zimę zaś buty, kozuch i t. p. Gospodyni kupuje tam sól topkami, rzeszota, niecki i inne sprzęty drewniane, w domowém gospodarstwie potrzebne, szkło do naprawiania szyb stłuczonych w chacie, obrazy Świętych do jęj przyozdobienia i t. d. W te to drobiazgi zaopatrują jarmarki chatę wieśniaczą, a oprócz tego jest to jedyna sposobność spieniężenia jakiej miarki zboża, w czasie zbliżającego się terminu opłaty podatku, kupna, zamiany lub sprzedaży konia, krowy itp. Pomimo to wszakże jarmark ma jeszcze dla wieśniaka powab nie dający się wytłumaczyć potrzebą — powab, jak powiedziałem, próżniaczego urozmaicania życia. Zwłaszcza gospodarze-właściciele gruntów, którzy nie są zmuszeni sami oddawać się pracy, bo wyręczają ich synowie dorośli lub najmcy, nie opuszczają żadnego w okolicy targu ni jarmarku. Ponieważ zaś każdy taki jarmark, sprowadzając do miasteczka wielką liczbę ludzi ze wsi okolicznych, znaczne propinacyi miejscowej zyski przynosi, przeto każdy właściciel miasteczka stara się zwykle o przywilej, oprócz dorocznych jarmarków, na targi tygodniowe, tak iż nie ma prawie miasteczka, w którémby w pewnym dniu nie było targu tygodniowego. Jest tak urządzone, że w każdym z miasteczek w okolicy targ w innym dniu się odbywa, a prawdziwi lubownicy wałęsania się jarmarcznego od niedzieli do niedzieli, zamiłowaniu swemu w tym względzie zadość uczynić mogą. I tak się téż dzieje rzeczywiście; bo z wyjątkiem gorącej, jak to mówią, pory żniw, nie brak nigdy targom tygodniowym gromadnego zbiorowiska włościan z okolicy, o parę mil nawet. W dzień targowy już od świtu w lecie, a szarym przededniem w zimie, ciągną z całej okolicy wszystkimi promieniami dróg wozy lub sanie z jarmarcznymi gośćmi. Z wozów wyzieraają worki ze zbożem na targ wiezioném, przedziwo w powismach, motki, płótna; częstokroć kwiczy rozpaczliwie w worku zawiązany prosiak, lub ze związanymi nogami rozciągnięte na furze ciele, na sprzedaż wiezione. Na wozie siedzi gospodyni świętecznie ubrana, pilnując dobytku; gospodarz sam powozi. Młodzież, jeżeli, mając wolniejszy czas od pracy, może sobie także dogodzić w chętnie odwiedzenia jarmarku, rusza pieszo, w ochoczej gawędzie o wesołych kolejach dnia jarmarcznego, z kobiałkami na plecach, z których wyzieraają gęsi, kury, przedziwo i tym podobne płody gospodarstwa domowego na sprzedaż. Bokiem drogi prowadzą krowy, owce, bezrogi, lub ciągną jezdni, na koniach przeznaczonych również na sprzedaż. Wszystko porusza się w porządku, cicho a śpiesznie, i w ożywionej gawędzie wszystkimi sieciami dróg wylewa się na targowicę miasteczka. Nie obeszło się wprawdzie bez zatrzymania się bodaj na chwilę przy każdej karczemce przydrożnej — ale krótko, bo każdemu pilno na targ.

Tu rzędami przekupnie Żydzi rozłożyli swe kramy z rozmaitemi towarami. Na małych stoliczkach porozkładane świecące do kobiecego stroju rzeczy, pierścionki, paciorki szklane i prawdziwe korale — porozwieszane różnobarwne wstążki czerwone, niebieskie i zielone, dalej piramidy kos, sierpów i żelaztwa gospodarskiego, stopy garnków i naczyń drewnianych, skór wyprawnych, kuśnierze kupami nawieźli kozuchów, szewcy na sznurach porozwieszali buty na okaz. Popod ścianami domostw rozłożone obrazy w ramach i bez ram, złożone, pstre. Środek targowicy przepełniony wozami, a pomiędzy tém wszystkiém snują się, jak nabił, gromady ludzi, przez które przecisnąć się trudno, i nigdzie tak, jak tutaj razem zgromadzony w całej swój różnobarwności i charakterystyce, nie przedstawia się świat wieśniaczy. Z początku rankiem wszystko idzie jeszcze cicho, spokojnie; każdy przybywszy na targ rozpatruje jak rzeczy



Jarmark.

stoją, jaki będzie jarmark, jakie ceny, cały zajęty tém, zaczęm właściwie przybył na jarmark: wyszukaniem najdogodniejszych przedmiotów dla siebie do zakupienia, lub najlepszego kupca na to co przywiózł do zbycia. Spotykają się znajomi ze wsi sąsiednich i rozpytują o to, co ich najbardziej obchodzi. Wszelako im później w dzień, im ściżej napełniły się moszanki i więcej pieniędzy zaczyna być w obiegu, tém bardziej ożywia się scena i jarmark poczyna być hałaśny, wesoły, swarny. Na targowicy bydłocój i końskiej najgłośniejsze odbywają się targi. Wiadomo że Rusin uparty; otóż i w targu uparty, zwłaszcza gdy przy ciężkiej nieraz biędzie w domu grosz by najmniejszy wiele znaczy. To téż o złotówkę, półzłotka, o parę groszy czasem, zawzięcie obie upierają się strony. Targ ten długi a głośny, po wypitych zwłaszcza już kilku kieliszkach wódki, coraz bardziej rozgrzewa umysły — czerwienią się twarze, wysokie baranie czapki coraz to więcej przechylają się na bakier, a przy każdej podanej nanowo lub zmienionej cenie, biją się kupiec z nabywcą w dłonie na zachętę, na znak niby to szerszego porozumienia się w targu, coraz to silniej i z większą zaciętością, tak iż omal nie puchną dłonie, a im zawziętsze razy, tém ma to być oznaką większej serdeczności i rzetelności w obliczaniu cen podawanych. Wreszcie gdy po półdniowym targu przyszło już kupno do skutku, obie strony umęczone, jakby po istotnej bitce, śpieszą na *mohorycz*. Każde kupno kończy się tedy upiciem. Ilość mohoryczu wymawia się przy cenie kupna i jest w nią wliczona; bez niego żadne nie może się obejść kupno. Na mohorycz zapraszają się oczywiście znajomi i kumowie, którzy się przypadkiem znajdują w pobliżu. Ci znowu z obowiązku wzajemności odwetowują ten traktament równą ilością wódki, a gdy tak idzie stopniowo, ku wieczorowi, gdy już każdy się ułatwił ze swemi interesami i rozpoczęły się mohorycze, niéma nikogo coby nie był, mniej więcej, podchmielony. Smutno to wyznać, lecz pijaństwo, ta główna dotąd wada ruskiego wieśniaka, z której wszystkie inne jego grzechy pochodzą, z której idzie zniszczenie zdrowia i bytu jego, nigdzie tak jawnie nie występuje, jak na owych tygodniowych jarmarkach i targach, gdzie je w całej odrazie widzieć można.

Pod wieczór wreszcie, gdy już ostateczny czas wracać do domu, żony trzeźwiejsze odciągają mężów od dalszej pijatyki i zniewalają do odjazdu. Nielatwo to się udaje. Trudno rozstać się z kumami, z kieliszkiem, z dniem tak rozkosznie-próżniaczko spędzonym. Lecz i kobiety nie są wolne od nałogu. Widać je, zwłaszcza starsze, równie oszołomiane trunkiem i zataczające się, a widok ten jeszcze więcej sprawia odrazy i obrzydzenia. Lecz noc zapada wreszcie i podobnie jak rankiem znowu wszystkiemi drogami rozlewa się z miasteczka ten potop ludzi, wozów, jezdnych i pieszych na wszystkie strony. Lecz jakże inna ich powierzchowność. Gdy rankiem wszystko dążyło w ciszy i porządku, teraz wraca podpite, z hałasem, śpiewami i pijackimi wykrzykami; kto miał jeszcze dosyć siły, ten zatoczył się do wozu i popędza konie, chociaż sam często nie dojrzy dobrze drogi, mającąc przed zablachmanionym od trunku wzrokiem; innego ułożono na wóz, na którym bez przytomności spoczywa po trudach i rozkoszach dnia, a żona, trzeźwiejsza od męża, popędza konie. Gdy rankiem jeszcze, zdybawszy się, ustępowano ci z drogi i oddawano grzecznie ukłon zdjęciem czapki, teraz przyjdzie ci co chwila z największą trudnością wymijać butnie środek drogi zastępujące szeregi wozów i znosić jeszcze co krok pijackie obelgi. Na wozach sterczą kupione na ozdobienie chaty obrazy Świętych, sterczą czasami pstro umalowana skrzyżnia, rzeszota, garnki i t. p. A wszystkie wozy zatrzymują się znowu, bodaj na chwilę, koło każdej karczemki przydrożnej, gdzie właściciele ich dolewają do głów rozmarzonych. Taki to wpływ wywierają na uobyczajenie wieśniaka częste tygodniowe targi miasteczkowe. Umyslnie rozwiódłem się nieco dłużej o nich, bo w nich leży jeden z głównych żywiołów zepsucia ludu wiejskiego. I czegoż potrzeba ażeby usunąć w zarodzie złe zakorzenione, ażeby wylczyć je gruntownie? Czy mniej jarmarków? Zapewne — ale więcej jeszcze i przede wszystkim oświaty — oświaty wiodącej do zasmakowania w innych, szlachetniejszych przyjemnościach życia.

Podobnie jak po miasteczkach jarmarki, tak po wsiach sposobność do liczniejszych zgromadzeń ludności okolicznej, podaje więcej już cechę religijną mająca uroczystość praznika. *Prażnik* czyli odpust, jestto święto patrona cerkwi miejscowej, obchodzone zwykle w rocznicę jej wystawienia czyli poświęcenia. Prażnik obchodzi się zawsze u ruskiego wieśniaka z wielką uroczystością. W dzień ten śpieszą ze wsi okolicznych kumowie, krewni, znajomi w gościnę do mieszkańców wsi, w której przypada prażnik. Dzień ten ma na sobie cechę zupełnie świąteczną. Widać to na pierwsze wejrzenie. Żadnej w dzień ten niema roboty. Ranek poczyna się od bardzo uroczystego nabożeństwa w cerkwi, które przeciąga się zwykle aż do drugiej godziny z południa. Potem rozchodzą się do domu z gośćmi, lub zbierają na tańce w karczynie. Rozpoczyna się zabawa, wesołość i nieodstępna niestety pijatyka. Dla należytego przyjęcia i ura-



Powrót z jarmarku.

czenia gości, postarano się o wszystko, z czego przyjęcie w chacie wieśniaczej się składa, mianowicie o świeże pieczywo, mięswo wieprzowe, o drób tłusty, w miarę jak na co stać, przy większej lub mniejszej zamożności gospodarstwa, przedewszystkiem zaś o wódkę, czy to pod własną nazwą, czy pod postacią fałszowanego wiszniaku, miodu, araku, bez czego czy to w bogatej, czy w ubogiej nie może się obejść chacie. Gospodyni od dni kilku zajęta była wybielaniem chaty i budynków, wylepianiem przyźb i tym podobnemi, wiele zajęcia dającymi przygotowaniami, aby w obec gości przedstawić się schludnie i pozyskać zaszczytną sławę porządną gospodyni. Ztąd też poszło przysłowie często używane: „Trzy dni przygotowania, a dzień prazniku.“ Ażeby wszakże powetować tę krótkość czasu, przedłużają ohotnie zabawę jeszcze i przez cały dzień wtóry, co nazywa się *poprażeń*. W dzień ten niema jeszcze żadnej roboty we wsi — pijatyka przeciąga się.

Do uroczystości religijnych należą w każdej rodzinie odprawiane rokrocznie w pewne dni, najczęściej po zbiórce i ukończeniu prac w polu jesienią, lub z wiosny po siejbie, nabożeństwa za dusze zmarłych

w rodzinie, zwane *pominkami*. Pominki sprawia każdy gospodarz raz do roku i zaprasza na nie krewnych i bliższych przyjaciół, kumów. Po długim nabożeństwie żałobnym w cerkwi, zbierają się wszyscy u gospodarza, a zwykle i ksiądz zapraszany być musi. Dla księdza pierwsze miejsce przeznaczone za stołem — przygotowany drób tak starannie tuczony, że niemal pływa w tłustości, słowem najprzedniejsze kaski, które w braku widelców, niepotrzebnych dla wieśniaka, rzadko kiedy jadającego mięso, rozrywają się z arkadyjską prostotą palcami. Podczas gdy wszyscy raczą się wódką, przed *dobrodziejem* zastawiają umyślnie dla niego sprowadzone wino, częstokroć smak octu przypominające. Dopóki ksiądz pozostaje w chacie i dzieli ucztę, póty odbywa się ona z przyzwoitością i powagą, a wszyscy okazują dlań największe oznaki uszanowania, pozostawiając mu pierwszeństwo i słuchając z uszanowaniem słów jego.

Święta, mianowicie Bożego Narodzenia i Wielkiénocy, stanowią w życiu wieśniaczem najważniejszą w roku epokę; obchodzone są też zawsze bardzo uroczyście. W wigilię Bożego Narodzenia kmięć ruski zachowuje przez cały dzień post jak najściślejszy i wieczorem dopiero, z ukazaniem się pierwszej gwiazdy na niebie, zebrana rodzina i czeladź zasiada do spożycia wieczerzy. Nazywa się to *święty wieczór*. Do chaty wnoszą snopy zboża i ustawiają po kątach, aby obfite w roku następnym były żniwa; słomą zasłaniają całą izbę, a siano pod stół, okryty u zamożniejszych gospodarzy grubym zgrzebnym obrusem do wieczerzy. Wieczereę zastawia gospodyni w miskach, przyrządzoną postnie z olejem. Jakkajsurowsze przestrzeganie postów przepisanych uważa wieśniak ruski za kardynalny warunek pobożności i jeden z pierwszych obowiązków religijnych. Wieczera składa się z barszczu postnego z olejem, pięrogów z kapustą na oleju i kaszy owijanej w liście kapuściane pod nazwą *gołąbków*. O rybie mowy niema. Rzadko i przy wielkiej zamożności tylko pojawi się kilka płotek lub okóńków, ugotowanych jako specyał do barszczu. Właściwą wszakże w święty wieczór potrawą jest *kutia*. Jest to pszenica zmiękła i napęczniała przez długie gotowanie, wymieszana z makiem i miodem. Już sam sposób przyrządzania kuti zdaje się wskazywać jęj starożytnie z przedcywilizacyjnych czasów pochodzenie, gdy jeszcze nie znano młynów, ni żarn, a garść ziarna i maku, osłodzona miodem z leśnej barci wydartym, świąteczny stanowiła przysmak. Cokolwiekbądź, kutia jest niezbędną na wigilię Bożego Narodzenia potrawą. Gospodarz, wzięwszy jęj pełną łyżkę przy wieczerzy, nim sam skosztuje, rzuca ją w górę o strop, mniemając że tém zapewnia sobie powodzenie pasieki w roku następnym, a ile ziarn pszenicy, nie przylepiwszy się do stropu, upadnie napowrót na dłoń otworzoną, tyle rojów ma spodziewać się w roku przyszłym. Część wieczerzy posyłają sobie wzajemnie krewni i kumowie z życzeniami, zapraszając do jęj spożycia. Jest to grzeczność, o której zachowaniu bardzo pamiętają.

Po wieczerzy rozpoczyna się po wsi *kolędownie*. Kolędownic idzie bractwo cerkiewne do dworu, do księdza i znakomitszych gospodarzy. Zbierają się oprócz tego rozmaite grona kolędników starszych i młodszych i przeciągają po wsi, od znajomych do znajomych, wszędzie gościnnie przyjmowani i datkiem obdarzani.

Zwyczaj kolędownia zdaje się pierwotne swe pochodzenie z pogańskich jeszcze wywodzić czasów. Według świadectwa latopisów ruskich, była w Kijowie świątynia *Kolady*, bóstwa pokoju. Ostatnie dni grudnia w końcu roku poświęcone były czci tegoż bóstwa. Wówczas to wyprawiano gody i tańce, — odwiedzano się wzajemnie, nieprzyjaciele zapominali uraz, niesiono sobie podarki, a gościnnosc chatę Słowianina dla wszystkich przychodzących z życzeniami i wesołością na oścież otwierała. Chrześcianaństwo nie zatarło dawnego obyczaju, lecz zlać się z nim i upodobnić usiłowało. Tym to sposobem, na gruncie dawnego zaszczeplone obyczaju, łączniej się ono przyjmowało i silniej zakorzeniało; zwolennik nowej wiary nie zrywał całkowicie z przeszłością, lecz drogie mu zdawna pamiętki uświęcał obrzędami nowej religii. Uszlachetnione w ten sposób, pozostawały one mu i nadal miłe w nowym swém przeobrażeniu. Toż samo stało się i z obchodem święta *Kolady*. Runął w Kijowie chram pogańskiego bóstwa, lecz pozostał dawny

obyczaj na Rusi. Tańce i uciechę zastąpił śpiew pobożnej kantyczki, a życzenia gościnne, przyjęcie i datki pozostały jak dawniej w zwyczaju. Kolędowanie powtarza się przez wszystkie dni świąt Bożego Narodzenia, a nawet i dłużej, aż do Nowego Roku. Najgorliwszymi kolędnikami są oczywiście małe chłopaki, które z wielką uciechą, przebiegając po całej wsi, przeciągają swe śpiewy kolędnicze przez całe noce do brzasku dnia.

Złodzieje idą znowu w wigilią Bożego Narodzenia po wieczerzy, jak mówią, *szczęścia próbować* po swojemu, to jest kraść, a komu się powiedzie bodaj drobnostkę zręcznie ukraść téj nocy, ma to być wróżbą powodzenia w tym zawodzie przez rok cały. To téż gospodarze czujniejsi są téj nocy, niż zwykle, by się ustrzedz od szkody.

Słomę, którą zaścielona była izba podczas wieczerzy w dzień wigilii Bożego Narodzenia, jest zwyczaj palić w drugi dzień świąt, o świcie przed wschodem słońca, w sadzie, tam gdzie znajdują się sady. Gospodarz podczas tego wychwytuje z płomienia palącą się słomę i obwija nią szczepy i drzewa owocowe, pośpieszając tak, żeby nim słoma zgorzeje, mógł wszystkie swe drzewa nią owinać. Ma to szczególnie chronić drzewa owocowe w ciągu zimy i przyczyniać się do ich urodzajności. Wspaniały przedstawiają zdaleka widok te ognie, gdy po całej wsi naraz ukażą się przed wschodem słońca w nocy. Nazywa to się *paleniem dźwadów*, czyli po rusku *diducha*.

Jak kolędy w święta Bożego Narodzenia, tak składanie życzeń w dzień Nowego Roku, połączone z tak zwanym *sianiem*, to jest obsypywaniem tego któremu się życzy zbożem, jest powszechnie przyjętym zwyczajem. I tutaj najgorliwszą w spełnianiu przyjętego obyczaju noworocznego jest młodzież. Od świtu zbierają się rankiem grona chłopców i biegają, poczawszy od dworu i probostwa, od chaty do chaty, trzymając garść ziarna w dłoni, a gdzie przyjdą, *sieją* zbożem po izbie, powtarzając zawsze jedną, przyjętą formułkę noworocznych życzeń. Liczna rodzina jest w patryarchalnem pojęciu Słowianina szczęściem dla chaty, błogosławieństwem widomym Boga; pojęcie to wyraża się téż w owéj formułce życzeń noworocznych, w której zarówno obfitości żniwa, jak i liczne życzą potomstwa. Życzący rzucają ziarnem po izbie, mówiąc:

Siej sia,
Rody sia
Żyto, pszenycia,
Za piecom dity kopycia.

Obieganie to z życzeniami po wsi jest dla chłopców wesołą rozrywką, a zarazem korzyść przynosi, odwiedzając bowiem życzenia, obdarzają ich wszędzie chlebem, jadłem, a u zamożniejszych gospodarzy czasem i groszem jakim.

Wigilią święta Trzech Króli, czyli *Jordanu*, obchodzą również uroczyście i w ten sam sposób jak wigilią Bożego Narodzenia. Poszczą dzień cały, a wieczorem zasiadają do *wieczery świętej*. I znowu znajomi i kumowie rozsyłają sobie wzajemnie, na znak dobrych życzeń i serdeczności, część téj wieczerzy do spożycia.

Święto *Jordanu*, obrzęd święcenia wody w dzień Trzech Króli, obchodzi się z wielką uroczystością. W tym celu już od nocy wyrębana czeka ogromnej wielkości przerebel na stawie, a nad nią ustawiony misternie, z grubéj sztuki lodu wyciosany, wielki, z szerokimi ramionami krzyż grecki. Po uroczystéj mszy w cerkwi, wychodzi ksiądz w procesyi, otoczony bractwem niosącym świece i chorągwie ku pomienionéj przerebli, dla poświęcenia wody. Obrzęd święcenia trwa długo. Gdy ksiądz skończy i przerebel święconą wodą pokropi, wówczas wszyscy przytomni cisną się jedni przed drugimi, aby napić się téj poświęconéj wody. Kobiety nabiérają ją w konewki i dzbanki i niosą do domu na przechowanie. Woda bowiem poświęcona w święto Jordanu, ma rozmaite zbawienne własności: leczy choroby, niemoce i uży-

wana w wielu razach z doświadczonym skutkiem, przyczém idzie jój oczywiście w pomoc siła niezepsutego organizmu i wiara, która uzdrawia.

Po Jordanie zaczynają się zapusty, zwane *simmemi*, dla tego że w porze zimy przypadają, dla odróżnienia od kilku tygodni zwanych zapustnemi przed adwentem, w których zwykle odbywają się wesela. Kto nie mógł przywieść do skutku wówczas zamiaru swego wejścia w śluby małżeńskie, co najczęściej wynika z okoliczności piénieźnych, że nie było jeszcze za co wesela sprawić, ten, jeżeli przeskody usunięte, korzysta z innych zapust i szuka sobie teraz żony. Po Wielkiénocy już bowiem i w ciągu lata, w porze robót gospodarskich, niéma zwyczaju myśleć o weselach; byłoby to źle widziane, uważane za rodzaj próżniactwa, trafia się téż tylko wyjątkowo. W ciągu zapust co niedziela i święto, a nawet i w niektóre inne dni, wieczorem muzyka gra w karczmie, a młodzież schodzi się na tańce, starsi na pijatykę i pogadankę, i to znamionuje tę porę kilkotygodniowej wesołości. Zapusty trwają właściwie tylko do ostatniej przed popielcem niedzieli, bo post zaczyna się już na dwa dni przed popielcem, od poniedziałku. W poniedziałek i wtorek muzyki już ucichły i mięsa nie jedzą, tylko nabiał, weseląc się przy kieliszku, co się nazywa *plukaniem zębów*. Od popielca zaczyna się twardy post czterdziestodniowy, przestrzegany z największą surowością. Przez cały ten czas, nie mówiąc już o mięsiwie, które i tak rzadko kiedy bywa gościem w chacie, nie jedzą nawet nabiału, poprzestając na oleju, do czego jeszcze zwykle i suszą kilka dni w tygodni. Surowe te posty sprowadzają na wielu, jak już wspominałem, *kursą ślepotę*, z wycieńczenia i głodu, która to słabość w téj porze często się przytrafia. Niektórzy zarzekają się pić wódkę przez cały post, co téż największą jest ofiarą z ich strony.

Niedziw téż, że pora tak surowo przestrzeganego *wielkiego postu*, jest najsmutniejszym w życiu wieśniaka ustępem, zwłaszcza że już wszystkie dolegliwości przednówka i rozmaite niedostatki zaczynają dokuczać. Dlatego téż Wielkiénocy wyglądają wszyscy z upragnieniem, a *Kwietnia* niedziela, jako zapowiedź jój zbliżania się, jest pierwszą weselszą w tym smutnym okresie chwilą.

Już pierwszy promień wiosny ogrzewa ziemię i budzi krążenie soków organicznych w roślinnym świecie; puszcza wierzba i łoża, a w niedzielę Kwietnią, owiązawszy pęki dostających już pączki gałązek łożyny, śpieszy lud weselnie do cerkwi, dla poświęcenia tych tak zwanych *palm*. Po mszy z poświęconą już palmą wróciwszy do domu, biją się nią wzajemnie ze śmiechem i wesołością, zapowiadając sobie blizkie przyjście świąt wielkanocnych. Licząc uderzenia, powtarzają przytém przyjętą formułkę:

Raz, dwa, trzy . . .

Ne ja byju,

Łoza byje.

Za tydzień

Wetykdeń.

Po Kwietniej niedzieli następuje w wielkim tygodniu jeszcze surowszy post. Niektórzy suszą przez cały ten tydzień i oprócz kawałka chleba, i to po zachodzie słońca, nic w usta nie biorą. Cały téż ten tydzień, im bliżej Wielkiénocy, tém więcéj jest smutny, ponury. Lud śpieszy do spowiedzi, gospodynie zajęte przygotowaniem do świąt, bieleniem chaty, praniem bielizny i tym podobnemi przedświętnemi zajęciami domowemi. Od czwartku cichną dzwony, bo Chrystus w grobie leży, a pod cerkwią zebrana gromadka chłopców z drewnianemi młotkami, tłukąc co siły o ściany cerkwi, smutną tę wieść całemu siołu rozgłasza. Kołatanie to trwa aż do rezurekcyi, przez dwa dni od świtu do nocy, sprawia bowiem rozrywkę użytym do tego chłopcom. Dopiero rankiem w niedzielę wielkanocną uderzą poraz pierwszy napowrót dzwony i ogłoszą ludowi, wraz ze strzałami rezurekcyjnemi, (którymi zwykle diak lub ktoś z miejskich myśliwych, posiadający strzelbę, w téj okoliczności się popisuje), że Chrystus Pan powstał z grobu i że zaświtał weselny dla wszystkich brzask święta Wielkiénocy.

Toż wracając z rezurekcyi, witają się zdybujący wesołą wieścią słowami:

— Chrystos woskres.

— Woistyne woskres, odpowiada zagadniony.

Wozami i pieszo zwożą i znoszą w nieckach, ustawiając je w około cerkwi, przygotowane do poświęcenia jadlo. Cały podwórzec kościelny zastawiony rzędami niecek, na których wznoszą się piramidy jaj, otoczone zwojami kiełbas. Pomiędzy białymi jajami, przeglądają tu owdzie farbowane sino i czerwono, tak zwane *kraszanki*, za pomocą nalepu woskowego przed umaczeniem w farbę, ukraszone w rozmaite rysunkowe zygzaki, w których gdzieniegdzie przeglądają zaledwo poznać się dające ptaki, osoby, lub symbola rozmaite, wedle bujności twórczej fantazyi rysownika, mniej lub więcej udatne i wyraziste. Oba te przedmioty, mianowicie jaja i kiełbasy, stanowią główną i konieczną część święconego. Czasem też kończy się na tém u uboższych. U bogatszych, w miarę zamożności, przybywają rozmaite jeszcze dodatki, w mniejszych lub większych ilościach, jakoto: mięsiwo wieprzowe w różnych kształtach, prosię, sér, masło i t. p. Święcone ubiera gospodyni w barwinek i ozdobnie układa na nieckach, aby świadczyło o jej gospodarskiej staranności i rządności. Po mszy wychodzi ksiądz z cerkwi i odczytawszy modlitwę, postępując pomiędzy rzędami niecek, skrapia je święconą wodą. Po dokonaniu tego obrzędu wszyscy śpieszą do domów, by podzielić się jajkiem święconém i po czterdziestodniowym poście, po raz pierwszy mięsném nasycić się jadłem.

Po spożyciu święconego, wedle zwyczaju, śpieszy każdy do dzwonicy cerkiewnej, aby we wszystkie uderzyć dzwony, i to się zowie *rozbijaniem dawonów*. Rozbijają się też dzwony bezustannie dzień cały, aż do nieszporu. Z całej wsi zbiera się gromada na podwórzu cerkiewnym, czyli cmentarzu. Schodzą się tu starzy i młodzi, mężczyźni i kobiety, dzieci, parobcy i dziewczęta, słowem co żyje we wsi śpieszy pod cerkiew i uderzywszy każdy w dzwony, zaczynają spolem zabawę, złożoną z właściwego rodzaju tańca i śpiewu zwanego *haiłką*.

Nic weselszego, nic swobodniejszego w życiu wieśniaka, jak owa *haiłka*, w dniu w którym zapominają się wszelkie troski codziennego życia. Właśnie w téj porze budzi się już przyroda ze snu zimowego i powiew wiosny pierwszą wywołuje zieloność. Wiosnę czuć w powietrzu, w cieplejszym promieniu słonecznym, widać w zieleniejącej murawie i pierś swobodniej oddycha, oko weselój spogląda, a wszystko to usposabia do wesołości i zabawy. Wszyscy świętecznie ubrani: dziewczęta z pękami wstążek wiejących na głowie, otoczonych, jakby wieńcami, bujnie natkanym liściem złoconego barwinku; chłopcy w odświętnych siermięgach, podpasani suto czerwonymi lub sinymi pasami; gospodarze w baranich czapkach i kozuchach; w długich białych rańtuchach gospodynie. Starsi i dzieci grupują się w około cerkwi, siedząc i stojąc w rozmaitych gronach, i zapełniają gromadnie całe otoczenie cmentarza, podczas gdy środek pozostawiony jest wolno na *haiłkę*.

Rozpoczynają ją dziewczęta. Ująwszy się za ręce, tworzą jak największe koło; dwie lub jedna staje w pośrodku, inne, zawodząc w koło niéj korowód w tę i ową stronę, śpiewają przeciągłemi tony pieśń:

Jedzie Zelman, jedzie...

Pieśni śpiewanych przy *haiłkach*, które przytacza w zbiorze swym Żegota Pauli, nie słyszałem w tych tu okolicach. Ktoby zaś był ów Zelman i dla czego on właśnie odgrywa taką rolę przy wielkanoćnej *haiłce*, z pewnością tego wiedzieć nie można, chociaż rozmaicie to tłumaczą i rozmaite w tym względzie krążą domniemania. Wszakże jadący ów Zelman nigdy nie dojeżdża do celu; cała zabawa bowiem na tém zależy, że chłopcy nie dają nigdy dokończyć tańca i pieśni dziewczętom. Gdy więc koło się zbierze i korowód zaczęty, parobcy zbierają się skrycie poza zaułkiem cerkwi, lub za wrotami cmentarza, i ująwszy się jeden za drugim gąsiora, wpadają niespodziewanie z hałasem w tańczące koło i roz-

bijają je. Idący na czele wpada w koło, wywijając kijem w rękę. Przestraszone dziewczęta uciekają, padają jedne przez drugie, robi się zamieszanie, zgiełk, z wielkim tryumfem zwyciężkich parobczaków, a umartwieniem rozpedzonych dziewcząt, które się niby naprawdę o to gniwają, a czasem, gdy żart ten



Halika

zbyt często się powtarza i zbyt psuje zabawę dziewczętom, to i do prawdziwych przyjdzie razów, na czém najgorzej wychodzą niedorostki, które się do starszych parobków zamieszały. Rozbite koło znów się zbiera, znów się zaczyna pieśń o Zelmanie, i znów czyhają i zbierają się pokątnie psotnicy, aby

przerwać zabawę i nie dać pieśni dokończyć. Inni znowu, zręczniejsi w gimnastyce, tymczasem innego rodzaju przedstawiają widowisko. Dwóch chłopców, biorąc się za ręce, stawa jeden naprzeciw drugiego, inni dwaj stawają tym dwom na ramionach, a inni jeszcze, jeżeli się znajdują zręczniejsi, włączają znów tym na ramionach. Tak tworzy się jedno, a czasem dwupiętrowa wieża, obchodząca w około zgromadzonych, z wielkiem ukontentowaniem przypatrujących się i podziwiających zręczność młodego pokolenia akrobatów. Wieża ta ma przedstawiać właściwie wspaniałą bramę, ztąd *wrotami* ją zowią. Głównem wszakże zadaniem i główną przyjemnością tych wrót czyli ruchomej téj wieży jest, podobnie jak i gąsiora, rozbicie koła tańczących hałkę dziewcząt. Po jakimś czasie, upatrzawszy stósowną chwilę, uderza tedy wieża niespodziewanie całym zamachem rozpędzonego tarana w kręcące się koło. Rozumie się, że jak gmach Filistynów, wstrząśniona tém uderzeniem, upada i samaż wieża, a runąwszy sprawia jeszcze większe zamieszanie, krzyk i lament, niżli znajomy nam już gąsior. Takie to są zabawy tego ludu, które mu wystarczają w prostocie duszy jego, a dawnym z pokolenia w pokolenie przekazane obyczajem, serdeczną sprawiają mu radość. Tak spędza lud tutejszych okolic piérwszy dzień Wielkiénocy. Wraz z uderzeniem dzwonu wzywającego na nieszpór, kończy się hałka. Wszyscy idą do cerkwi, a po skończonych nieszpórach, rozchodzą się do domów, lub zgromadzają w karczmie.

W drugi dzień Wielkiénocy nie tańczą już hałki, ale zato innego rodzaju zabawę przekazał zdawna zwyczaj, na której gorzej daleko wychodzą dziewczęta, niżli na junactwie psotników podług hałki. Jest to *obléwany pomiedziątek*, w którym to dniu zabawa nie kończy się na samém obléwaniu, ale zdarza się nieraz, że parobcy porywają dziewczkę i zatapiają całą w wodę. Jakkolwiek niemila to niespodzianka i słusznie do gniewu pobudzić może, gniewać się wszakże niewolno, bo to rzecz usświęcona zwyczajem, i gniewy téż długo nie trwają, a z zimnej owéj wiosennej kąpieli najczęściej roztléwają się ognie serdeczne, kończące się ślubnemi związkami w jesieni.

Gdy młodzież w ten sposób wesoło spędza ranek drugiego dnia świąt, pora popołudniowa innemu, poważniejszemu poświęcona obrzędowi. Obyczaj każe uczcić pamięć tych z rodziny, którzy niegdys społem spędzali te dni świąteczne, a dziś już w inny świat się przenieśli. Rozpamiętywanie na cmentarzu i modlitwa za dusze zmarłych kończy święta wielkanocne. Jeśli pogoda sprzyja, to w drugi dzień świąt lub w trzeci, wychodzi ksiądz miejscowy odczytywać ewangelią na grobach, a za nim wieś cała ciśnie się gromadnie. Każdy kto ma tam złożoną drogą sobie blizką osobę, (a któż strat podobnych nie poniósł) śpieszy na cmentarz i czyniąc księdzu z kilku groszy ofiarę, wiedzie go na grób swego zmarłego i prosi o odczytanie ewangelii. Modlitwa przynosi ulgę ceniom zmarłych, a znaczny dochód księdzu. Odczytywanie ewangelii na grobach przeciąga się w noc późną, a jeśli nie było dosyć czasu obejść wszystkie groby, powtarza się jeszcze i w dniach następnych. Jeżeli na samaż Wielkanoc nie służy pogoda po temu, to obrzęd czytania ewangelii na cmentarzu odkłada się na dzień późniejszy. Odczytywanie ewangelii na grobach, nabożeństwo żałobne w dzień zaduszny z wielką obchodzone uroczystością i sprawiane regularnie co rok *pominki*, świadczą z jaką religijną czcią lud nasz przechowuje pamięć zmarłych i jak jest dbały o zbawienie ich duszy.

W dzień Zielonych Świątek umajają chaty rozmaitem zielelem, a zielone gałęzie świeżo rozwitych drzewek zatykają u wnięcia do chaty, szuwarem zaś czyli tatarakiem posypują izbę i wstęp do chaty. Piękne to święta! Wesoło, zielono i wonno w podolskim siele. Aby ustroić zielelem chatę, śpieszą w sobotę po południu rojem kobiety, dziewczęta i dzieci na łąki, lub do poblizkiego gaju, zkąd wracają pod wieczór z pękami tak zwanego wonnego ziela. Wszakże gdy Święta Zielone przypadają zwykle w porze najbardziej zmiennéj, tak iż rzadko kiedy bez dęszczu się obejdzie, powstał ztąd przesąd u ludu, że są zioła, z których za zerwaniem wychodzący sok ma moc sympatyczną przyciągania z dalekich okolic chmur dęszczowych w toż miejsce. Ztąd istnieje mniemanie, że idący rwać zioła na Zielone świątki, *narwą*

dészczu w dosłowném znaczeniu tego wyrazu, bo niepodobna, żeby przy tak wielkiej ilości ubieranego ziela, i dészczowego nie zerwano ziółka. Toż gospodarz jeżeli posuszna wiosna w żelazne kleszcze uchwyci mu rolę i zagrozi zasiewom, z utęsknieniem wygląda przyjsia Zielonych swiąt, pewien że w dni te przyjdzie wreszcie ów oczekiwany przezeń, za pośrednictwem zerwanego ziela, dészcz *narwany*. Biędny, jeżeli nie natrafił na ukryte ziółko dészczowe i jeżeli zawiedzione jego oczekiwania spełzną na niczém.

Lud z powołania swego rolniczy, wszystkie ważniejsze pory gospodarskie znaczy pewnemi przyjętymi obrzędami, wzywając tym sposobem błogosławieństwa niebios, aby zapewnić pomyślność gospodarstwu i dobytкови swojemu. Gdy piérwszy raz z wiosną wypędza na paszę bydło, chowane z ręki przez ciąg zimy, skrapia je wodą święconą. Gdy na piérwszą wyjeżdża siejbę, sprosiwszy do pomocy sąsiadów, którym znów podobną odwdzięczy się na zawołanie przysługą, gospodyni wychodzi do wyjeżdżających z wodą święconą i chleba bochenkiem, skrapia zboże przygotowane do siejby, a chleba bochenek, godło urodzaju, daje siewaczom w pole. Po ukończonej pracy, gospodarz sprawia małą ucztę tym, co mu tegoż dnia dopomogli. Podobnie święcą się i piérwsze sianokosy. Najważniejszą wszakże porą dla ludu rolniczego są oczywiście żniwa. Gdy z utęsknieniem przez czas przedwótku wyczekiwany plon, ciemno złocistym kłosem pochyliwszy się ku ziemi, oznajmi dojrzałość swą rolnikowi, dzień prawdziwie radośny nastaje we wsi, dzień spełnionych nadziei. Co żyje śpieszy z sierpem w pole, czy to na łan dworski, czy na własną niwę. Wieś wówczas pusta, jak wymiółł, a zato pola roją się ludem i rozlegają się pieśni, dla uweselenia i ukrócenia sobie pracy śpiewane. Powtarza się to codziennie, gdy służy pogoda, przez parę tygodni. Wszystko co żyje wychodzi z sierpem lub kosą w pole. Dzieci tylko pozostawione bawią się tu i owdzie po rowach w cieniu, lub u kołowrota wiejskiego, albo słycać wydobywający się z chaty krzyk niemowlęcia, które matka, nie mając go z kim zostawić, zamknęła na cały dzień w chacie, gdyż mało która bierze je z sobą w pole, doznając w tém przeszkody w robocie. Zamykanie to dzieci w osamotnionych chatach, wynikające z potrzeby, jest czémś nielitościwém i staje się powodem wielu wypadków, a zwłaszcza chorób u dzieci, wynikających z całodziennego krzyku. Tu to czuć się daje konieczną potrzebę zakładania po wsiach ochronek niemowlęcych, które prawdziwém byłyby dobrodziejstwem.

Gdy tak cały tydzień upływa na robocie, bądź dla siebie samego, bądź też za dług lub pieniądze, w sobotę bywają *tłoki*. Tłoką nazywa się z ruska zabawa, sprawiona w niedzielę dla żniwiarzy, którzy w skutek zaprosin bądźto dziedzica, proboszcza, bądź zamożniejszego gospodarza we wsi, dopomogli mu do żniwa w dzień sobotni. Ze ugoszczenie robotników tłoką zwykle mniej nięco wynosi, niżeli zwykła zapłata, a z drugiej strony zabawa niedzielna z muzyką i tańcem jest ponętnym wabikiem dla młodych żeńców i żniwiarek, przeto tłoki bywają często wyprawiane, i to z wielkiém wszystkich zadowoleniem, tak iż niéma w porze żniwa soboty, aby nie było tłoki we wsi. Nieraz kto przez cały tydzień, pomimo najusilniejszych starań, nie mógł dostać robotnika za pieniądze, dopiero tłokami powtarzanemi co sobota, zbierze plon swój z pola. Sprawiający tłokę idzie sam, lub też wysyła kogo od siebie przed świtem w sobotę z flaszą wódki od chaty do chaty, z zaprosinami na tłokę. Kto przyjmie kieliszek i wypije, ten już zobowiązał się do uczestniczenia w tłoce, zabiéra sierp i wyrusza w pole na wskazaną mu niwę. Tak zbiera się znaczna mnogość żeńców najrozmaitszego wieku, bo każdy od małego wyrostka do starca, radby zabawić się nazajutrz w niedzielę, podczas gdy gospodarzowi sprawiającemu tłokę uprzejmość, a częstokroć i potrzeba, nie dozwala przebiérać w robotnikach. Wprawdzie praca idzie, acz weselój, zwykle nie tak gorliwie, jak innymrazem, bo jużćić uproszonych gości nie można tak napędzać jak najętych za pieniądze, zawsze jednak liczba rąk wynagradza powolniejszą robotę i właściciel z pociechą widzi wieczorem mnogie wznoszące się półkopki na wyżętych w dniu tym zagonach. Nazajutrz w niedzielę wieczorem zbierają się sobotni pracownicy na zabawę u tego, który sprawia tłokę. Tu czeka już muzyka, skrzypki z basetlą i luźne, odzywające się kiedy niekiedy cichawe dźwięki téj sielskiej gędźby,

a na ich widok drżą już naprzód radością serca ochoczych do tańca parobczaków i dziewcząt. Goście dostają znowu po kwaterce wódki, którą lub zaraz wypić, lub do domu z sobą wziąć mogą, i na tém najczęściej kończy się szczupłe zaiste niewybrédnych gości przyjęcie. Rzadko kiedy zamożniejszy i gościnniejszy gospodarz zwiększa ucztę jadłem, piérogami lub mięsiwém wieprzowém. Natomiast całą zabawę stanowi głównie taniec, który z wieczora zaczęty, w noc księżycową do późna z północy się przeciąga.

Jak pierwszego dnia żniw w okolicach kraju które opisuję niema zwyczajem żadnym szczególnym obchodzić obrzędem ni zabawą, tak przeciwnie koniec ich odznacza lud tutejszy przyjętym zwyczajem oddawania wieńca zbożowego właścicielowi, u którego żniwo skończone. Po wyżęciu każdego gatunku zboża, odnoszą upleciony zeń wieniec właścicielowi, oprócz grochowego, bo tego żadna z dziewcząt wiejskich nie wzięłaby na głowę, dla przywiązanego tradycyjnie do *grochowego wieńca* znaczenia. Gdy tedy już



T ł o k a.

ostatek którego gatunku zboża dożynać mają, splatają z najpiękniejszych kłosów wieniec, w który ubierają najdorodniejszą żniwiarkę, zwaną wówczas *panną młodą* téj uroczystości. *Młoda* wybiera sobie z pomiędzy dziewcząt dwie družki, które postępują po obu jéj bokach, na czele gromadki co dożęła zagonu, ku pomieszkaniu właściciela. Cały orszak idąc śpiewa pieśni umyślnie do téj okoliczności zastosowane. Pieśni te, powtarzające się niezmiennie, wyrażają obfitość plonu, zebranego pracą niosących wianek, tudzież wezwanie do gospodarza, aby wyszedł i odebrał przyniesiony mu wieniec, z życzeniem pomyślności na przyszłość, a obdarzył niosącą go pannę młodą i uczęstował gromadkę. Zdaloka rozlegają się przeciągłe tony pieśni zaczynającej się od słów:

Wyjdy paneńku do nas i t. d.

A gdy długo się nie ukazuje i nie wychodzi po odebranie wieńca, czekająca przed domem gromadka śpiewa:

Nema pana doma
Poichaw do Lwowa,
Dubońki kupowaty,
Styrtońki pidperaty.

Wreszcie wychodzi gospodarz. Dziewczyna z wiankiem skłania mu się do stóp i wyraża życzenia całej gromadki:

— Daj wam Boże orać, siał i używać, a nam zbierać dla was w długie lata w pomysłności i zdrowiu!

Gospodarz zdejmuje wieniec z głowy panny młodej i z podziękowaniem obdarza ją, tudzież obie drużki jakimś niewielkim datkiem, dla zebranych zaś żniwiarzy ofiaruje pewną ilość wódki. Rozpoczyna się tedy zabawa — zjawia się jakoś zniecała muzyka, skrzypek z basetłą samowtór, a uciecha i tańce przeciągają się do późna. Wianek zaś wysycha, zawieszony dawnym obyczajem na kołku w sieni lub komorze, aż do przyszłej siejby; wówczas wytarte zeń ziarno rzuca rolnik naprzód na rolę, wiążąc tym sposobem niejako błogosławieństwo przeszłości z nadzieją przyszłości.

Po ukończonych żniwach i siejbie, następuje romantyczna pora jesieni — pora wypoczynku i owych ulubionych, ze śpiewem i kądzielą połączonych schadzek, *wieczornicami* zwanych. Dla dziewcząt najważniejszy jest wieczór w *wigilię Św. Andrzeja*; wieczór to wróżb tajemniczych, wieczór wypatrywania losu, jaki w następnym roku ma spotkać każdą z ciekawych proroctwa przyszłości. Wielorakie są mistyczne sposoby zaklęcia losu, aby się przed pytających odsłonił wzrokiem. Nie będziemy zdięrać osłony zakrywającej owe wszystkie tajemnicze obrzędy, któremi zebrane w ów wieczór dziewczęta do późnej nocy starają się przejrzeć zagadki przeznaczeń, w dzień powszedni każdemu utajone oku. Tam leje się na wodę roztopiony wosk lub cyna, a z kształtów w jakie się krzepnąc ułoży, wróżą koleje przyszłości. Pieczone umyślnie w tym celu z ciasta krągłe *bałabuszki* i ułożone parami na ziemi, tak iż każda para ma przedstawiać jakąś żyjącą parę, parobka i dziewczkę, domniemanie wedle stosunków i skrytych skłonności serc z sobą ustawionych, dają się do zjedzenia wyglodzonemu wpród przez dzień cały brysiowi, wiernemu stróżowi chaty. Instynkt jego, a w rzeczy głód, ma tu rozstrzygać o losie par zestawionych. Te osoby które pies przedstawione w bałabuszkach rychłej uchwyci, wstąpią rychłej w związki małżeńskie, a rozumię się że i w porządku w jakim to się stanie; niebaczny bowiem na węzły światowe i skłonności serc kundys i prorok, nie zjada bałabuszków parami, jak je ustawiono, lecz chwytą na wybór to te, to owe, kierując się w tém powonieniem i smakiem, czy innym jakimś wieszczym zmysłem. Ach! ileż to serdecznie ku sobie mających się par rozerwanych! Ile znowu najdziwaczniej z sobą połączonych, ileż powodu do śmiechu i wesołości, lub też do smutku i obawy o przyszłość!

A nie poprzestając na jednej lub drugiej wróżbie, by już do dna wyczerpać tajemnice przyszłości i rozwiązać zagadki losu, wybiegają psotnice w noc ciemną i jeżeli się znajduje płot gdzie w pobliżu chaty, chwytają się na osłęp pierwszego lepszego kołu i jeden po drugim liczą takowe aż do końca płotu. Jeżeli doliczy się do pary, to wróżba szczęśliwa. Biada téj, której w końcu pary nie stanie — cały rok przyszy przepędzić ję jeszcze w osamotnionym dziewiczym stanie, dopóki znowu nie nadejdzie wieczór Św. Andrzeja i smutnej wróżby nie zmieni. A podczas gdy tak zajęte dziewczęta starają się, czyniąc to wszystko pod zasłoną nocy, ujść oka podpatrujących je i przeszkadzających parobków; niejedna, gorętszą wiedziona ciekawością i chęcią obaczenia bądź co bądź *przyszłego* swego, który ję wyrokiem Opatrzności przeznaczony, w zamkniętej chacie, słabo tlejącem oświetlonéj łuczywem, płonąć rumieńcem wstydu, z dziewczęcogo wstaje posłania i przed małym lusterkiem wypatruje z wytężoném okiem ukazania się upragnionej postaci, aż północ nadejdzie i aż się *przyszły* ukaże w lusterku. A co wigilia Św. Andrzeja dziewczęcej przyniesie wyobraźni, to niebawem sprawdza rzeczywistość. Niedługo tęsknić i ma-

rzyć dziewczęciu, wyczekując na wróżby spełnienie. Bo oto właśnie, jak już się powiedziało, pora przed-adwentowa, po ukończeniu robót, jest to pora kojarzenia się stadeł małżeńskich, pora wesel, i wkrótce do chaty wejdą wieczorem swaty z napitkiem i przepiją do rodziców i do dziewczęcia. Szczęśliwa jeżeli po myśli wróżby się ziszczą i urzeczywistnią marzenia!

Toż i my nie możemy stosowniej zakończyć naszego obrazu, jak opisem obrzędu weselnego, co w życiu wieśniaka stanowi najmiłszą dlań i najpamiętniejszą uroczystość, która też dlatego przeciąga się przez cały tydzień, w następującym porządku.

Obrzęd weselny rozpoczyna się zawsze we czwartek. W dzień ten panna młoda, ubrawszy się świątecznie, wychodzi z družbami spraszać dziewczęta do *wianków*; wychodząc prosi rodziców o błogosławieństwo i dopiero puszcza się w swoją wycieczkę. Jak się dziewczęta poschodzą, pozasadza je z družkami za stół, a sama przez skromność wciśnie się w najciaśniejszy kącik, aby ją mało kto widział, a szczególnie pan młody, który także do wianka przychodzi. Bez niego ta ceremonia odbyć się nie może; gdy przyjdzie, družki zabiérają się do wianków. Zaczynają mówiąc:

— Panie starosto, proszę o błogosławieństwo.

On odpowiada:

— Niech Pan Bóg błogosławi!

Przemowa ta powtarza się trzy razy, także i odpowiedzi, poczem zaczynają dziewczęta szyć wianek na papierze lub słonce plecionej, śpiewając:

Błogosławy Boże! otec i maty
Swojemu detiatiu winoczek zaczynaty.

To trzy razy się powtarza, potem:

Pletysia winoczku ładko,
Jak czerwoneje jabko, —
Pidesz meże lude,
To nasza sławońka bude.

Wianek się plecie z barwinku, przetyka kaliną i zdobi pozłótką. Gdy już wianek gotów, wtenczas pannę młodą do siebie zapraszają, śpiewając:

Oj dywno nam dywno,
Marysenki ne wydno,
Winoczka sia zbojała,
Do switłońki sia schowała.

Wychodzi nareszcie i łączy się do towarzystwa; družba naléwa wódkę, pije do družki, oddaje z butelką, a ona pije do téj dziewczki co wianek szyje, bo do tego wybierają najzręczniejszą, inne tylko obskubują barwinek i tamtéj dostarczają. Potém kieliszek idzie w kolój, jedzą zakąski, bułki, sér, cebulę, hyżki, to jest nogi wieprzowe studzone, podług zamożności; potém muzyka gra, dziewczęta same tańczą w chałupie, a w końcu wychodzą na obejście i już wszyscy goście tańczą. Na tém kończy się obrzęd czwartkowy.

W piątek panna młoda idzie do rodziny na cudze wsie, prosić o błogosławieństwo, a w swojej wsi dopiero zaczyna chodzić w sobotę. Rano w sobotę, gdy się ubierze, prosi najprzód rodziców o błogosławieństwo i idzie do spowiedzi, znów w towarzystwie družek, które jéj aż do poniedziałku nie odstępują. Gdy odejdzie, matka sprasza kobiety i mieszą korowaj; gdy powróci, to korowaj przy niéj wyrabiają, śpiewając. Ta co za najpiérwszą jest uważana przy pieczywie, zaczyna temi słowy jak wprzódy:

Błogosławy Boże i otec i maty
Swomu detiatiu korowaj zrabiaty.

Gdy już korowaj wsadzą do pieca, młoda biegnie znowu na wieś, sprasza dziewczęta i kosę jej rozplatają. Zaczynają śpiewem:

Dajcie nam stilia,
Szczitki i hrebińcia,
Dajcie nam kożucha,
Naj siade mołoducha.

Drużba daje stołek zaścielony kożuchem i sadzi ją na nim, prosząc słowami jak wyżej, aby ojciec i matka błogosławili, *swomu detiatiu, kosońku rozplitaty*. Gdy zaczną rozplatać śpiewają:

Pryjdy batenku k'myni,	Kilkoż ja u tebe buła,
Rozczeszy kosońku myni,	Nikołym tia neprosyła,
Biłymi ruczeńkami,	A teper ja tie proszu
Dribnymi słożońkami,	Rozczeszy moju kosu.

Cała rodzina po kolei temi słowami zapraszana, stryj, wuj, brat, matka i t. d., rozczesują kosę przy poprzedzającym śpiewie. Jak rozplotą kosę, założą wianek, upną wstążki, ojciec i matka zasiadają na stołku zaścielonym kożuchem, trzymając na kolanach po dwa bochenki chleba, panna młoda staje w środku, drużki po bokach, a starosta staje i mówi:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, i wy tatuniu i wy mamuniu! Staje to dziecko przed wami, jak jasna świeca przed Panem Bogiem i prosi was tatuniu i was mamuniu, abyście błogosławili i na wieś wyprowadzili.

Drużba podaje chustkę, której młoda i drużki się trzymają i tak ich prowadzi do progu, gdzie znowu prosi, aby błogosławił starosta; potem robi krzyż w powietrzu tą chustką i wychodzą z muzyką aż do wrót, z kąd wszyscy wracają; młoda z drużkami idzie prosić na wesele, a we wrotach położy chleby, te co były u rodziców na kolanach, biorą je idąc na wieś z sobą, i w trzeciej chałupie zostawiają i tak proszą po całej wsi, a ludzie dają im na nowe gospodarstwo przedziwo i jaja.

Wróciwszy do domu, znowu drużki śpiewają w progu:

Dobry wieczor maty!
Z sinyj do chaty,
Czy dobre my zrobyły,
Szczoośmy ludyj zaprosyły?

Z wnętrza chaty odpowiadają:

Dobrešte zrobyły,
Żešte ludyj zaprosyły.

Tańczą, potem znowu błogosławi ojciec, tym sposobem jak błogosławili na wieś wyprawiając; znowu drużba podaje chustkę, one jej się trzymając trzy razy obchodzą stół; za trzecim razem zostawia je za stołem, gdzie zasiada panna młoda *na posagu*, otoczona wszystkimi weselnymi dziewczętami; stawiają przed nią drewniany taléż i zaczynają ją *darować*, to jest, obdarzać. Każda daje na taléż co może, a najmniejszy nawet datek mile bywa przyjmowany. Wywołują najprzód ojca śpiewem:

Deś się podiw, deś się podiw, batenku,
Czom ne wyjde do nowoi świtlonki?
Czomu ne prystupyt do tisowoho stoła,
Czom ne daruje Marysi na posazi?

Jak przyjdzie, znowu śpiewają:

Stań batenku proti w mene,
Napyj sia do mene

Z pownoją z pownońkoją
I z dobrojow doleńkojo —
Czas mene darowaty
Prysudyła Bożaja Maty.

I tak po kolei wywołuje całą rodzinę, a potem zwraca się z wezwaniem do obcych:

Darujcie mene czuži lude,
Bo rodyna ne bude,
Rodyna na Podilu,
Ne znaje o wisilu;
Szczoby rodyna znała,
Toby mene darowała.

Zaczynają się dary od dziewcząt śpiewem:

Hadajcie pannońki, hadajcie!	Treba Marysi czobitok,
Po czerwonomu składajcie.	Z samocho zołota podkiwok,
Teper noczeńka temneńka,	Szczoby pidkiwki breniły,
Dorożeńka słyzońka,	Szczoby lużeńki szumiły.

Przepijają więc i składają dary dziewczęta, poczem przywołują chłopców:

Mołodci z za poroha,
Bijte się Boha,
Chodite do chaty,
Marysiu darowaty.

Idą więc chłopcy z za proga po kolei i darują; potem następuje zakąska, wódka — i wychodzą z za stoła. Nim wyjdą śpiewają:

Starosti szelich daty,
Szczoby nas wywiv z chaty
I pozwoływ pohulaty.

Co się téż i dzieje; potem się rozchodzą i tylko domowi jedzą wieszczkę.

W niedzielę panna młoda ubiera się do ślubu; on przysyła do niej przez drużbów chustkę i rękawki, a ona jemu przez tych samych drużbów odsyła koszulę, upleciony wianek do czapki, pierścioneł, wstążkę do szyi i rękawów. Gdy mu już to oddadzą i w to się ubierze, przychodzi z całym swoim weselem do niej i idą do ślubu. Wychodząc do ślubu, proszą o błogosławieństwo, padając do nóg rodzicom; krewnym i wszystkim. Po ślubie znowu się oba grona weselne dzielą: ona ze swoim idzie do domu swego, a on do swego i cały dzień bawią się, jedzą, piją, w ręce pleszczą, wyspiwują, a w wieczór przychodzi pan młody ze swoim korowajem i całym weselem do niej. Gdy przyjdzie na podwórze, zamkną przed nim drzwi od sieni i nie puszczają od razu, tylko różne żarty i psoty wyprawiają; ze dworu się dobywają, a z wnętrza chaty bronią wstępu. Panna młoda tymczasem siedzi za stołem z dziewczętami i te śpiewają:

Pomału kińmy hrajte,	Szablamy wohoń kreszut,
Podwira ne kopajte,	Szapkamy rozduwajut,
Szałwii ne łomit,	Do sinyj sia dobuwajut,
Marysi ne berit.	A z sinyj do chaty,
Kińmy hrajut,	Takoń Maryseńku chotiat wziaty.
Dwir kopajut,	

Jak go już puszczą do chałupy, postawią korowaj na stole; on idzie do niej za stół, ona zaś niby chroni się, do stołu głowę przykładając; on ją odrywa i potem siadają już razem. On częstuje swoją wódką, a domowi nawzajem swoją; piją, bawią się, tańcują, śpiewają, potem krają korowaj i rozdają

najpierw ojcu, matce, całej rodzinie, weselnym, sąsiadom, a nawet rozsyłają tym, których uznają godnymi tego zaszczytu; jedzą wieczrę, znowu się pobawią, potem posadzą na stołku pannę młodą, jak zwykle na kozuchu i rozbięrają ze wstążek. Ona te wstążki rozdarowuje drużkom, krewnym, dziewczętom; potem zasadzają oboje państwa młodych za stół, gdzie družba pannę młodą narzuca rańtuchem i ubiera ją w czapkę. Dzieje się to nad ranem w poniedziałek; potem dają śniadanie, wychodzą z za stołu, kłaniają się rodzicom, rodzinie i prowadzą do łożnicy; w kilka godzin zabierają pannę młodą do domu pana młodego. Wychodzą wszyscy z muzyką, družba zabiera pościel, a pan młody z družbami jeszcze trzy razy z za wrót się wraca, dziękując za nią, za przyjęcie i za pościel:

— Za chlib, za sil, za pościłku i za choroșoju diwku.



K o r o w a j.

Przychodzą do niego, znów za stół sadzą, jedzą, piją, ale ona nic nie je. Jak wyjdą z za stołu, kłaniają się jego rodzicom; przychodzą swachy od jej wesela pozostałego w domu jej rodziców i zakładają jej czépiec. Cały dzień się bawią, tańcują; wieczorem przychodzi jej ojciec, matka i całe wesele z korowajem. To się dzieje we wtorek. Ją chowają, a przebięrają jakiego chłopaka, który ją udaje i wita się z rodzicami; oni go odpychają, nie przyjmują, mówiąc że ich córka była pracowita, a to jakaś ladaco. Przebrany parobczak zabiera się do porządku, do lepienia pieca, na dowód że pracowity; kończą się żarty i zasiadają za stołem korowaja, który z sobą z domu panny młodej przyniёśli; wtenczas ona się pokazuje, prosto przez stół do rodziców przełazi i już siedzi z nimi. Oni mają swoje wódkę

i zakąskę; przychodzą domowi, witają ich, a oni tém co przynieśli, od siebie wszystkich częstują. Zaczynają rodzice i idą wszyscy po kolei, aż korowaj im rozdada. Tegoż dnia idą także z muzyką i całym gronem weselném do dworu, gdzie niosą w darze kurę i umyślnie na to upieczony korowaj, ozdobiony zieloną gałązką i liściem barwinkowym złożonym. Jój korowaj rozdaje się w jego domu, a jego korowaj w jój domu. Gdy wieczerzę zjedzą, rozchodzą się; rodzice jój ze swoim weselem wracają do siebie, a ona zostaje już u męża i tak się kończy wesele. W obydwóch domach bawią się, tańczą, weselą, jak im się podoba jeszcze przez całą środę, ale już na wódkę i przyjęcie składają się goście, bo właściwe wesele trwa tylko do wtorku wieczorem.

K O N I E C.



SPIS RZECZY.

	<i>Strona.</i>
Rozdział I. Wstęp. Podole. Widok okolicy. Płaszczyny i stopy. Ruiny zamków obronnych. Własność ziemi. Urodzajność i uprawa. Klimat.	3
Rozdział II. Wieś podolska. Dwór. Cerkiew i jej sąsiedztwo. Plebania. Dobrodziej i rejent. Diak Pedagogiem. Dzień świąteczny. Wnętrze cerkwi. Obrazy i figury. Ubiór świąteczny. Służba Boża. Karczma. Wójt i jego sądy. Żyd arendarz. Muzyka i tańce. Kołomyjka. Koniec zabawy.	15
Rozdział III. Dzień gospodarski. Ranek. Chata wieśniacza. Jej budowa i urządzenie wewnętrzne. Zabudowania gospodarskie. Dobytek wieśniaczy. Rasa koni. Poranne zatrudnienie gospodyni. Fizyognomia wieśniaka. Ubiór mężczyzn i kobiet. Charakterystyka chłopca ruskiego. Jego usposobienia i wady. Przyczyny i wpływy. Położenie towarzyskie. Stosunek do zwierzchności. Władza dominialna. Policyant. Szlachta czynszowa. Towarzystwo wstrzeźliwości. Brak oświaty. Szkółki po wsiach. Ich zadanie i potrzeba reformy. Praca całodzienna. Pożywienie. Obiad, południek i wieczerza. Choroby. Babskie leki. Siejba wiosenna. Ogrody. Żniwa. Żebracy. Dziad lirnik. Wieczór sielski. Jesień. Wesela. Zatrudnienia zimowe. Tkactwo. Ciesielka. Kupcy wędrowni. Pszczelnictwo. Dzieci. Pobożność w domu. Rekrut. Pożycie małżeńskie. Starość i śmierć. . .	30
Rozdział IV. Jarmarki. Pijaństwo. Prażnik. Poprażeń. Pominki. Wigilia Bożego Narodzenia. Święty wieczór. Kutia. Kolendowanie. Próba szczęścia. Palenie Diducha. Nowy Rok. Sianie. Wigilia Trzech Króli. Jordan. Zimne zapusty. Płukanie zębów. Kwietnia niedziela. Wielkanoc. Kraszanki. Rozbijanie dzwonów. Hailka. Oblewany poniedziałek. Zielone święta. Dészcz narwany. Pierwsza siejba. Żniwa. Potrzeba ochronek po wsiach. Tłoka. Jesień. Wieczornice. Wigilia Św. Jędrzeja. Wesele.	62

gale 3/19/34

